

MAŁGORZATA WINKLER-POGODA

Miałam syna

Emila

WYWIAD RZEKA Z KRYSYNA BARCHAŃSKĄ-WARDECKĄ



Miałam syna
Emila

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

MAŁGORZATA WINKLER-POGODA

Miałam syna
Emila

WYWIAD RZEKA
Z KRYSYNAŃ BARCHAŃSKĄ-WARDECKĄ



WARSZAWA 2019

Recenzent
dr Grzegorz Majchrzak

Konsultacja merytoryczna
Grzegorz Wolk

Redakcja
Iwona Gałęzowska

Korekta
Zofia Krzywicka-Vauthier

Projekt graficzny
Sylvia Szafrńska

Skład i łamanie
Sylvia Szafrńska

Wszystkie zdjęcia pochodzą z archiwum Krystyny Barchańskiej-Wardęckiej.

Druk i oprawa
Pasaż Sp. z o.o.
ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2019
© Copyright by Małgorzata Winkler-Pogoda, 2019

ISBN 978-83-8098-595-7

Zapraszamy:
www.ipn.gov.pl
www.ipn.poczytaj.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp	9
Emil. Pierwsze lata	13
Emil. Czasy szkolne	35
Emil. Stan wojenny	97
„Od grudnia do maja”. Jedyne ocalały fragment pamiętnika Emila	139
Emil. Czerwiec 1982	149
Życie bez Emila	183
Krystyna. Splątane historie rodzinne	213
Jerzy. Tata Emila. Artysta malarz	249
Przyjaciele	289
Podziękowania	311

...ażeby z tej śmierci wyrosło dobro,
tak jak z Krzyża – Zmartwychwstanie.

Jan Paweł II

WSTĘP

Emil Barchański. „Najmłodsza ofiara stanu wojennego”. „Pierwsza ofiara stanu wojennego w Warszawie”. „Ostatnia ofiara krwawego Feliksa”. Takie określenia można znaleźć przy jego nazwisku w krótkich artykułach, które pojawiają się w prasie z okazji rocznicy stanu wojennego, i w kilku publikacjach historycznych opisujących tamten czas.

Emil, uczeń warszawskiego liceum, był jednym z młodych ludzi, którzy czynnie zaangażowali się w walkę z systemem komunistycznym. Po ogłoszeniu stanu wojennego tworzyli organizacje na wzór Armii Krajowej, chcieli zajmować się małym sabotażem, drukowali i kolportowali podziemne broszury. Emil wraz z kolegami zorganizował „akcję na pomnik” – w centrum Warszawy oblali czerwoną farbą i obrzucili butelkami z benzyną pomnik Dzierżyńskiego, symbol terroru bolszewickiego. Stało się to na początku stanu wojennego, 10 lutego 1982 roku. Byli prekursorami dzisiejszej dekomunizacji w przestrzeni publicznej. Ich udana akcja zapoczątkowała serię zdarzeń, które doprowadziły do aresztowania Emila, bicia, tortur, represji i – 3 czerwca 1982 roku – do tragicznej śmierci. Emil został zamordowany

kilka dni przed siedemnastymi urodzinami, jego ciało wyłowiono z Wisły.

Minęło 37 lat od tamtych wydarzeń.

Był jedynym dzieckiem Krystyny Barchańskiej-Wardeckiej, która w niezwykle szczerzej rozmowie opowiada, jaki był, co go pasjonowało, o czym marzył, z kim się przyjaźnił, dlaczego tak bardzo zaangażował się w działalność polityczną, co po sobie zostawił. O esbeckich prześladowaniach, których doświadczał, oskarżeniach, przesłuchaniach i rozprawach sądowych. O złu, które mu się przydarzyło. I o tym, co najboleśniej: o okolicznościach jego śmierci, toczących się śledztwach i o najstraszniejszych przeżyciach, które SB zgotowała matce zabitego chłopca. Również o tym, jak żyć z taką traumą i gdzie znaleźć pocieszenie i siłę.

Te rozmowy były dla Krystyny Barchańskiej-Wardeckiej trudne. Jestem jej bardzo wdzięczna, że podjęła ten wysiłek. Jej wspomnienia to cenne świadectwo – relacja matki, uczestniczki tamtych wydarzeń i świadka, a zarazem przejmująca opowieść o synu, odważnym, utalentowanym młodym człowieku, który w stanie wojennym zaangażował się w walkę po stronie „Solidarności” i stał się jednym z cichych, mało znanych bohaterów najnowszej historii. Jego los jest symboliczny. To również opowieść o rodzinie, która została zniszczona w stanie wojennym, i o ludzkim wymiarze dramatu trzech osób: Krystyny, Jerzego i Emila.

Nie sposób opowiedzieć całego życia, ani własnego, ani cudzego. Można ocalić od zapomnienia jedynie fragmen-

ty, obrazy, anegdoty, wypowiedziane myśli. Temu służy ta rozmowa. Chciałabym, żeby jej publikacja przyczyniła się do spełnienia jednego z marzeń Krystyny Barchańskiej-Wardęckiej – zachowania pamięci o Emilu.

Małgorzata Winkler-Pogoda

EMIL. PIERWSZE LATA

Opowiedz o Emilu. Urodził się 6 czerwca 1965 roku w Warszawie. Miałaś wtedy 21 lat.

Tak, urodził się zdrowy, ważył 3,5 kilo, miał 55 centymetrów wzrostu. Ciemne włoski. Ja byłam bardzo młodą mamą. Jeszcze studiowałam.

Byłaś na drugim roku polonistyki?

Nie. Zaczęłam studia, jak miałam 17 lat, bo do pierwszej klasy poszłam jako sześciolatka. Obroniłam pracę w 1966 roku, miałam 22 lata. Urodziłam Emila po czwartym, przedostatnim roku studiów.

Jak miał na imię tata Emila?

Też Emil. Pobraliśmy się w 1964 roku. Syn otrzymał imię po tacie. Miał być Piotruś, na moje życzenie, ale w końcu imię Piotr dostał na drugie. Ja byłam taką sierotką Marysią, nie miałam żadnej rodziny oprócz jednej dalekiej kuzynki – ukochanej cioci Stasi. Zostałam przegłosowana przez rodzinę męża. Moi przemili teściowie, państwo Barchańscy, przekonali mnie, że w ich rodzinie jest taka tradycja, że pierwo-

rodny syn ma imię po ojcu. Stąd Emil Piotr. W dzieciństwie próbowałam zrobić z syna „Piotrusia”, ale nie chciałam sprawiać przykrości teściom i w końcu ustąpiłam. Szybko się przyzwyczaiłam, że w domu jest Emil senior i Emilek junior. Zresztą syn lubił swoje imię. W ostatnich miesiącach życia bawił się nim, gdy szukał dla siebie pseudonimu. Z Emila zrobił Emiliana, z Emiliana Jana, i stąd w stanie wojennym pseudonim „Janek”. Tak się też podpisywał na karteczkach, które mi zostawiał, kiedy wychodził z domu – tak byliśmy umówieni – zwłaszcza po wydarzeniach w marcu 1982 roku, kiedy dostał wyrok. Ponieważ wtedy nie mieliśmy telefonu, konieczna była taka codzienna korespondencja. Oczywiście nie było też komórek, więc komunikacja listowna była niezbędna – dla mnie, matki pracującej, i dla niego, licealisty, do tego bardzo zajętego jeszcze innymi sprawami, o których nie zawsze wiedziałam.

Gdy Emil się urodził, czy ktoś ci pomagał, żebyś mogła skończyć studia?

Pomogła mi teściowa.

Gdzie wtedy mieszkaliście?

Ja miałam swoje mieszkanie po mamusi i babci. Na ulicy Bednarskiej. Ale tam były trudne warunki, bo to było tak zwane mieszkanie kołchozowe. Mieszkały razem trzy rodziny, była wspólna łazienka, wspólna toaleta. Po prostu kiepskie warunki do życia dla młodego małżeństwa z malutkim dzieckiem. W tej sytuacji zamieszkaliśmy z niemowlakiem u teściów na Woli, na ulicy Leszno, gdzie było mieszka-

nie z trzema pokojami. Teściowa – miała na imię Gabriela – przyjęła mnie razem z dzieckiem i właściwie wzięła na siebie lwią część obowiązków związanych z opieką nad Emilem, co umożliwiło mi kontynuację studiów bez brania urlopu dziekańskiego. Mogłam napisać pracę magisterską. Miałam to swoje mieszkanie na Bednarskiej i tam się głównie uczyłam. Po południu wracałam do teściów i spędzałam czas z dzieckiem. Staralam się pomagać teściowej, współżyliśmy w zgodzie. Teraz, z perspektywy tylu lat, kiedy sama jestem starszą osobą, jeszcze bardziej doceniam jej pomoc. Wówczas, kiedy byłam młoda i jak wielu młodych ludzi dość bezrefleksyjna, nie umiałam być jej wdzięczna za to, co dla mnie robiła. Potrzebne były lata życia i doświadczeń, żeby to do mnie dotarło, jak bardzo mi pomogła i ile jej zawdzięczam. Gdyby nie jej pomoc, podejrzewam, że mogłabym mieć problemy ze skończeniem studiów. Nie dałabym sobie rady. Także w roli babci i tak zwanej życzliwej teściowej była nieoceniona i niedoceniona, co po latach muszę z przykrością przyznać. Dopiero wiele, wiele lat później uświadomiłam sobie, jak wielką była mi pomocą, właściwie o wiele większą niż jej syn, a mój pierwszy mąż, Emil Franciszek Barchański. Niestety, pierwsze małżeństwo mi się nie udało.

Jak długo mieszkałaś u teściów na Woli?

Tylko rok, do dnia obrony mojej pracy magisterskiej. Potem wróciliśmy na Bednarską, we troje, ale to nasze wspólne zamieszkiwanie szybko się skończyło. Mój mąż jeszcze wtedy nie ukończył studiów, ja pierwsza zrobiłam dyplom. On przeszedł na studia wieczorowe. Studiował inżynierię

budowlaną na Politechnice Warszawskiej. To, że się ożenił, że miał dziecko, też mu trochę skomplikowało życie. Podjął pracę zawodową. Był to mężczyzna, który lubił mieć pieniądze. Bardzo szybko się usamodzielniał finansowo, uniezależnił od rodziców. No ale coś za coś. Nie ma nic za darmo. Emil podjął pracę w Złotym Stoku i zostawił mnie samą z rocznym dzieckiem. Teściowa zaraz po moim egzaminie dyplomowym powiedziała, że już czas, żebyśmy zamieszkali we troje u mnie na Bednarskiej. Obroniłam pracę pod koniec czerwca 1966 roku i dosłownie następnego dnia miałam się spakować, zabrać dziecko i zamieszkać razem z mężem. Stąd może mój cichy żal, że tak to się odbyło. Od razu się wyprowadziliśmy, a mój mąż dwa tygodnie później wyjechał do pracy na Dolny Śląsk. Zostałam sama z dzieckiem i dyplomem w kieszeni. To był dla mnie bardzo trudny czas.

Szukałaś pracy? A co z dzieckiem?

Dzięki pomocy życzliwych sąsiadów szybko znalazłam opiekunkę, panią Irenę Pawłowską, która mieszkała bramę dalej na Bednarskiej. Była matką czworga dzieci i nic dziwnego, że brakowało jej pieniędzy. Przyjęła mojego syna pod opiekę jako piąte dziecko. Emil już od roku chorował na astmę oskrzelową na tle alergicznym, więc musiał mieć prywatną opiekunkę. Nie nadawał się do żłobka ani potem do przedszkola. Ja sama podjęłam tę decyzję i postawiłam męża i teściową przed faktem dokonanym, bo od września miałam iść do pracy. Zostałam kierowniczką klubu kulturalno-społeczno-politycznego na ulicy Widok. Byłam zupełnie nieświadoma, w co wdeptuję. Przyjaciele ze studiów załatwili mi tę

pracę: w Stołecznym Klubie Stronnictwa Demokratycznego. Tak zwane Stronnictwo Drżących, jak wtedy mówiono. Była to partia, która udawała niezależność, a była przybudówką PZPR. Ale ja, nieuświadomiona politycznie, dopiero po roku zrozumiałam, gdzie trafiłam. Zażądano ode mnie deklaracji, żebym wstąpiła do SD, żebym się określiła. Posłano mnie na szkolenie partyjne. Byłam tak zwanym kandydatem do partii. Przez kilka pierwszych miesięcy bardzo podobała mi się ta praca. Organizowałam wieczory kulturalne – koncerty fortepianowe, m.in. grał Cezary Owerkowicz, spotkania z artystami, m.in. z Ireną Eichlerówną, Ireną Santor. Pełniłam kilka funkcji: organizatora, konferansjera, dziennikarza. Przeprowadzałam wywiady z artystami i „rządziłam” jako „pani kierowniczką”, mając aż dwóch pracowników – pana szatniarza i panią bufetową. Byli to starsi ludzie po sześćdziesiątce, a ja w 1967 roku miałam dopiero 23 lata! I od razu w pierwszej pracy po studiach na kierowniczym stanowisku! Mogło mi się trochę przewrócić w głowie? Mogło! Ale już po pół roku przestała mi się podobać ta praca. W 1967 roku zaczęła się w kraju awantura polityczna, która skończyła się zamieszkami w marcu 1968. Już jesienią 1967 z Klubu SD zaczęto zwalniać pracowników podejrzanych o żydowskie korzenie, a ja właśnie zdążyłam się z nimi zaprzyjaźnić. Działając impulsywnie i solidarnościowo, złożyłam po roku pracy, we wrześniu 1967 roku, wymówienie. I tak jako matka samotnie wychowująca dziecko znalazłam się na bruku. Z mężem byłam w separacji od grudnia 1966 roku. Na szczęście dość szybko znalazłam pracę, tyle że za połowę tych pieniędzy, które zarabiałam w Klubie SD. Ta praca w SD oprócz

niezłych pieniędzy dawała też różne przywileje pracownikom i przede wszystkim członkom partii, m.in. była możliwość zapisania się do własnościowej spółdzielni mieszkaniowej, która w błyskawicznym tempie zbudowała dwa bloki na Bonifraterskiej, gdzie właśnie się znajdujemy. Ojciec Emila wstąpił do SD i zapisał się do spółdzielni „Nowa Epoka”, a ja nadal byłam tak zwanym kandydatem, więc on był głównym członkiem. Trzeba było szybko wpłacić wpisowe w wysokości 30 000 złotych, co w tamtych czasach było naprawdę ogromną sumą. Mąż musiał wziąć sporą pożyczkę, częściowo miał uciulane jakieś oszczędności, w każdym razie nie miał problemu z szybkim wpłaceniem tych pieniędzy. Tym sposobem staliśmy się członkami spółdzielni własnościowej i czekaliśmy na tak zwane M-3, dwa pokoje z kuchnią, co na tamte standardy, w czasach gomułkowskich, było rzadkością. Ale dopiero wiosną 1969 roku, dwa lata po rozstaniu z mężem, wprowadziłam się do tego M-3 z trzyletnim synkiem.

Jak długo pani Pawłowska zajmowała się Emilem?

Jedenaście lat, niemal całe jego dzieciństwo. Później już tej opieki nie potrzebował. Po szkole zajmował się nim mój drugi mąż, Jerzy Wardęcki. Emil był bardzo zaprzyjaźniony z rodziną pani Ireny, jako to „piąte dziecko”, najmłodsze. Traktował ich jak swoją rodzinę. Ja byłam „mama Krysia”, a tam była „mama Irenka”. Tak nas ochrzcił, jak tylko zaczął mówić. A zaczął mówić dość późno, miał dwa i pół roku. Ale jak już zaczął, to mówił pełnymi zdaniami, językiem literackim – wtedy się śmiałam i lubię to przytaczać: „Ogary poszły w las”. Zaskoczył mnie, bo wcześniej się martwiłam,

że jest jakiś problem, może dziecko jest opóźnione w rozwoju. Byłam u pani psycholog, ale powiedziała, żebym się nie przejmowała, bo syn słucha, obserwuje, gromadzi informacje i po prostu nie rozprasza się na mówienie. Jak sobie to wszystko przyswoi, zacznie mówić. I tak się stało.

Na pewno dużo mu czytałaś w dzieciństwie.

Tak, był wychowany na literaturze. Najstarszy syn pani Ireny już się wtedy ożenił. Jego żona była nauczycielką polskiego i rosyjskiego. Ona też wzięła na siebie częściową edukację Emilka. To nie była tylko moja zasługa, domu rodzinnego, ale też zasługa państwa Pawłowskich. Ich synowa, Krystyna, z domu Brudzińska – niestety już nie żyje – bardzo się w to zaangażowała. Później nawet się zaprzyjaźniłyśmy, bywała u mnie w domu. A jak Emilek chodził do szkoły, to pomagała mu w rosyjskim, bo miał dziwne opory w uczeniu się tego języka i był do tego jakoś mało zdolny.

Gdzie chodził do podstawówki? Wtedy była ośmioklasowa, a rosyjskiego uczyliśmy się obowiązkowo od piątej klasy.

Na Konwiktorskiej, parę kroków stąd. Wtedy już mieszkaliśmy na Bonifraterskiej. Przeprowadziłam się tu z synem, jak już wspomniałam, w marcu 1969 roku. Byłam sama z dzieckiem, moje małżeństwo dość szybko się rozpadło. Myślę, że przez ten wyjazd męża do Złotego Stoku. Gdy wrócił, nie akceptował rozwiązań, które przyjąłem, nie akceptował prywatnej opiekunki ani mojej pracy. Życzył sobie, abym tak jak jego matka, która nigdy nie pracowała zawodowo, zajmowała się tylko domem i wychowywała dzieci. Była typową

gospodynią domową w starym, przedwojennym stylu. Nigdy się nie buntowała, mało tego, zawsze uważała, że na tym polega rola kobiety w małżeństwie. Tak więc miałam przeciwko sobie nie tylko męża, ale i teściową, która w pełni go popierała. Do głowy by jej nie przyszło, że pójdę do pracy, oddam dziecko pod opiekę obcej osobie i tak zorganizuję sobie życie pod nieobecność jej syna, który ciężko pracował i robił uprawnienia budowlane. Gdy już otrzymał dyplom inżyniera, miał bardzo dobre propozycje pracy i naprawdę nieźle zarabiał. Jednak nasze wizje małżeństwa zaczęły się rozmiąć. Wcześniej nigdy o tym nie rozmawialiśmy, jak on to wszystko widzi, a jak ja. Totalna bezmyślność dwojga młodych ludzi. Miał 25 lat, gdy się ze mną ożenił, był pięć lat starszy. Moje argumenty absolutnie nie trafiały do niego ani do teściowej. Jedyną osobą akceptującą – po cichu – moje wybory był teść. Cudowny Lotar Barchański.

Ta rodzina przyjechała do Polski z Zaolzia w 1958 roku. Mój mąż Emil urodził się na Zaolziu, w Karwinie, rodzinnej miejscowości jego matki. To byli polscy patrioci, którzy znaleźli się w dużym konflikcie z Czechami. Przedwojenne wydarzenia, przede wszystkim wejście wojska polskiego na Zaolzie, po wojnie bardzo utrudniły życie mieszkającym tam Polakom. Część rodziny Barchańskich stała się Czechami, a część dokonała innego wyboru. Lotar Barchański zerwał kontakt ze swoimi braćmi, a Gabriela ze swoją rodziną, i przyjechali do Polski. Zamieszkali w Warszawie, w mieszkaniu służbowym, bo Lotar był wtedy wielką szczyłą. Został dyrektorem w zjednoczeniu przemysłu węglowego. Na tamte czasy miał bardzo prestiżową pracę, chociaż był

bezpartyjny. Nigdy nie wstąpił do PZPR. Proponowano mu stanowisko ministra, pod warunkiem, że zapisze się do partii. Odmówił. Cała rodzina miała zdecydowanie antykomunistyczne poglądy. Byli głęboko wierzący – wszyscy, matka, ojciec i dwóch synów. Mój mąż miał brata Maksymiliana, dwa lub trzy lata młodszego. Maksymilian studiował na Akademii Górniczo-Hutniczej, a potem pracował na Śląsku. Był kimś ważnym w kopalni. Sztynarem? Nie pamiętam. Tam się ożenił – z rozwódką z dzieckiem. I niestety rodzina nie zaakceptowała jego decyzji. Był uroczym człowiekiem, moim „kochanym Maksiem”. Zmarł w 2016 roku. Miałam dobre stosunki z teściem i szwagrem, natomiast skonfliktowałam się z mężem i teściową. Mąż postawił mi ultimatum: mam rzucić pracę, zabrać syna od pani Pawłowskiej i robić tak, jak on sobie życzy. Po kolejnej kłótni spakował się i wrócił do rodziców, a ja zostałam sama z dzieckiem. Miał nadzieję, że pójdę po rozum do głowy, opamiętam się i będzie mi tak źle, że ustąpię. Oczywiście zostawił mnie bez środków do życia. To miała być kara: proszę, to teraz pokaż, jaka jesteś samodzielna. Miałam wtedy 22 lata, byłam strasznie niedojrzała. Co z tego, że skończyłam studia? Co z tego, że byłam ważną kierowniczką Stołecznego Klubu SD? Co z tego, że dużo zarabiałam?

Tak dużo?

Nikt z moich koleżanek ani kolegów, którzy kończyli ze mną studia, nie miał takiej pensji – 2500 złotych. Mój bardzo zdolny kolega, Leszek Sokół, późniejszy ambasador RP w Norwegii, i jego żona Ania dostali wtedy pracę w PIW-ie.

W tym wydawnictwie można było otrzymać pensję maksymalnie w wysokości 1800 złotych. Ale ja, żeby się sama utrzymać, musiałam mieć jeszcze inne prace: dawałam korepetycje, przepisywałam teksty na maszynie. Musiałam brać dodatkowe zlecenia, żeby zarobić na opiekunkę, bo ona przecież opiekowała się Emilem za pieniądze. To była jej praca i zawsze była w pełni dyspozycyjna. Przyprawdzałam go do niej rano, zabierałam, gdy wracałam z pracy. Jak trzeba było, przychodziła i zostawała z nim na noc. Na początku proponowałam jej 1000 złotych miesięcznie. Początkowo było nas na to stać, bo mój mąż też miał dobrą pensję. Nie wiedziałam, że rozstanę się z nim tak szybko i będę żyć z jednej pensji. 1000 złotych to było dużo w tamtych czasach, pani Irenie te pieniądze były bardzo potrzebne. Jej mąż zarabiał niewiele, jedna pensja nigdy im nie wystarczała. Starłam się im pomagać materialnie, czasem coś kupić dla dzieci, książki, potrzebne rzeczy – jeśli tylko mogłam. Gdy sama zaczęłam mieć kłopoty finansowe, pomagałam im rzadziej, bo zwyczajnie nie miałam z czego, ale to był krótki okres.

Jak już mówiłam, w 1967 roku wreszcie zorientowałam się, gdzie pracuję. Powoli zbliżała się polityczna zawierucha z polskimi Żydami, która wybuchła w marcu 1968, ale pierwsze symptomy były widoczne już jesienią 1967. To było wyczuwalne w środowisku, z którym miałam do czynienia. W Klubie SD zaprzyjaźniłam się z trzema osobami, to było dwóch kolegów i koleżanka – wszyscy już nie żyją. Dwoje z nich było pochodzenia żydowskiego. I oni pierwsi, już jesienią 1967, zostali zwolnieni z pracy. Pracowali nie w kulturze, tak jak ja, ale w biurze politycznym Stołeczne-

go Klubu SD. Tym biurem kierowała wtedy pani Barbara Koziej-Żukowa, sekretarz Stronnictwa Demokratycznego. Działaczem partyjnym był tam też pan mecenas Edward Wende i jeszcze parę osób, które były wtedy bardzo znane. W każdym razie ja solidarnie stanęłam w obronie tych zwolnionych kolegów, z którymi zdążyłam się zaprzyjaźnić i którym dużo zawdzięczałam. Bardzo serdecznie i życzliwie przyjęli mnie w tej pracy i mi pomagali. Musiałam się im odwdzięczyć. W momencie gdy stracili pracę z powodu pochodzenia, chciałam się z nimi solidaryzować. Zresztą jeden z tych kolegów wcale nie był Żydem, ale zdecydowanie ich bronił, więc też został zwolniony. Wtedy ja, nie bacząc na nic, złożyłam wymówienie. Nie myślałam o tym, że jestem samotną matką, chociaż mąż już wtedy wyprowadził się do rodziców, nie dawał mi żadnych pieniędzy i czekał, aż się opamiętam. A ja zrezygnowałam z pracy zaraz po wyrzuceniu na bruk tych moich trojga przyjaciół. Była to obrzydliwa polityczna czystka, brutalna, wykonana na moich oczach. Poszłam do pani Koziej-Żukowej i ku jej wielkiemu zdumieniu złożyłam wymówienie. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam pytanie, czy ja na pewno wiem, co robię i jak się narażam. Ostrzegła, że mogę już nie znaleźć żadnej pracy i trafić na listę osób bardzo źle widzianych w tym kraju. Zapytała mnie, czy ja aby na pewno jestem Polką, nie Żydówką. Oznajmiła, że trzeba się zainteresować moim pochodzeniem. Przypomniała, że mam małe dziecko i w związku z nim różne zobowiązania. A kiedy nadal byłam nieugięta, na koniec zagroziła: „Koleżanko Barchańska, proszę pamiętać, że SD ma długie ręce i my panią zapamięta-

my. Nie znajdzie pani pracy tak łatwo! Pani wychodzi od nas z wilczym biletem. Proszę szybko kupić bilet do Izraela i wyjechać z żydowskimi przyjaciółmi, bo pani się już określiła politycznie”. Wtedy wyszłam i trzasnęłam drzwiami. Wkrótce jeden z tych zwolnionych znajomych, Polak, który się solidaryzował z pozostałą dwójką, załatwił mi nową pracę, już po miesiącu. Tak więc byłam tylko miesiąc bez środków do życia. Zaczęłam pracę w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych na ulicy Chmielnej (wtedy Rutkowskiego), w galerii prowadzonej przez dyrektora Władysława Walczaka. W tamtych latach był to bardzo znany marchand, animator kultury, założyciel stowarzyszeń przyjaciół sztuk pięknych, zaprzyjaźniony z wszystkimi ówczesnymi bonzami w Ministerstwie Kultury, w Wydziale Kultury KC i z samorządowcami. Człowiek o przedziwnych koneksjach, bezpartyjny, przedwojenny dyplomata.

Czym się zajmowałaś w tej galerii?

Nauczyłam się zawodu wydawcy. Redagowałam i wydawałam katalogi związane ze sztuką. Pomagałam w organizowaniu wystaw. Przygotowywałam skład techniczny publikacji, robiłam wszystko od podstaw, ale to była praca za grosze. Dostałam pensję w wysokości 1200 złotych, na etacie. Cieszyłam się, że nie jestem bezrobotna, że w ogóle ktoś mnie zatrudnił, po wcześniejszych groźbach. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych było organizacją pozarządową, społeczną, utrzymującą się ze składek, ale też z dotacji Ministerstwa Kultury. Długie ręce SD tam nie sięgnęły. PZPR też nie bardzo się wtrącała do pracy dyrektora Walczaka, ale przyjaźnił

się z tymi, z którymi należało się znać, żeby działać niezależnie. Pracowałam tam osiemnaście lat. Kim był dyrektor, dotarło do mnie później. Niektórzy nasi wspólni znajomi już w latach dziewięćdziesiątych sugerowali, że był pracownikiem MSW, tajnym agentem, i to wysoko postawionym, współpracował podobno z wywiadem wojskowym. Nigdy nie chciałam w to uwierzyć. Gdyby to była prawda, to... to byłoby straszne, bo ja mu bardzo ufałam, traktowałam jak ojca, ze wszystkiego mu się zwierzałam, nie miałam przed nim tajemnic. A on zawsze okazywał mi szacunek i uznanie. Nie chcę o tym myśleć... W TPSP wkrótce przeszłam na pół etatu, bo dostałam nową propozycję pracy, a dyrektor Walczak nie chciał mnie puścić. Inny z tych przyjaciół zwolnionych z biura SD znalazł mi drugą pracę. Nie miałam wygórowanych ambicji zawodowych, potrzebowałam pieniędzy na życie. Dostałam pracę w „Tygodniku Przemysłowo-Handlowym”, branżowym biuletynie związanym z SD, które wydawała Naczelna Rada Zrzeszeń Prywatnego Handlu i Usług. Należeli do niej tak zwani prywaciarze, strasznie wtedy piętnowani, ludzie, którzy mieli własne kwaciarnie, taksówki, budki, w których handlowali, rzemieślnicy, którzy świadczyli wszystkie możliwe usługi w różnych cechach. SD miało nad tym środowiskiem pieczę polityczną. Mój nowy dyrektor, pan Roman Stefański, był bardzo przyzwoitym człowiekiem, a moją bezpośrednią szefową została wspaniała pani Irena Klucz-Lewińska. Nauczyła mnie zawodu redaktora, dużo jej zawdzięczam. Przyjaźniłam się z nią potem przez wiele lat aż do jej śmierci. Zmarła w 1993 roku w wieku 93 lat. A jeszcze po drodze udało mi się ją wydać za mąż w 1970 roku,

gdy miała 70 lat. Było to już jej trzecie małżeństwo i, jak twierdziła, najlepsze. Była bezdzietna i trzy razy owdowiała, ale nigdy się nie skarżyła, miała duże poczucie humoru i bardzo kochała ludzi. Dużo mnie nauczyła, nie tylko zawodu redaktora, ale i tego, jak być w życiu dzielną i nigdy nie poddawać się rozpacz.

A kiedy poznałaś Jerzego Wardęckiego?

W 1968. Poznaliśmy się 25 albo 26 lutego w studenckim klubie Dziekanka na Krakowskim Przedmieściu. On mieszkał w tym akademiku, bo studiował malarstwo na ASP, a ja naprzeciwko, w przedwojennej kamienicy na Bednarskiej. Ze swoich okien widziałam Dziekankę i słyszałam grę na trąbkach, na skrzypcach, bo tam mieszkali też muzycy. Miałam przyjaciółkę Basię, sąsiadkę – to przyjaźń od piaskownicy aż do dziś. Basia była też świadkiem moich przygód w pierwszym małżeństwie. Tamtego wieczoru bardzo chciała iść do klubu, miał się odbyć koncert Ewy Demarczyk, a potem tańce. Wyciągnęła mnie. Emilkiem zaopiekowali się chętnie zaprzyjaźnieni sąsiedzi, państwo Górscy. Pani Góraska robiła to z życzliwości, za darmo. Zostawała z nim raz, dwa razy w miesiącu, gdy chciałam wyjść do kina, do teatru czy potańczyć w studenckich klubach. Chodziłam do Stodoły, Hybryd, Dziekanki. Uwielbiałam tańczyć, podobno byłam bardzo dobrą partnerką w tańcu. Czasami myślę, że wyszłam za mąż za Emila tylko dlatego, że znakomicie tańczył, a rock and rolla wręcz po mistrzowsku. Poznaliśmy się na parkiecie w klubie Stodoła latem 1960 roku. On miał 21 lat, a ja 16. W tańcu byliśmy świetnie dobraną parą. Gdy-

byśmy się tak dobrali w życiu jak w tańcu, to pewnie byłabym z nim do śmierci. Tańcząc z nim, odczuwałam wielką radość. Byłam z nim wtedy naprawdę szczęśliwa. Do dziś pamiętam nasz pierwszy szalony taniec w klubie Stodoła, a minęło już 57 lat!

Z Jerzym też poznaliście się w tańcu?

Tak. Tańcząc przy melodii z filmu Leloucha *Kobieta i mężczyzna*. Nie zaśpiewam ci tej melodii, bo fałszuję. „Sza-ba-ba-ba...”. I tak to się zaczęło. Umówiliśmy się na randkę za dwa czy trzy dni. Tego popołudnia strasznie padał deszcz i po prostu nie poszłam. Uznałam, że to za duże poświęcenie. Poza tym znowu musiałabym prosić o opiekę nad Emilkiem.

I Jerzy na próżno czekał w deszczu?

Wcale nie. Wychodził na balkon w Dziekance i patrzył, czy przyszłam. Umówiliśmy się na skwerze Hoovera. Wtedy ten skwer wyglądał inaczej niż obecnie. Rósł tam piękny kasztanowiec, pod nim był murek. Na tym murku pod drzewem mieliśmy się spotkać. Oboje mieszkaliśmy blisko tego miejsca, byliśmy wygodni. Wtedy, podczas tej ulewy, pomyślałam sobie, że jeżeli ten człowiek ma być dla mnie ważny, to jeszcze go spotkam, w końcu mieszkamy niedaleko od siebie, gdzieś na niego wpadnę, i tak się stało. Ale dopiero pod koniec kwietnia. Minął marzec i pamiętne wydarzenia marcowe. W kwietniu, 23., są imieniny Jerzego. Wpadliśmy na siebie parę dni po jego imieninach. Przypadkiem kupowaliśmy papierosy w kiosku obok kawiarni Telimena na Krakowskim Przedmieściu. Od razu przeprosiłam Jerzego, że nie

przyszłam na spotkanie, a on powiedział, że też nie przyszedł w ten deszcz, tylko stał na balkonie. Zaproponował, żebyśmy się znowu umówili. Wtedy żyliśmy wypadkami marcowymi. On również był świadkiem okropnych scen na Krakowskim Przedmieściu. Opowiadaliśmy sobie o tym i to nas jakoś połączyło. Okazało się, że mamy podobne spojrzenie na rzeczywistość. Tak się zaczęła ta znajomość. Nie spotykaliśmy się często, bo byłam ograniczona obowiązkami. Na drugiej randce powiedziałam, że jestem w separacji z mężem i mam trzyletniego synka. Jerzemu wcale to nie przeszkadzało. Nie zdziwił się, nie przestraszył. Tak jakby to do niego nie dotarło. Podkreśliłam, że w zasadzie ma do czynienia z kimś, kto żyje jak panna z dzieckiem. Właściwie od dawna czułam się bardziej panną z dzieckiem niż mężatką. Mój mąż Emil wpadał raz na kilka dni, żeby zobaczyć syna, i za każdym razem składał mi tę samą propozycję: „Rzucasz pracę, zajmujesz się dzieckiem, przechodzisz na moje utrzymanie i stwarzasz dom mnie i dziecku. Nie będziesz dłużej egoistycznie realizować swoich ambicji zawodowych”. Według niego ambicje zawodowe mogły realizować te kobiety, które nie miały dzieci. Dziecko i ambicje zawodowe były nie do pogodzenia. Oznajmił, że gdy syn pójdzie do szkoły, może mi pozwoli wrócić do pracy. Może pozwoli, podkreślił.

Ale gdy Emil poszedł do szkoły, byliście już po rozwodzie.

Tak, wtedy nawet wzięłam już ślub z Jerzym. Również dlatego, żeby dziecko miało jasną sytuację. Zdecydowały poglądy konserwatywne. Uznałam, że nie mogę narażać dziecka na nieporozumienia, zwłaszcza że Jerzy od początku był tętą, tak

Emilek go nazywał. Wzięliśmy ślub w 1972 roku, po czterech latach znajomości. Jerzy pięknie zachowywał się wobec dziecka. Bardzo się nim interesował, polubił Emilka, pokochał. Z ogromną wzajemnością. Emil lgnął do niego od początku, bardziej niż do rodzzonego ojca, który nie był przytulanką. Preferował raczej zimny wychów, chłodny dystans i uwagi krytyczne na każdym kroku. Natomiast Jerzy to był idealny towarzysz do zabawy. Schodził na poziom dziecka, wspaniale się razem bawili klockami, samochodzikami. Lubili puszczać razem latawce. Przychodzili w okolice Bonifraterskiej, gdy jeszcze nie było tam bloków ani drzew, tylko wielka przestrzeń i pole kapusty, zasianej przez ojców bonifratrów z tutejszego klasztoru. A dlaczego przychodzili? Spółdzielnia zamierzała wybudować tu blok, w którym miałam dostać mieszkanie. Właśnie. Zaraz powiem o głównej przyczynie, dla której wzięłam rozwód. Może bym się wcale z tym rozwodem nie spieszyła i nie wchodziła w związek z Jerzym ani z nikim, gdybym miała nadzieję, że to moje małżeństwo da się jeszcze skleić. Ale straciłam tę nadzieję, bo mój mąż – muszę to szczerze powiedzieć – jeden raz w życiu zachował się w sposób zdecydowanie nieprzyzwoity wobec mnie i dziecka. Ta spółdzielnia mieszkaniowa, o której już wspominałam, miała oddać do zasiedlenia pod koniec 1968 roku dwa bloki na Bonifraterskiej. A mój mąż już w 1967 roku, kiedy byliśmy pół roku w separacji, wycofał wkład na mieszkanie, 30 000 złotych, i oznajmił w spółdzielni, że rezygnujemy z mieszkania. Zrobił to bez porozumienia ze mną. Dowiedziałam się o wszystkim przypadkowo od prezesa spółdzielni, którego kiedyś poznałam w Klubie SD. Pan Boberski poinformował

mnie, że ani mąż, ani ja nie jesteśmy już członkami spółdzielni. Jeśli chcę to zmienić i zatrzymać miejsce w kolejce na mieszkanie, muszę z powrotem wpłacić tę sumę w ciągu dwóch tygodni. Pracowałam już wówczas w „Tygodniku” i pan dyrektor Stefański oraz moja szefowa, pani Irena Klucz-Lewińska, którym z płaczem opowiedziałam o tej sytuacji, postanowili pożyczyć mi tę kwotę. Dali młodemu pracownikowi – bo nie przepracowałam tam jeszcze nawet roku – ogromną jak na owe czasy sumę. To była pożyczka, której bym w banku nigdy nie dostała. A jeszcze nie wspomniałam, że gdy przyszedłam tam do pracy, to dostałam bardzo dobrą pensję, 3500 złotych, więcej niż w Stołecznym Klubie SD. Także wtedy byłam już niezależna, samodzielna finansowo, bo zachowałam jeszcze pół etatu w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Podniosłam pensję opiekunce Emila, pani Pawłowskiej, żeby miała bardziej godziwe wynagrodzenie. Płaciłam jej wtedy 1200 albo 1300 złotych, już nie pamiętam. W „Tygodniku Przemysłowo-Handlowym” pracowałam sześć lat. Odeszłam stamtąd w 1973 roku z pensją 5000 złotych. Przeszłam do Wydawnictwa Horyzonty, a wcześniej jeszcze pracowałam rok w Naszej Księgarni, w miesięczniku „Szkoła Zawodowa”. Bardzo mi się tam nie podobało. Nudziłam się. Szukałam czegoś ciekawszego i trafiłam do Wydawnictwa Horyzonty na ulicy Konopnickiej, które było wtedy w rękach ZHP, zanim połączyła je Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, należąca do RSW Prasa Książka Ruch, czyli firmy pezetperowskiej. Tak chciałam uciec od tej polityki, ale nie dało się. W PRL-u dokądkolwiek człowiek poszedł, zawsze władza go dopadała.

Wspomniałam o stronie finansowej całej sytuacji, bo zapytałaś, kiedy się rozwiodłam. W styczniu 1970 roku, po tej historii ze spółdzielnią. Blok na Bonifraterskiej oddano ze sporym poślizgiem, wprowadziliśmy się tam z Jerzym i Emilkiem w marcu 1969 roku. Ale to nie było to mieszkanie, w którym teraz rozmawiamy, tylko inne, pierwsze, na parterze, w sąsiedniej klatce. Ten parter wybraliśmy świadomie, z uwagi na małe dziecko, wózek i tak dalej. Nie wyobrażaliśmy sobie wtedy, że dziecko z małego tak szybko zrobi się duże. Mogliśmy wybrać piętro, ale z uwagi na Emilka wybraliśmy parter. Odwdzięczyłam się moim przyjaciołom z SD, tym, którzy mi pomogli, i też ich pozapisywałam do tej spółdzielni, zostali wciągnięci na listę. Również kilku moich przyjaciół ze studiów. Wszyscy dostali tu w okolicy mieszkania – i to w czasach, gdy się latami czekało na własne M. Nasze pierwsze mieszkanie miało 38 m², dwa pokoiki z kuchnią. Po dziesięciu latach zamieniliśmy je na większe o 10 m², też na parterze, w tej samej klatce. Już po śmierci Emila przenieśliśmy się do obecnego mieszkania, znowu o 10 m² większego. Jerzy potrzebował dodatkowego pokoju na pracownię malarską. Potrzebne nam były dodatkowe metry.

Wspominałaś, że co dziesięć lat było was stać na kolejne 10 m², na które Jerzy zarabiał malowaniem obrazów.

Właśnie tak. Moja pensja szła na bieżące wydatki, na utrzymanie domu, a to, co Jerzy w życiu zarobił na swojej sztuce, inwestował w mieszkanie. To mieszkanie to jego dorobek. Nie miał nigdy samochodu, nie stać go było na żadne eks-

trawagancje, nie zrobił takiej wielkiej kariery, za którą by szły duże pieniądze. Miał swoje pięć minut sławy, częściej za granicą niż w Polsce. Nigdy nie umiał odcinać od tego kuponów, promować się. Nie był dobrym rzecznikiem własnych spraw. Ja byłam stale zajęta pilnowaniem spraw bytowych, zarabianiem pieniędzy na dom, na rodzinę. Miałam w tym związku bardziej męską rolę. Zemściło się na mnie to, co prorokował mój eksmąż: „Jak chcesz być całe życie chłopem, to będziesz”. Jak to teraz wspominam, to się śmieję, że przewidział *gender*.

Czy pamiętasz jakieś przyjaźnie małego Emila po przeprowadzce na Bonifraterską?

Bardzo dobrze. Gdy się wprowadziliśmy, w sąsiedniej klatce na pierwszym piętrze wynajmowali mieszkanie Japończycy. Mieli córeczkę w wieku Emila, trzy-, czteroletnią. Miała na imię Joka. Zaprzyjaźnili się na podwórku. Emil chodził do niej się bawić, bardzo się lubili. Nie wiem, w jakim języku rozmawiali, na pewno nie po polsku ani nie po japońsku. Mam nawet takie zdjęcie, na którym Joka i Emilek stoją na balkonie. To była dziecięca miłość wzajemna. Później Japończycy się wyprowadzili. Gdy Emil miał pięć lat, poznałam w pracy Stenię Marszał. Emil bardzo ją polubił i od razu nazwał Joką. Może przypominała mu ulubioną przyjaciółkę? Pracowałam ze Stenią w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, organizowała tam wystawy, prowadziła finansy TPSP i była prawą ręką dyrektora Walczaka. Zaprzyjaźniłam się z nią i jej rodziną, miała dwóch synów i córkę. Jeden z synów, Marek, był w moim wieku, drugi, Sławek,

trochę młodszy, córka Marylka miała piętnaście lat. Jerzy również bardzo ich polubił. Traktowałam Jokę jak przybraną mamę, a jej dzieci jak rodzeństwo, którego nigdy nie miałam. To była niesamowicie ciepła, otwarta, serdeczna i czuła osoba. Miała wszystkie te cechy, których nie miała moja śp. mamusia. Okazywała miłość drugiemu człowiekowi na co dzień, a ja czerpałam z tego pełnymi garściami. Kochała świat, ludzi i gdyby mogła, toby drugiemu nieba przychyliła. Była niezwykle dobrym człowiekiem. Nie znałam wcześniej nikogo, kto by potrafił tak okazywać uczucia. Stenia przytulała, głaskała, mówiła ciepłe, miłe słowa, mnóstwo komplementów. Cieszyła się na widok drugiego człowieka, od razu chciała coś dla niego zrobić, w czymś pomóc. Ona i mąż poznali się w Łomży, działali w Armii Krajowej, brali udział w Powstaniu Warszawskim, ale nie chcieli o tym mówić, nawet w latach siedemdziesiątych, kiedy się poznaliśmy. Stenia *vel* Joka mówiła zawsze do mnie: „córeczko”, „dziecko moje”, matkowała mi. Zapraszała nas na Wigilie, na Wielkanoc. Zawsze się znalazło dla nas trojga miejsce przy stole tej pięcioosobowej rodziny. Marszałowie mieszkali na Starym Mieście, na ulicy Świętojańskiej, naprzeciwko katedry św. Jana, na ostatnim, czwartym piętrze bez windy. Pamiętam, że musiałam wnosić tam Emila na rękach, żeby nie dostał duszności, bo chorował na astmę. Ale i ja, i Jerzy uwielbialiśmy tych ludzi, byliśmy spragnieni ich towarzystwa, bo to był ciepły, dobry dom. Gdy tam przychodziłam, zawsze na kuchni stał duży garzpy jarzynowej. Nigdy nie zapomnę jej smaku. Było w niej dużo jarzyn i śmietany. Stenia mówiła, że to najzwyklesza

kartoflana z jarzynami. Zawsze można było dostać tę zupę i herbatę. Stenia nakarmiła, pocieszyła, obdarzyła dobrym słowem. Dlaczego o tym opowiadam? Bo Emil znalazł tam kochający dom. Gdy się skończyły codzienne pobyty w domu pani Ireny Pawłowskiej, gdzie też było sporo ludzi, zaczął bywać w domu Steni. Otaczały go duże rodziny i właściwie nigdy nie czuł się jedynakiem. To byli bardzo życzliwi ludzie. Oczywiście wiedział, że to są przyjaciele, wiedział, że ma jedną babcię, Barchańską. Odwiedzał ją raz na parę miesięcy, bywał tam z ojcem, ale nigdy nie wracał stamtąd tak szczęśliwy jak od Marszałów, od Steni *vel* Joki. Uwielbiał też Marylkę, która była od niego kilka lat starsza. Marylka często zabierała go do zoo. Bardzo to lubił. Nie chodził tam ze mną ani z Jerzym, ale właśnie z Marylką. Wspominał to po latach z sentymentem. Miałam szczęście do ludzi, obcych ludzi, którzy i mnie, i mojemu dziecku chcieli stworzyć drugi dom, przyjazne, życzliwe środowisko. Wiedziałam, że jak tam pójdę, to zawsze będę serdecznie przyjęta i nakarmiona. To był ich naturalny odruch, a to nie były zamożne domy. Dzielili się tym, co mieli. Czym chata bogata, tym rada. Jak próbuję podsumować życie z perspektywy tylu lat, to zdaję sobie sprawę, że ci wszyscy dobrzy ludzie na mojej drodze to była łaska, dary Boże. Miałam szczęście do dobrych ludzi. Muszę o tym pamiętać, być wdzięczna, ale uświadomiłam to sobie dużo później.

EMIL. CZASY SZKOLNE

„Chciałbym być jak ten kamień nad Wisłą”

Emil chodził do Szkoły Podstawowej nr 233 na Konwiktorskiej. Lubił tę szkołę? Swoją klasę? Sam był lubiany?

Na wszystkie pytania odpowiadam: tak. Nie miał konfliktów. Lubił się uczyć. Lubił kolegów i koleżanki. Pamiętam, że raz, w piątej klasie, pobił się z kolegą. To kolega go zaczepił, obraził, w każdym razie doszło do bójki. Emil bardzo źle się z tym czuł, że uderzył tego chłopaka. To go gryzło i w końcu przeprosił kolegę, choć tamten podobno był winien. W dzieciństwie Emil miał tylko jeden krzyż: chorobę. Był alergikiem, astmatykiem. Lekarz powiedział mi kiedyś, że mój syn powinien żyć w bunkrze, bo jest prawie na wszystko uczulony. Dlatego nie było mowy, żebym zrezygnowała z prywatnej opiekunki i zapisała go do przedszkola. To nie było możliwe ze względów zdrowotnych. Z tego samego powodu nigdy nie pojechał na żaden obóz ani kolonie. W grę wchodziły tylko prywatne wyjazdy. Bardzo często bywał w sanatorium z powodu astmy oskrzelowej. Jeździł do Rabki. Na początku podstawówki też bardzo chorował. Dlatego tak długo był pod opieką pani Pawłowskiej, czyli „mamy Irenki”. Opiekował

się nim również Jerzy, ale on też miał czasem jakieś pilne zajęcia na ASP, bo to był tak zwany wieczny student i długo robił dyplom.

Czym fascynował się Emil, gdy był w podstawówce? Miał jakieś hobby? Naśladował może malarstwo Jerzego?

Tak. Jerzy pisał wiersze i malował. Emilek też pisał wiersze i malował. Tak mi się wydawało, że to są wiersze. Wiersze bez rymu. Białe. Czasami mu się coś zrymowało. Kiedyś, gdy był u pani Pawłowskiej, ułożył tam wiersz. Napisał go na kartce, którą mi potem dała. To jest dla mnie jakaś metafizyczna sprawa, czysto duchowa. Parę dni wcześniej przyjechała do nas w odwiedziny mama Jerzego. Chodziliśmy z nią na spacer na Stare Miasto, nad Wisłą. Takie rodzinne spacer z Emilkiem, miał wtedy dziewięć albo dziesięć lat. Na jednym spacerze oglądaliśmy duży kamień koło mostu Gdańskiego. Ten kamień jest tam do dziś. Jerzy robił nam zdjęcia. Na jednym stoimy we troje: teściowa, Emilek i ja. Emilek bez zęba na przedzie, to był czas, kiedy tracił mleczne zęby i rosły mu nowe. Tak mu się podobał ten spacer, rzeka i ten kamień, że u pani Pawłowskiej napisał wiersz, który miał mniej więcej taki niby-refren: „Chciałbym być jak ten kamień nad Wisłą i pozostać tam nad Wisłą na wieki”.

Przejmujące w kontekście tego, co się stało siedem lat później.

Tak strasznie żałuję, że gdzieś zgubiłam tę kartkę. Może się jeszcze odnajdzie. To była zwykła kartka wyrwana z zeszytu

z wierszem nabazgranym dziecięcym pismem. Wtedy jeszcze bazgrał, z czasem nauczył się ładnie pisać. Natomiast całkiem nieźle rysował. Zaczął oczywiście od komiksów. Tylko kilka kartek się zachowało. Rysował też kwiaty i wnętrza, tak jak tata Jerzy.

W tamtych latach chłopcy uwielbiali komiksy z serii „Tytus, Romek i A’Tomek”. Mój mąż je kolekcjonował, potem uwielbiał je czytać nasz syn, a ja całkiem niedawno odkryłam, że byłeś redaktorem tych książeczek i współpracowałaś z Papciem Chmielem. Emil pewnie też lubił te komiksy.

Oczywiście. Miał wszystkie. Podjęłam się redagowania komiksów, kiedy zaczęłam pracować w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w Wydawnictwie Harcerskim „Horyzonty”, w redakcji literatury dla dzieci i młodzieży, później przekształconym w Młodzieżową Agencję Wydawniczą. Po paru latach zostałam uznana przez swoich szefów za specjalistę od komiksów i ciągle mi zlecali redakcję komiksów kolejnych nowych autorów, którzy podejmowali współpracę z MAW-em. Wydawałam więc nie tylko popularne komiksy Papcia Chmiela, czyli Henryka Jerzego Chmielewskiego – który dziś ma już 94 lata! – ale i znakomitego Tadeusza Baranowskiego, bliskiego kolegi mojego męża ze studiów, autora m.in. *Skąd się bierze woda sodowa* czy *Na co dybie w wielorybie czubek nosa Eskimosa* i *Antresolka profesorka Nerwosolka*. Jego specjalność to surrealistyczne historie, opowiedziane z dużym poczuciem humoru, świetne teksty w dymkach i oryginalne, znako-

mite rysunki. Jerzy ze wszystkich polskich komiksów najwyższej cenił komiksy Baranowskiego, choć jednocześnie żałował, że jego utalentowany kolega porzucił malarstwo na rzecz komiksu. Jerzy nie uważał komiksów za sztukę. Redagowałam też popularne komiksy Szarloty Pawel z cyklu *Jonka, Jonek i Kleks* oraz jeszcze kilku innych autorów drukujących swoje historyjki rysunkowe w odcinkach w „Świecie Młodych”, znanym wówczas czasopiśmie harcerskim. Dawno nie wspominałam tamtych czasów, wyleciało mi z głowy wiele nazwisk... Zrobiłam też jedną rzecz, do której muszę się przyznać, choć niechętnie, bo nie ma się czym chwalić...

Mianowicie?

W stanie wojennym, w lutym 1982 roku, kiedy Emil planował akcję na pomnik Dzierżyńskiego, jego mama zgodziła się wystąpić w „Teleranku” i – jako specjalista od dziecięcych komiksów – opowiedzieć o nich. A przecież wtedy był bojkot telewizji. Artyści odmawiali udziału w programach telewizyjnych, nie oglądało się „Dziennika”, w porze jego emisji ludzie wychodzili na spacer, a tu, proszę, ja w telewizji. Bardzo mnie o to prosili moja szefowa i szef, z którymi byłam zaprzyjaźniona i sporo im zawdzięczałam. Zawsze pamiętałam o tym, że jeśli ktoś mi w życiu pomógł, to nie mogę mu odmówić. Poszłam więc – chodziło o firmę, o wydawnictwo, żeby nagłośnić tytuły, że to będzie miało wpływ na sprzedaż... Zgodziłam się. W marcu zdarzyły się te wypadki z Emilem, aresztowanie. Gdyby szef wtedy poprosił mnie o udział w programie telewizyjnym, na pew-

no bym odmówiła, ale to było wcześniej. „Teleranek” to nie „Dziennik”, ale mimo wszystko... Reżim, stan wojenny... Potem się tego bardzo wstydziłam, żałowałam, zwłaszcza że Emil mi powiedział: „Mamo, ty lepiej siedź cicho, nie przyznawaj się, że byłaś gwiazdą »Teleranka«. Dobrze, że mówiłaś tylko o komiksach. Ale jak cię jeszcze raz o poproszą, nie zgadzaj się, nie rób tego więcej”. Był dla mnie wyrozumiały. Usprawiedliwiałam się, że nie było nikogo, kto by mnie zastąpił, taka byłam ważna w tych komiksach (śmiech). Rzeczywiście sporo wiedziałam, nawet pisałam o nich do „Życia Warszawy”. Recenzowałam je, oceniałam. Ale muszę ci się przyznać, że miałam dylemat, bo wcale nie byłam wielbicieleką komiksów ani ich czytelniczką. To był zawodowy przymus. Miałam inne ambicje, chciałam zajmować się literaturą wysokich lotów. Jako dziecko też nie czytałam komiksów, nie lubiłam, a Emilowi obrzydzałam je, jak tylko mogłam. Mówiłam mu: „No wiesz, jak możesz to czytać? Czytaj lepiej ciekawe książki”. A z Henrykiem Chmielewskim, Papciem Chmielem, spotkaliśmy się przypadkowo raz czy dwa w Zakopanem. Jerzy się z nim szybko zaprzyjaźnił. Ja raczej zachowywałam dystans, wołałam się nie zaprzyjaźniać z autorami, boby mi to potem przeszkadzało we współpracy. Jerzemu bardzo imponował jego życiorys, powstańcze przeżycia. Kiedyś Papcio Chmiel oprowadził go po Starówce, pokazał, gdzie mieszkał przed wojną i gdzie walczył w czasie Powstania Warszawskiego. Choroba Jerzego pod koniec lat czterdziestych przerwała tę znajomość, jak i wiele innych. Zachorował na zapalenie płuc i prawie rok leżał w szpitalu.

Wolałaś, żeby Emil czytał dobrą literaturę. Pamiętasz, które książki mu się podobały w dzieciństwie?

Te, które dostawał ode mnie. I jeszcze w spadku po mojej mamusi. Moje i jej lektury. Zachowywałam się jak pies, który swoją ulubioną kość niesie do ukochanego pana, aby mu sprawić przyjemność, którą sam odczuwa. Więc ja też swoje „kości” i książki mojej mamy przekazałam Emilowi. Mama mnie, ja synkowi. Czytał klasykę, począwszy od *Baśni* Andersena, wiersze Tuwima, wiersze Brzechwy, *Akademii Pana Kleksa*, powieści Makuszyńskiego, Trylogię Sienkiewicza. Nie pamiętam już tych tytułów, tyle ich było. O, miałam taką piękną powieść radziecką *Ulica młodszego syna*. O Wołodii Synczynie. Piękna, wzruszająca historia, ale oczywiście propagandowa, co dotarło do mnie dużo później. To była moja zapamiętana lektura z dzieciństwa. Pamiętam też taką węgierską powieść *Bądź zawsze dobry* Zsigmonda Móricza. Dostałam ją od mamusi. Bardzo mi się podobała ta książka. I jeszcze *Serce* Amicisa, też prezent od mamy. Nadal mam w domu te książki, Emil też je czytał. Czy miał jakąś jedną, ukochaną książeczkę? Mam do siebie wielki żal, że za mało z nim rozmawiałam, że o wiele rzeczy nie dopytałam. Myślę, że Jerzy, gdyby żył, odpowiedziałby lepiej na te pytania. Wiedział więcej, miał z nim kontakt przez kilka godzin dziennie. Ja spędzałam wiele godzin poza domem. Czas, który poświęcałam Emilowi, był ograniczony, głównie soboty i niedziele. W domu też zawsze miałam jakieś prace zleczone, zawsze coś do zrobienia. Jerzy więcej by wiedział, cała rodzina pani Pawłowskiej pewnie by wiedziała więcej ode mnie. Emil im opowiadał o sobie, chwalił się sukcesami, mówił, co w szkole.

A potem ze mną już nie wracał do tych tematów. Taka była cena, jaką zapłaciłam za swój wybór. Gdybym zrobiła tak, jak chciał ojciec Emila, i zajęła się tylko dzieckiem, pewnie bym umiała odpowiedzieć na twoje pytania. Niestety mam ograniczoną wiedzę albo po prostu nie pamiętam. Może nie interesowałam się tym tak, jak powinnam. Wiem, że uwielbiał prezent, który dostał od ojca (biologicznego) – duży tor wyścigowy z samochodzikami. Bardzo droga zabawka. Jedna z nielicznych, jakie ojciec mu kupił, gdy Emil był dzieckiem. Emilek zapraszał kolegów z podwórka, młodszych i starszych, którzy przychodzili, żeby się bawić tymi samochodzikami. Zaskarbił sobie tym ich sympatię. Ta zabawka wydawała mu się znakomita. Mnie nigdy nie byłoby na nią stać. Chętnie się nią bawił z Jerzym. Z tatą Emilem – ani razu. Miał też taką kolejkę, ciuchcię z wagonikami, też ją lubił. Często grali z Jerzym w domino, bierki, w warcaby, w szachy raczej nie. Emil lubił gry planszowe. Jedną nawet sam zrobił. To chyba był „Monopol”. Już nie pamiętam. Jerzy by wiedział...

Czy Emil był w harcerstwie?

Nie. Głównie z powodów zdrowotnych. Często wyjeżdżał do sanatorium. W czasie wakacji nie mógłby pojechać samodzielnie na obóz. Nie nadawał się z powodu astmy oskrzelowej na tle alergicznym.

U was w domu zawsze były koty. Wiele kotów. Którego z nich najbardziej lubił?

Uwielbiał kota Bartka. Kocur był podobnie umaszczonej jak kotka, którą teraz mam. Biały z czarnymi łatkami. Kilku-

letni Emil przyniósł go na rękach do domu, dbał o niego, hołubił. To był jego kot, który z nim spał i odrabiał lekcje. Gdy Bartek miał już rok czy dwa, nastąpiła w domu czarna kotka Kasia. I przez pięć lat mieliśmy dwa koty. Niestety, gdy wracaliśmy z kotami z wakacji, Kasia została w tak-sówce i zaginęła. I wtedy Emil bardzo mnie prosił, żebyśmy wzięli pieska, bo Bartek jest bardzo samotny, niech ma towarzystwo. Koleżanka z pracy, a pracowałam wtedy w MAW, powiedziała mi, że jest szczeniak do wzięcia, ciekawa mieszanka wyżła i bokserki. Wzięliśmy tę suczkę, otrzymała imię Bubulina. Jerzy tak ją nazwał, w skrócie Buba. Była czarna i cała pomarszczona jak staruszka, rozbijającą brzydka. Przypominała Bubulinę z *Greka Zorby*, a wszyscy oglądaliśmy ten film z wielką przyjemnością, szalenie nam się podobał. Kot Bartek szybko się z Bubą zaprzyjaźnił, Ignął do niej, a ona do niego. Buba to był pierwszy i ostatni pies Emila – ukochany. Rósł jak na drożdżach, błyskawicznie. Okazał się przepięknym psem, bardziej podobnym do wyżła niż do bokserki. Miał łeb wyżła, ale w budowie coś z bokserki; czarną lśniącą sierść, białą krawatę w czarne kropki, białe skarpetki. Wcześniej u nas w domu były tylko koty, koty i koty. Kiedyś jednocześnie było ich siedem, bo nasza parka zafundowała sobie pięćoro małych. Spotkało nas to dwukrotnie – w 38-metrowym mieszkaniu. Emil uważał, że jest prawie na wszystko uczulony, ale nie na sierść, tylko nie na sierść. „Przecież bym o tym wiedział!”, mówił i był szczęśliwy, że ma te zwierzęta. Bardzo się nimi opiekował, tak jak małymi dziećmi. Bubulina była z nami niecały rok. Emil poszedł wtedy,

3 czerwca 1982 roku, nad Wisłę razem z nią. Pies nigdy nie wrócił. Pewnie też zginął.

Emil lubił przyrodę? Wycieczki?

Tak, bardzo, ale kontakt z przyrodą utrudniała mu alergia i astma.

Pewnie nie mógł też uprawiać żadnego sportu?

Raz się przełamał. Kichał, prychał, ale się nie poddawał, bo pokochał konie. To była jego ostatnia pasja w życiu. Gdy miał 14 lat, pojechaliśmy do Zaborowa. Tam odkrył, że są na świecie konie. W Zaborowie była niewielka stadnina i można było pojeździć konno. Kiedy Emil pierwszy raz wsiadł na konia, był tak zachwycony, że aż mu się oczy świeciły. Od tamtej pory jeździł do Zaborowa z nami i bez nas, trzydzieści kilometrów autobusem. W weekendy i w tygodniu, po lekcjach. Bałam się, że zawali szkołę. To było hobby kosztem nauki. Tam też narodziła się inna pasja. W Zaborowie poznał ludzi, którzy zajmowali się filmem, m.in. reżysera, pana Andrzeja Trzos-Rastawieckiego, który często tam bywał ze swoją narzeczoną i opowiadał o swojej pracy. Pod wpływem tej znajomości Emil postanowił, że będzie reżyserem filmowym. Interesowały go filmy i konie. Zaborów jest urokliwym miejscem, Jerzy namalował nad tamtejszym stawem kilka pięknych pejzaży, które natychmiast sprzedał. Te obrazy w galeriach szły jak woda. Autorka spektaklu telewizyjnego *Sprawa Emila B.*, Małgosia Imielska, powiedziała mi, że podobno Emil pisał jakieś scenariusze, że miał w planie zrobienie

filmu amatorskiego. Nie miałam o tym pojęcia. Dowiedziałam się o projekcie dopiero od niej, wiele lat po śmierci Emila. Mnie mówił tylko, że chce zostać reżyserem. Taki zawód wybrał, gdy był w pierwszej klasie liceum, w tym kierunku chciał potem iść na studia.

Lubił kino. Pamiętasz, jakie filmy mu się podobały?

Prawie wszystkie. Często chodziliśmy razem do kina, we troje. Oglądał z nami filmy dla widzów od lat osiemnastu, chociaż był nieletni. Byliśmy bardzo tolerancyjnymi rodzicami. Najczęściej chodziliśmy do kina Relaks. Pamiętam, że byliśmy na filmie *Czas Apokalipsy* z Marlonem Brando, grali to w stanie wojennym w kinie Moskwa. Jest takie znane zdjęcie Chrisa Niedenthala przedstawiające czołg stojący przed kinem, na tle plakatu z tytułem tego filmu. Emil bardzo lubił musicale. Ukochany musical to *West Side Story*. Emil wypatrzył, że wyświetlają go gdzieś na Kredytowej w takiej małej salce, w jakimś podziemnym klubie. Uprzejmie mnie tam ze sobą zabrał. Ja oglądałam ten film wiele lat wcześniej, ale w innych warunkach. Pamiętam, że Emil był zachwycony tym filmem. Bardzo lubił też *Hair*. I jeszcze trzeci: chyba *Grease* z Johnem Travoltą, ale nie jestem pewna, czy dobrze pamiętam.

A jaką muzykę lubił? Czego słuchał? Kiedyś wspominałaś, że lubił tańczyć.

Słuchał różnej muzyki. I Kaczmareckiego, i Presleya. Lubił tańczyć, tak, miał to w genach. Ja go nauczyłam tańczyć rock and rolla. Tańczył ze mną, ale za mało miejsca mie-

liśmy w pokoju. Tylko że w tej dziedzinie też miał barierę, tak jak przy koniach. Przy większym wysiłku dostawał skurczu oskrzeli. Co prawda zaczynał z tego wyrastać, chorował rzadziej, ale jednak ciągle miał ograniczenia. Również z tego powodu w ogóle nie wchodził do wody. Miał uraz. Nie chodził na basen, nie nauczył się pływać. W upalne dni koledzy namawiali go, by szedł z nimi na basen, a on kategorycznie odmawiał. Tłumaczył, że nie może. W sierpniu 1980 roku, gdy wybuchły strajki na Wybrzeżu, byliśmy nad morzem. W Trójmieście, głównie w Sopocie i Gdyni-Orłowie. Ja i Jerzy pływaliliśmy w morzu, a Emil tylko spacerował brzegiem. Unikał wody, nie lubił nawet, żeby fala obmywała mu stopy. Od razu czuł skurcz oskrzeli i miał atak duszności. Owszem, opalał się, tamtego lata nawet za bardzo się spiekł, schodziła mu skóra. Do tego cały był obsypany piegami. Wtedy dowiedział się, że jest piegusem. Po wakacjach przypominał indyjskie jajo. Gdy przyszedł do szkoły, od razu dostał ksywkę „Piegus”. Był zdumiony, że tak wygląda. W ulicznej foto-budce zrobił sobie na pamiątkę kilka śmiesznych „miniastych” zdjęć podobno po to, żeby te piegi udokumentować, zanim znikną. To było jego ostatnie cudowne lato, czuł się wtedy szczęśliwy. Był zakochany. Przeżywał pierwszą miłość.

Wakacyjną?

Nie, to była dziewczyna ze Starego Miasta. Poznał ją wcześniej w Warszawie. Miał takich różnych kolegów luzaków, nie ze szkoły, nie z podwórka, ale właśnie ze Starego Miasta. Ja z nich wszystkich poznałam tylko Artura Nieszczę-

rzewicza, który mieszkał na ulicy Bugaj. To był kolega i sąsiad Stefana Antosiewicza, przyjaciela Emila od pierwszej klasy podstawówki. Wiedziałam, że jeśli Stefan zadaje się z nimi, to znaczy, że to porządne towarzystwo. Emil poznał Artura chyba przez Stefana, ale nie jestem pewna.

Jak miała na imię ta dziewczyna?

Małgosia. Niestety, nie poznałam jej. Ta znajomość trwała kilka miesięcy. Latem pisali jeszcze do siebie listy, wszystko skończyło się pod koniec 1980 roku. Ona z nim zerwała. Emil bardzo to przeżył. Mieli pójść razem na sylwestra. Krótko przed tym dowiedział się, że nic z tego. Bolało. To była jego niespełniona, odrzucona miłość. Przypuszczam, że mogło chodzić o konflikt światopoglądowy. Jej rodzice pracowali w jakiejś fabryce broni, oboje byli w PZPR. Emil rozmawiał z nią na tematy polityczne, nie ukrywał swoich poglądów i pewnie tym jej podpadł. Broniła rodziców, była za PZPR, przeciwko „Solidarności”, czyli po drugiej stronie barykady. To ich podzieliło. Mówił mi: „Mamo, po co ja w ogóle o tym z nią rozmawiałem? Czy ja musiałem poruszać te tematy?”. Był szczery, mówił to, co myślał, o czym się w naszym domu głośno mówiło. W każdym razie jego pierwsza miłość go zostawiła. Głęboko i długo to przeżywał, a właściwie odchorował. Miał częste ataki astmy, zaniedbał naukę i w konsekwencji nie zdał do drugiej klasy w liceum. Powtarzał pierwszą. A potem, już do końca swojego siedemnastoletniego życia, był sam, nie spotykał się z żadną dziewczyną. W szkole miał dużo koleżanek, podobał się – takie opinie usłyszałam później. Ale

drugiej miłości już nie spotkał. Był uroczym kumplem. Dziewczyny go uwielbiały, podobno dlatego wybrały go na przewodniczącego klasy, mimo że był drugoroczny. Był bardzo lubiany. Gdy na 25. rocznicę śmierci Emila szkoła urządziła wystawę poświęconą jego pamięci, podchodziły do mnie jego koleżanki – wtedy już czterdziestoletnie kobiety – i wspominały go jako świetnego chłopaka. Jedna z nich nawet napisała do mnie z Paryża, że Emil to był jedyny chłopak w klasie, który miał przyzwoity garnitur i chodził w marynarce, i że „w ogóle był bardzo dobrze wychowany”.

Wtedy raczej wszyscy chodzili w swetrach, czarnych, rozciągniętych...

Emil nosił ślubny garnitur Jerzego. W kolorze fioletowo-bordowym, z połyskiem. Jerzy, gdy brał ślub, był bardzo szczupły, zresztą oboje byliśmy wtedy chudzi. A Emilek na tym naszym ślubie miał piękny pomarańczowy garniturek ze sztruksu. No więc ten ślubny garnitur Jerzego bardzo się spodobał szesnastoletniemu Emilowi. Powiedział: „Tata, nie nosisz, to będzie dla mnie”. Nic nie trzeba było przerabiać, pasował jak ulał, tylko rękawy trzeba było zawijać. Emil był wysoki, szczupły, miał ciemne włosy i szaroniebieskie duże oczy, grube ciemne brwi. Z tego czasu mam tylko parę zdjęć: jedno to znane, legitymacyjne, i drugie, zrobione w szkole na akademii w sali gimnastycznej, 1 maja 1982, właściwie prawie miesiąc przed śmiercią. Na tym zdjęciu jest do siebie najbardziej podobny, tylko fryzurę ma fatalną.

1 maja w tamtych czasach. Obowiązkowy udział w pochodzie. Jedno z najgorszych wspomnień ze szkoły. Przymus, obniżane oceny ze sprawowania za nieobecność. Emil chodził na te pochody?

Ani razu nie był na takim obowiązkowym, państwowotwórczym pochodzie szkoły. To wiem na pewno. Natomiast chodził na demonstracje Konfederacji Polski Niepodległej na placu Zwycięstwa (dziś plac Marszałka Józefa Piłsudskiego). Na Apel Poległych 11 Listopada. W tym apelu brał udział w 1980 i 1981. Potem pan Leszek Moczulski wręczył mi legitymację dla Emila, bo podobno syn złożył deklarację członkowską i go przyjęli do KPN. Mam tę legitymację, wręczoną pośmiertnie, 11 listopada 1984 roku. Emil bardzo szanował Leszka Moczulskiego i Adama Słomkę, którzy wtedy razem działali. W tamtych latach KPN była partią wolnościową, niepodległościową – co się później z nią stało, to już inna kwestia. Emil był fanem tej partii, a że złożył podanie o członkostwo, to już dowiedziałam się po jego śmierci, od pana Moczulskiego. Pamiętam, że było to tuż po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki.

Wracając do tego zdjęcia z akademii pierwszomajowej w 1982 roku... Po akademii wszyscy wstali i poszli na nielegalną demonstrację „Solidarność”. Wcześniej dyrektor powiedział dosłownie kilka słów o sytuacji w kraju. W stanie wojennym nie było żadnych oficjalnych partyjnych pochodów. Panował zakaz zgromadzeń. Liceum im. Reja było nastawione bardzo pozytywnie do młodzieży kontestującej. Większość nauczycieli była związana z „Solidarnością”. Dosłownie dwóch czy trzech należało do PZPR i było

po drugiej stronie barykady. Po ogłoszeniu stanu wojennego zachowywali się raczej przyzwoicie, bo wiedzieli, że nie mają poparcia dyrekcji. Dyrektor, pan Witold Kaliński, starał się zachować pozycję neutralną, wyważyć racje, kierować się zdrowym rozsądkiem. Był odważny. Na pogrzeb Emila przyszedł z całą szkołą, uczniowie stali przy grobie syna ze sztandarami szkoły. To była wtedy wielka odwaga. Demonstracja solidarności z uczniem. Tego się nikt nie spodziewał, że w pogrzebie weźmie udział cała szkoła. Za coś takiego można było stracić pracę, dostać wilczy bilet, mieć spore problemy. Podobnie na sprawie Emila w sądzie, 17 marca, gdzie zapadł wyrok za akcję na pomnik Dzierżyńskiego, o ósmej rano stawili się nauczyciele i widzieli, jak milicjanci prowadzą Emila skutego kajdankami. Pamiętam ich oburzenie, okrzyki, protesty, że ich uczeń jest w kajdankach jak jakiś kryminalista! Po co? Przecież nie ucieka. Widziałam reakcję tych nauczycieli. Byli bardzo odważni jak na tamten czas i atmosferę zastraszania. Mogli ponieść konsekwencje. Bardzo ryzykowali, bo sami mogli stać się ofiarami prześladowań i represji. Dlatego jestem im bardzo wdzięczna, jak sobie przypominę ich postawę. Po tych 35 latach jeszcze wyraźniej zdaję sobie sprawę, jaki to był trudny, ciężki czas. Ile krzywdy wyrządzano ludziom. Nauczyciele z Reja byli bardzo dzielni.

Jaki był Emil? Wspomniałaś kiedyś, że lubił dzieci, z wrażliwością.

Niedawno obejrzałam film, który bardzo skojarzył mi się z Emilem, zwłaszcza fragment, gdy bohaterka filmu gro-

madzi wokół siebie dzieci, bawi się z nimi i uczy ich modlitwy. Stała mi przed oczami scena, jak Emil wychodził na podwórko i od razu otaczała go gromada takich pięcio-, sześciolatków. Biegły za nim, on z nimi siadał, one go otaczały. Czasem się z nimi bawił, czasem coś im opowiadał. Zapytałam go kiedyś: „Co ty jesteś taka niańka?”. A on na to: „Lubię mnie dzieciaki, a ja też je lubię. Będę miał kiedyś dużo dzieci, mamó”. Na podwórku było chyba z sześćcioro takich małych dzieci, a on z nimi gadał, zajmował się nimi, chociaż nikt mu nie kazał. A miał wtedy piętnaście lat. Sama zauważyłam parę razy, jak za nim biegną. A też Jerzy, w późniejszych latach, jak był już starszym panem z siwą brodą, odgrywał na podwórku rolę Świętego Mikołaja, ale dzieciaki były już inne, następne pokolenie, i mniej ich było niż kiedyś. Jerzy też lubił się zatrzymywać, gadać z nimi. Obaj lubili być niańkami. A dzieci chyba to wyczuwały...

Pytasz, jaki był Emil? Nie był nieśmiałym chłopakiem, rozrabiaką też nie. Bywał wesoły, lubił się śmiać. Lubił się przebierać. Uwielbiał serial *Zorro*. Zrobiłam mu strój Zorro, miał kapelusz, czarną pelerynę, maskę. Jak w podstawówce odbywały się zabawy karnawałowe, to Emil zawsze występował jako Zorro. I chyba miał taką cechę, że musi bronić słabszych, młodszych. Nie wiem, czy to ja go tego nauczyłam, czy pani Pawłowska, bo muszę się z nią podzielić wpływami pedagogicznymi, ale on po prostu kochał ludzi. Od małego lubił ludzi i do nich łągał. Nigdy o żadnym koleźce czy koleżance nic złego nie powiedział. Na nikogo się nie skarżył. Nauczyciele byli dobrzy, podobnie opiekunowie. Gdy jeździł do sanatorium do Rabki, to też wracał zawsze

zachwycony. Opowiadał tylko o dobrych rzeczach, jakby miał tylko pozytywne wrażenia. Zdarzyły się tylko dwa wyjątki. Pierwszą osobą, na którą mi się pożalił, był ojciec: „Tatus jest bardzo krytyczny, bardzo wymagający”... Emil był przeciwieństwem ojca. Ojciec był surowy, źle mówił o ludziach, wiecznie mu się coś nie podobało. A Emil odwrotnie: pełna akceptacja drugiego człowieka. Przede mną brocił również Jerzego. Jak miałam do męża pretensje, że coś zrobił nie tak, to pierwszym jego obrońcą był Emil. Mówił: „Mamo, nie masz racji. Tata taki właśnie jest. Nie wiesz? On taki właśnie jest”. Była w nim taka wielka akceptacja, chyba z miłości. Bardzo chciał też kochać swojego rodzinnego ojca, ale się nie dało. Ojciec był wobec niego oschły i krytyczny, a Emil nie był do tego przyzwyczajony. W domu nikt na niego nie krzyczał, od czasu do czasu zwróciło mu się uwagę, jeśli zrobił coś źle albo gdzieś się spóźnił. Nie był ideałem, absolutnie.

Gdy był młodszy, trzeba było kontrolować, czy odrobił lekcje?

Nigdy. Był bardzo samodzielny. Nie musiałam się wtrącać do jego lekcji. Nie wiedziałam, co ma zadane. Sam wszystkie pilnował. Kupowałam tylko książki, zeszyty. Mówił, co mu jest potrzebne do szkoły, i tyle. Ja mu to dostarczałam. Ale żeby go kontrolować? Nie było potrzeby. Jak chodziłam na wywiadówki, to zwykle słyszałam o nim dobre opinie. Nie był orłem, nie uczył się na samych piątkach. Orłem w klasie był Stefan Antosiewicz, jego ukochany wzorzec. Chciał być taki mądry i inteligentny jak Stefan. Emil przynosił też czasem tróje. Miał kłopoty z wuefem, z powodu

zdrowia. Później, gdy już zdiagnozowano u niego astmę oskrzelową na tle alergicznym – pod koniec podstawówki – miał zwolnienie z wuefu. W szpitalu na Litewskiej stwierdzono, że musi unikać alergenów, np. kurzu w sali gimnastycznej. Emil żałował tych lekcji wuefu, chciałby być bardziej wysportowany. Jego rodzony ojciec wydał kiedyś opinię o synu – w swoim stylu. Powiedział do mnie: „Ale masz towarzystwo w domu. Mąż abnegat, a syn cherlak”. Minęło tyle lat, powinnam zapomnieć o tych słowach, ale do dziś mam z nimi problem. Ciągłe to do mnie wraca. Nie mogę mu wybaczyć tego „syna cherlaka”. Jerzy został nazwany „abnegatem”, bo nie lubił garniturów i ubierał się jak artysta. Miał zawsze dobre buty, dwie pary modnych sztruksowych spodni, kilka koszul, kamizelek i swetrów. Więcej nie potrzebował. A mój eksmażonek chodził zawsze w garniturze i w białej koszuli z krawatem. Dwa bieguny. Z kolei Emil był zawsze szczupły, bardzo szczupły, miał jasną cerę, piegi. Wydawał się drobny jako dziecko, ale wyrósł na zgrabnego, ładnego chłopaka, o którym nie można było powiedzieć, że jest cherlakiem, w żadnym wypadku. To była bardzo krzywdząca opinia, typowa dla mojego pierwszego męża. Wygłaszał takie opinie nie tylko o synu. Jerzego tak naprawdę lubił, mieli dobre kontakty, zaakceptował go, o dziwo. Nawet mu proponował pracę, zarobek. Jerzy oczywiście propozycję odrzucił, bo wtedy żył sztuką i sztuka była dla niego najważniejsza. A dla mojego eksmażonka najważniejsze było zarabianie pieniędzy. Był człowiekiem, który miał pieniądze i robił karierę zawodową. Dopiero jak Jerzy miał jedną, drugą, trzecią wystawę zagraniczną, to

mu trochę tym zaimponował. Może by go wówczas już nie nazywał abnegatem?

Wspomniałaś, że tylko o dwóch osobach Emil wyrażał się krytycznie. Pierwsza to ojciec, a druga?

To już w liceum. Nauczycielka przysposobienia obronnego, profesor Irena Podsiadły. Dał temu świadectwo nawet w ostatniej wiadomości, którą mi napisał przed wyjściem z domu 3 czerwca 1982 roku: „Nie przy tobie, a przy mnie będzie Mahariszi” – wtedy razem czytaliśmy teksty tego hinduskiego mędrca – „jako kontrast w stosunku do intruza, jakim jest pani profesor PO, Podsiadły”. Nie lubił jej. A dlaczego? Miał z nią ogromne kłopoty, nie chciała mu zaliczyć tego przedmiotu. Wtedy, w czerwcu, poszedł nad Wisłę, żeby się uczyć przysposobienia obronnego. Ale już wcześniej miał z nią konflikt. Na początku stanu wojennego, w styczniu 1982 roku, Emil wpadł na pomysł, żeby wykupić w kiosku wszystkie egzemplarze „Żołnierza Wolności”, usłać drogę do klasy tymi gazetami i po nich deptać. Tak zrobili. Oczywiście wybuchła wielka afera. Emil wylądował u dyrektora. Profesor Podsiadły była w PZPR, absolutnie po stronie „Trybuny Ludu”, „Żołnierza Wolności” i organizatorów stanu wojennego. Dowiedziała się, kto wpadł na ten pomysł z gazetami. Emil się przyznał i zapytał, czy ona nie uważa, że tak właśnie należało postąpić; bo ci żołnierze, którzy są teraz w czołgach na ulicach polskich miast, zasłużyli sobie na to, a już na pewno to pismo – „Żołnierz Wolności”. Dyrektor urządził mistyfikację, że niby chce go ukarać, ale popierał go z całego serca.

Ostatecznie Emil nie poniósł żadnych konsekwencji, chociaż pani profesor chciała, by był relegowany ze szkoły. Nic dziwnego, że jej nie lubił i nie znosił przedmiotu, którego uczyła. Mówił mi o tym.

Przysposobienie obronne było w liceum niestety przez dwa semestry pierwszej klasy.

Tak, Emil na to narzekał. Próbowалам sobie przypomnieć, czy przyszedł kiedyś i o kimś coś złego opowiadał. Nie pamiętam takich sytuacji. Miał na podwórku kolegę, Edzia Dylawerskiego. Ojciec Edka, pan Dylawerski, był znanym dziennikarzem, człowiekiem, który służył pezetpeerowskim władzom. Emil po spotkaniu na podwórku z Edkiem wracał do domu i mówił: „Ale Edek to fajny kolega, mam, po prostu trzeba nad nim pracować, żeby zmienił poglądy. Przekonać go. To bardzo fajny kolega”. Nie miał tego, co dzisiaj tak widać: nienawiści do człowieka z powodu innych poglądów. Jak go przesłuchiwała pani sędzia Halina Katarzyńska, znakomita sędzia w sądzie dla nieletnich, i zapytała go, dlaczego poszedł drukować nielegalne broszury na Targowej, dlaczego była ta akcja na pomnik Dzierżyńskiego, to Emil odpowiedział, że on by chciał zmienić ustrój w Polsce, żeby to był „socjalizm z ludzką twarzą”. Na przykład żeby emerycy mieli takie emerytury, by mogli godnie żyć. Tak ją tym rozczulił, zresztą drugą sędzię też – nazywała się Barbara Solarz – że od tego momentu były nim zachwycone. Siedemnastoletni chłopak myślał o emeryturach starych ludzi! Taki miał cel: zmiana ustroju, by ludzie mogli godnie żyć. Znał na pamięć wszystkie 21 postulatów „Solidarności” z Sierp-

nia 1980. To mu się mieściło w ustroju socjalistycznym. Ale wiedział też o demokracji, że musi być sprawiedliwość, nie może być takiego zakłamania i kłamliwej propagandy. Czytał dużo biuletynów i książek drukowanych w podziemiu, które dostawał od kolegi z liceum, Grzegorza Ziemniaka, zajmującego się kolportażem nielegalnych wydawnictw. Przynosił nam do domu te lektury i dzięki Emilowi myśmy się doksztalcali. Ani ja, ani Jerzy nie mieliśmy bezpośredniego dostępu do tych wydawnictw.

Czy Emil zajmował się też kolportażem książek i broszur?

Nie, to była domena Grzegorza Ziemniaka. Emil robił coś innego: postanowił przygotować śpiewnik pieśni patriotycznych. Zebrał wszystkie możliwe pieśni, jakie mógł znaleźć, poczynawszy od *My, Pierwsza Brygada*. Szukał tych tekstów, przepisywał je na maszynie, uzbierał całkiem spory plik. Były tam też pieśni śpiewane podczas Mszy za Ojczyznę, odprawianych przez księdza Jerzego Popiełuszkę. Po śmierci Emila bardzo się starał wydać ten zbiór Leszek Czajkowski, potem Grzegorz Ziemniak, ale nie udało się, nie pamiętam z jakich powodów. Może jest w tym trochę mojej winy? Może powinnam bardziej się starać i o to zabiegać? Nie zrobiłam tego. To było ostatnie dzieło Emila, ostatnia praca, oprócz pamiętnika, który zaginął. Niestety, czytałam tylko jego fragmenty. Syn nadał mu tytuł „Od grudnia do maja”. To straszne, że sam tak zakreślił ten czas, ostatnie miesiące życia. Opisywał to, co się działo w Polsce. Dużo miejsca poświęcił wydarzeniom w kopalni „Wujek”. Bardzo nim wstrząsnęła śmierć górników. Miał

informacje, nie wiem, czy ze szkoły, czy dowiedział się od znajomych z ulicy Wałowej, w każdym razie wiedział więcej od nas. Myśmy dowiadawali się od niego, co się wydarzyło w Polsce, co się dzieje w podziemiu, co wśród internowanych, co z Wałęsą. Nie wiem, skąd miał te wiadomości. Przyjmowałam to za rzecz naturalną, że on wie. Nie miałam takich kontaktów jak on.

Czy opisał w pamiętniku akcję na pomnik Dzierżyńskiego?

Nie wiem. Nie czytałam. Opisał to, co mu się przydarzyło po aresztowaniu. Jak go bili i przesłuchiwali, to jest ten fragment, który ocalał. Te zapiski to było coś w rodzaju eseju politycznego. Nie tyle relacja z wydarzeń, ile rozważania na temat sprawiedliwości społecznej, systemu, ustroju i tego, co się dzieje. Uwagi o tym, dlaczego nie można zaakceptować partii, rządu i ich działań. Nie pisał tylko o sobie i o tym, co się zdarzyło w szkole. Przynajmniej tego dotyczyły fragmenty, które udało mi się przeczytać, ale Emil prosił, żebym nie czytała w kawałkach. Powiedział, że jak napisze całość, to da mi do przeczytania. Też tak wolałam. Wiedziałam, że wcześniej czy później pokaże mi skończoną pracę. Te kartki były w niebieskiej teczce formatu A4, około pięćdziesięciu stron pisanych na maszynie. Emil uwielbiał pisać na maszynie i się ze mną spierał, twierdząc, że pisze szybciej ode mnie. Rzeczywiście bardzo szybko pisał i prawie bezbłędnie. Pierwszy raz zasiadł do maszyny, gdy miał 10 lat. Zachowała się ta kartka. Próbował napisać swój życiorys. Gdy to czytałam niedawno, to płakałam i śmiałam się jednocześnie.

Dlaczego Emil wybrał Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Reja?

Z powodu Stefana Antosiewicza. Stefan chciał iść do tej szkoły, więc Emil też musiał. Proste. Ale uczyli się w innych klasach. Stefan w biologiczno-chemicznej, bo zamierzał zdawać na medycynę, a Emil – typowy humanista, filolog – w humanistycznej, w 1A. Wybrał klasę z francuskim, bo Jerzy dobrze znał ten język, i z łaciną. Łacina to była jego pięta achillesowa. Miał problemy z zaliczeniem dwóch przedmiotów: łaciny i PO. Słabo szła mu nauka martwego języka i języka rosyjskiego. Właśnie z tych przedmiotów w ogóle nie był klasyfikowany, kiedy został na drugi rok w pierwszej klasie.

Jaka była atmosfera w szkole, gdy przyszedł tam do pierwszej klasy jesienią 1980 roku?

Ogólnie raczej entuzjastyczna, jeśli chodzi o reakcję na powstanie „Solidarności”. W pierwszym półroczu Emil był skupiony na nauce i na modlitwie. Chodził w każdą niedzielę do kościoła na Żoliborzu, gdzie msze odprawiał ksiądz Jerzy Popiełuszko, dużo czytał, m.in. *Króla Ducha* Słowackiego, wiersze Barańczaka, *Zniewolony umysł* Miłosza w nielegalnym wydaniu na ksero. Poza tym ciągle wkuwał słówka łacińskie, francuskie i rosyjskie. W drugim półroczu zafundowałam mu korepetycje z rosyjskiego i francuskiego. „Ruskiego” uczyła go za półdarmo Krystyna Brudzińska, synowa pani Ireny Pawłowskiej. Dopiero wiosną 1981 roku Emil zaczął serio interesować się sytuacją polityczną w kraju. Wielkie wrażenie zrobił na nim zamach na życie naszego

papieża, Jana Pawła II, w dniu 13 maja 1981 roku, ale chyba najbardziej przeżył pogrzeb prymasa Stefana Wyszyńskiego. 31 maja 1981 roku wziął w nim udział jako członek służby kościelnej, która w wielkim tłumie idącym w kondukcje pogrzebowym ochraniała trumnę kardynała Wyszyńskiego. Dali mu biało-czerwoną opaskę na rękaw z napisem „Solidarność” i niebieską kościelną furażerkę na głowę. (Opaska się zachowała, czapeczka – nie.) Podobno szedł cały czas obok trumny. Wrócił do domu tak radosny, jakby wracał z wesela, a nie z pogrzebu. Już w drzwiach z entuzjazmem krzyknął do nas: „Nie macie pojęcia, ile jest nas, wierzących katolików, w Warszawie! Na pewno zwyciężymy komunistów!”. Oczy mu błyszczały. Dawno nie widziałam go tak podnieconego, szczęśliwego. Emil chyba właśnie tego dnia obudził się i zaczął działać. Cieszyłam się razem z nim... Przecież nie wiedziałam, że został mu już tylko rok życia...

W drugim półroczu pierwszej klasy Emil był w bardzo złej formie fizycznej, nasiliły się ataki astmy. Chorował, nie chodził do szkoły. Lekarz sugerował pobyt w sanatorium. W maju okazało się, że syn ma problem z łaciną, rosyjskim i francuskim. Ale pierwszą klasę zawalił przede wszystkim przez astmę i łacinę. Wychowawczynie uważała, że lepiej będzie, żeby powtarzał klasę, niż na siłę zaliczał trzy przedmioty. Widać, że on tego nie chce. Zapytałam go: „Czy ambicja pozwala ci zostać w pierwszej klasie, czy chcesz nadrobić zaległości?”. Powiedział, że woli powtórzyć klasę, że nie da rady zaliczyć tego wszystkiego w ciągu miesiąca. Zresztą nie bardzo się odnajdywał w tej klasie, z nikim się tam nie zaprzyjaźnił. Nie miał żadnych konfliktów, po prostu czuł

się wyobcowany. Wszystko się zmieniło w następnym roku. Nowa klasa idealnie go zaakceptowała, a on ją. Wychowawczynią była polonistka, pani profesor Zofia Bujalska. Bardzo się zaprzyjaźnił z kolegą z klasy, Leszkiem Czajkowskim. Mówił mi: „Mamo, jaka to niesamowita różnica: ludzie a ludzie”. Wybrali go na przewodniczącego. Był najstarszy w klasie, jako drugorocznik. To, że nie zdał do drugiej klasy i że rzuciła go dziewczyna, rekompensował sobie zaangażowaniem politycznym. Późną jesienią 1981 roku powiedział: „Wiesz, mam, ja bardzo lubię tę moją nową klasę. Dobrze się stało, że powtarzam rok. W tej klasie jest dużo fajnych ludzi, w tamtej nie było takiej atmosfery patriotycznej. Jak widzisz, sprawdza się stare polskie przysłowie: »Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło«”. Pamiętam, że śmiałam się wtedy. Byłam zadowolona, że syn nie ma kompleksu drugorocznika, że został zaakceptowany przez młodszych kolegów, że musi być lubiany i poważany, skoro wybrali go na przewodniczącego klasy. Gdyby nie spotkał takich kolegów jak Leszek Czajkowski, Grzegorz Ziemiak oraz takich nauczycieli jak pani profesor Bujalska czy pani profesor Ziemiak, to prawdopodobnie nie miałby w szkole takiego poparcia po aresztowaniu w marcu 1982 roku, kiedy to wrócił do klasy z wyrokiem i pod opieką kuratora dla nieletnich przestępców. W szkole było więcej takich osób, choćby Tomek Sokolewicz, uczeń trzeciej klasy, bardzo zaangażowany w działalność opozycyjną i, jak głosiły szkolne plotki, związany z Ruchem Młodej Polski. Tomek był przewodniczącym samorządu szkolnego. Często rozmawiał z Emilem na przerwach, dyskutowali o polityce. Emil jako

przewodniczący klasy miał też innych kolegów ze starszych klas, którzy działali w samorządzie uczniowskim. Przynosił ze szkoły wiele informacji. Nagle dojrzał i stawał się coraz bardziej zaangażowany politycznie. Żałuję, że jako matka nie śledziłam tego tak, jak powinnam i jak bym chciała. Po latach bardzo tego żałuję, że mam za mało wiedzy, jak to dokładnie było. Nie dlatego, że się tym nie interesowałam, ale po prostu byłam zbyt zapracowana. Nie miałam czasu dla syna. A Emil nie miał w domu matki, ale za to miał zaprzyjaźniony dom na Wałowej i ciotkę Kryskę, a na koniec, przez ostatnie trzy miesiące życia, miał Huberta, sąsiada studenta, który się nim zainteresował, który mu imponował i któremu Emil bezgranicznie zaufał...

Może Emil nie mówił ci wszystkiego?

Pewnie by mówił, gdybym miała dla niego więcej czasu. To jest mój nieustający ból, który towarzyszy tym wspomnieniom. Miałam za mało czasu dla dziecka. Za dużo czasu poświęcałam pracy zawodowej i trochę sprawom politycznym, w które nie chciałam go wciągać. A on znalazł sobie dom, w którym miał to, czego ja i Jerzy mu nie daliśmy. Dom Krystyny Pochwalskiej na ulicy Wałowej. Najpierw, jeszcze przed stanem wojennym, poznał jej syna Szymona. Zaczął u nich bywać. Bardzo często. Przychodziło do tego mieszkania sporo młodzieży z różnych szkół, rozmawiali o polityce. Emil miał tam wielu kolegów: Krzysztofa Kownasa, Jacka Grucę. Byli trochę starsi od niego. Szymon i Krzysztof chodzili do wieczorówki. To była grupa kolegów z zupełnie innego środowiska, nie z jego liceum i nie z podwórka,

i nie ze Starego Miasta. Krzysztof Kownas też znalazł na Wałowej drugi dom. Krystyna Pochwalska go przygarnęła. Jego rodzice mieszkali we Wrocławiu, a on i jego starszy brat Wojtek zostali sami w Warszawie. To byli bardzo mili, porządni chłopcy.

A kim była pani Krystyna Pochwalska, czyli tak zwana ciotka Kryśka?

Poznałam ją dopiero w marcu 1982 roku, w dramatycznych okolicznościach, po aresztowaniu Emila i Szymona, ale wcześniej ciągle o niej słyszałam. Emil mi o niej opowiadał z wielkim entuzjazmem. Mówił, że to osoba, która współpracuje z Prymasowskim Komitetem Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom, powstałym przy kościele św. Marcina przy ulicy Pivnej. Między innymi organizuje kolonie i obozy dla dzieci osób internowanych. Ci, którzy spotykali się w jej domu, mówili na nią „ciotka Kryśka”. Zrobiła na Emilu wielkie wrażenie jako ciekawy człowiek, wielka indywidualność. Nie pracowała, była rozwódką, kiedyś działała w czerwonym harcerstwie Kuronia. Oprócz Szymona miała jeszcze dwoje dzieci, starszą córkę Agnieszkę, która już wtedy mieszkała w Anglii, i drugą, młodszą od Szymona, Anię, która wówczas miała chyba dwanaście lat. Były mąż Krystyny mieszkał i pracował we Francji. Gdy patrzę na to wszystko z perspektywy lat, muszę przyznać, że chyba byłam o nią zazdrosna jako matka. Za bardzo weszła w życie mojego syna. Miała na niego większy wpływ niż ja. I poświęcała mu więcej czasu. Już w stanie wojennym on praktycznie codziennie bywał na

Wałowej. Te kontakty stały się bardzo intensywne. Znalazł tam bardzo serdeczne, przychylne dla siebie środowisko ludzi, którzy czuli jak on, myśleli jak on. Opiekowali się nim. Dopiero po latach zdałam sobie sprawę, że Emil musiał czuć się w domu bardzo samotny. Często bywał sam. Jerzy wyjechał wtedy na dłużej do Węgorzewa, bo realizował tam zlecenie, malował kościółek na Mazurach. Przyjeżdżał raz na dwa, trzy tygodnie. Ja pracowałam od rana do wieczora, na półtora etatu, czasami byłam dwanaście godzin poza domem. Jerzy to sobie bardzo wyrzucał, mówił, że gdyby wówczas był w Warszawie na stałe, toby wszystko inaczej wyglądało, może inaczej by się potoczyło. Wcześniej przeważnie zawsze malował obrazy w domu. Robił zakupy, gotował, zajmował się Emilem, ale nie w tamtych pierwszych miesiącach stanu wojennego.

Krystyna Pochwalska zawsze była osobą świetnie zorganizowaną, zadbaną, bardzo inteligentną, energiczną. Bardzo ciekawa osobowość. Mnie ona później też zafascynowała i wcale się nie dziwiłam Emilowi, że ciotka Kryśka była ważniejsza od mamy. Ciotka Kryśka była największym autorytetem we wszystkim. Emil na Wałowej znalazł kolejny rodzinny dom, gdzie miał siostrę, brata, wielu ludzi wokół. Przypomniały mu się lata dzieciństwa, gdy przebywał w domu pani Pawłowskiej. Miał tam rodzeństwo, nie był sam. On lgnął do takich rodzin. Dopiero później zdałam sobie z tego sprawę. Już po śmierci syna zrozumiałam, że on był jednak bardzo osamotniony przeze mnie. I że te wszystkie godziny, które mogłam z nim spędzić, jemu poświęcić, z nim przegadać, niestety poświęcałam pracy. To jest mój

największy ból. Każdej matce mówię: Uważaj, nie rób tak. Dziś masz syna, jutro możesz go nie mieć. Nie odrobisz tego. Nie cofniesz czasu. Było, minęło. Trzeba być blisko dziecka, trzeba z nim rozmawiać. Zwłaszcza że Emil w rozmowie był dowcipny, inteligentny, warto go było słuchać. To nie był bezmyślny młody człowiek, który gada o bzdurach. Był bardzo poważny, ale też pogodny, lubił się śmiać, był otwarty, bardzo życzliwy światu i ludziom. Miał ciekawe pomysły. Jego optymizm życiowy był zaraźliwy. I młodzieńczy entuzjazm, młodzieńczy idealizm. Odnajdywałam w nim takie rzeczy, których mnie brakowało, bo już z tego wyrosłam.

Emil rzeczywiście miał ciekawe pomysły. Razem z kolegą z klasy, Leszkiem Czajkowskim, znanym bardem, założyli przed stanem wojennym kabaret „Wywrotowiec” i stworzyli pismo satyryczno-polityczne „Kabel”. Czy widziałaś przedstawienie tego kabaretu?

Nie, nie miałam możliwości. Widziałam tylko próby w domu. Słyszałam fragmenty skeczów i piosenek. Widziałam scenariusz. Ten kabaret to było wspólne dzieło Leszka i Emila. O ile pamiętam, „Wywrotowiec” to był kabaret domowy, nigdy nie wystąpili w szkole. Leszek był bardziej uzdolniony w sensie poetyckim, pisał wiersze. Emil tworzył komentarze prozą, satyryczne, polityczne. Leszek i Emil znakomicie się dogadywali na tematy polityczne i artystyczne. Leszek był bardzo utalentowany, Emil uważał go za poetę. Pisał świetne wiersze patriotyczno-satyryczne i liryczne. Emil i Leszek bardzo się zaprzyjaźnili, świetnie się rozumieli. Artur Nieszczerzewicz był najlepszym kolegą Emila

poza szkołą, a Leszek – w szkole. I zawsze obok był Stefan Antosiewicz, kolega z podstawówki – wzorzec intelektualny, rozumu, postawy, ambicji, wiedzy. Emil podziwiał twórczość Leszka Czajkowskiego, zachwycał się jego tekstami. Wszystko akceptował, bezkrytycznie. Leszek był dla niego twórcą na miarę Jana Krzysztofa Kelusa, którego bardzo cenili, słuchali jego piosenek. Chcieli wydawać pismo „Kabel”, miesięcznik uczniowski. Mieli dużo pomysłów. Do współpracy wciągnęli też Stefana Antosiewicza i Grzesia Ziemniaka.

Ile numerów „Kabla” się ukazało?

Tylko jeden – w grudniu 1981 roku, przed stanem wojennym. Odbijali go na powielaczu, kolportowali w szkole. Po 13 grudnia Emil i Leszek musieli pozbyć się całego nakładu, ukryć go. Bardzo pomógł im wtedy dyrektor szkoły, pan Witold Kaliński. Teksty do „Kabla” pisali Leszek i Emil. Emil nieźle rysował i był autorem okładki i opracowania graficznego. Miał do tego smykałkę. Wiem, że przygotowali też materiały do drugiego numeru, ale nie zdążyli go wydać. Zachował się w domu tylko jeden egzemplarz tego pisemka.

Wspominałaś, że duży wpływ na Emila miała świetna polonistka Zofia Bujalska w liceum. Pasjonowała go twórczość romantyków, ale romantyzm wówczas był w programie drugiej klasy, nie pierwszej, więc to nie były jego szkolne lektury.

To były własne, pozaszkolne lektury Emila. Miałam w domu pierwsze powojenne wydanie *Pana Tadeusza* z 1950 roku – prezent od pani Helenki Nowakowskiej, przyjaciółki mojej

mamy, która sama będąc sierotą, interesowała się moim sierocym losem i moją edukacją. Często zapraszała mnie do siebie na sznyceł cielecy z kluseczkami domowej roboty. W dniu, w którym otrzymałam dyplom magistra filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, to był chyba 30 czerwca 1966 roku, też byłam u niej na obiedzie i wtedy właśnie podarowała mi to stare wydanie *Pana Tadeusza*, gratulując ukończenia studiów. Wieczorem tego samego dnia odebrałam od teściowej rocznego Emilka i... wyprowadziłam się. Ale wracając do romantyków i do pasji Emila. Któregoś dnia nakryłam syna na nocnej lekturze tego poematu. Tłumaczył się, że zachwyciły go malarskie ryciny Tadeusza Gronowskiego. Przeglądał rysunki i tak od niechcenia zaczął czytać. Przeczytał całego *Pana Tadeusza* z własnej, nieprzymuszonej woli. Miał wtedy czternaście lat. Kończył podstawówkę. Chyba od tamtej pory interesował się naszymi wieszczami z epoki romantyzmu – czytał Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, a nawet Norwida! Pamiętam, że uwielbiał lekcje z profesor Bujalską, która była też jego wychowawczynią w tej klasie, którą powtarzał. Lubił ją i cenił. Ona ma wielkie zasługi jako wychowawczyni i jako polonistka. Zaraziła go miłością do romantyków polskich. Cytował fragmenty *Dziadów*, był wyjątkowo wyedukowany patriotycznie. Byłam nieraz zawstydzona, że ja, jego matka i też polonistka z wykształcenia, nie znam tak dobrze romantyków jak on. Opowiadał mi o filomatach i filaretach, o kibitkach jadących na Sybir. Mówił to z podziwem i zazdrością, że tamci Polacy przeżywali takie chwile. Dużo wiedział o powstaniu listopadowym, styczniowym.

Zawstydział mnie, bo wiedział więcej ode mnie. Ja też się kiedyś o tym uczyłam, czytałam, ale przeszłość to nie był mój konik. Wolałam współczesność, to, co tu i teraz ktoś pisze i co myśli o bieżących wydarzeniach. A on miał zadatki na przyszłego historyka. Bardzo go interesowała historia Polski. Te jego zainteresowania podzielał Jerzy. To nie znaczy, że ja nie lubiłam historii, ale syn zajmował się nią z pasją. Emil, mówiąc o współczesności, powtarzał mi: „Mamo, nie można się bać. Trzeba zawałczyć. Nie wolno się poddawać. Zobacz, tylu zginęło. Tylu wywieziono na Syberię. Zobacz, co się stało z Powstaniem Warszawskim”. Dawał mi przykłady: *Kamienie na szaniec*, serial *Kolumbowie*, film *Akcja pod Arsenalem*. To były jego wzorce. Jakoś nie zagustował w serialu o czterech pancernych ani o kapitanie Klossie.

A mnie zaciekawiła jego fascynacja Słowackim. To nie było częste, jak sobie przypomnę swoich kolegów ze szkoły.

Zawdzięczał to profesor Bujalskiej. Mówił, że bardzo mu odpowiada głębia i duchowość Słowackiego. Mickiewicza też cenił, ale wolał Słowackiego. Podobał mu się Wyspiański, znał jego dramaty. Mówił mi o *Wyzwoleniu*, cytował fragmenty z *Wesela*. Zawsze zagadywał Jerzego: „Co tam, panie, w polityce?”. Cytował też Słowackiego, ale już nie odtworzę tych fragmentów. Zapomniałam. Ale jeszcze jedno wspomnienie: grudzień 1981, stan wojenny, straszne przeżycia. A mój syn uciułał pieniądze, poszedł do księgarni PIW-u i kupił kilkutomową edycję *Dzieł Słowackiego* w pięknej czerwonej, twardej oprawie. Mamie w prezencie na Gwiazdkę. Ostatnie wspólne święta. Powiedział mi wte-

dy: „Mamo, jeżeli nie czytałaś, chociaż jesteś polonistką, to ja cię proszę, przeczytaj *Króla Ducha*”. Zaznaczył też, że to jest trochę egoistyczny prezent, bo on też wielu rzeczy nie przeczytał i będzie pożyczał. „Przecież ja też c a ł e g o Słowackiego nie znam. A wreszcie mamy w domu komplet jego dzieł”.

Chciałam jeszcze zapytać o Artura Nieszczerzewicza, o którym wspomniałaś. To był ważny przyjaciel Emila.

Tak, Artur i Stefan mieszkali na tej samej ulicy. Emil często mówił: „Widziałem się ze »Szczurkiem«”, „Byłem u »Pruta«” – takie Artur miał pseudonimy. Poznałam go dopiero w lutym 1982, po ich wspólnej akcji na pomnik Dzierżyńskiego. Do tamtej pory znałam go tylko z opowiadań pełnych pochwał. Emil stawiał sobie za wzór intelektualny Stefana Antosiewicza. Mówił, że Stefan jest taki mądry, inteligentny, świetnie się uczy. Z kolei Artur Nieszczerzewicz szalenie zaimponował Emilowi tym, że był bardzo samodzielny, chociaż tylko rok starszy. Mieszkał sam od szesnastego roku życia, bez ojca, bez matki. Chodził do szkoły, a ponadto uczył się w szkole muzycznej, grał na trąbce. Ciągle słyszałam, że świetnie gra jazz. Pamiętam, jak Emil mówił: „Mamo, nie masz pojęcia, jaki to dzielny chłopak. Matka wyemigrowała z jego starszym bratem. Tata od dawna ma drugą rodzinę, a on w tym mieszkaniu został zupełnie sam. Uczy się, wszystko sam robi, sprząta, gotuje, pierze. W ogóle nie wagaruje, jest taki zdyscyplinowany. Po południu koledzy się schodzą, jest godzina ósma, on mówi: do widzenia, bo ja się muszę uczyć. Wszystkich wyprasza, bo chce odrabiać

lekcje. Wyobrażasz sobie? Nikt go nie pilnuje, nikt mu nic nie każe”. Pamiętam, że mu wtedy odpowiedziałam: „Synku, przecież tata też często wyjeżdża, nie ma go w Warszawie, mnie też nie ma od rana do wieczora. Ty też jesteś sam. Musisz sam sobie organizować różne rzeczy”. Odpowiedział: „Nie, to nie to samo. Ja czuję, że mam nad sobą kontrolę, że jest mama. Ty zawsze wracasz do domu, nigdzie nie wyjechałaś, a mama Artura mieszka w Szwecji. On został zupełnie sam”. Artur dla Emila był przykładem, że młody człowiek, jeśli jest odpowiedzialny i zdyscyplinowany, to sam sobie poradzi. Któregoś razu syn obdarzył mnie komplementem, bo mnie porównał z Arturem. „Mamo – powiedział. – On chyba jest taki, jaka ty byłaś. Ty też od szesnastego roku życia nie miałaś rodziców. Sama chodziłaś do szkoły, sama mieszkłaś i sama przychodziłaś na wywiadówki, dopiero wtedy się w szkole zorientowali, że nie masz nikogo, kto by przyszedł na wywiadówkę. Myślę, że Artur jest podobny do ciebie”. Nie wiem, czy to miał być komplement dla Artura czy dla mnie (uśmiech). Zorientowałam się wtedy, że też imponowałam Emilowi, że myślał o moim losie.



Ślub rodziców Emila, 8 września 1964 r.



Emilek, październik 1965 r.



Emilek z ciocią Stasią,
październik 1965 r.



Emilek, lipiec 1966 r.



Emilek z ciotką Stasią, jesień 1967 r.



Emil w Wesolej, maj 1969 r.



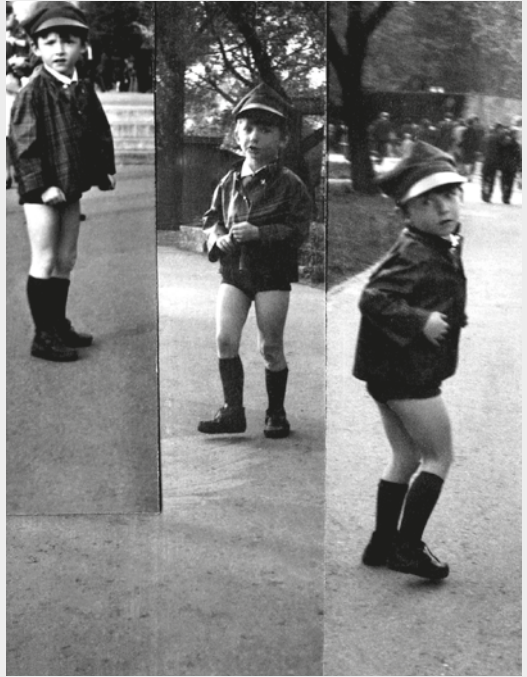
Emil z córkami „mamy Irenki”, 1970 r.



Emilek maluje na sztalugach taty Jerzego, 1970 r.



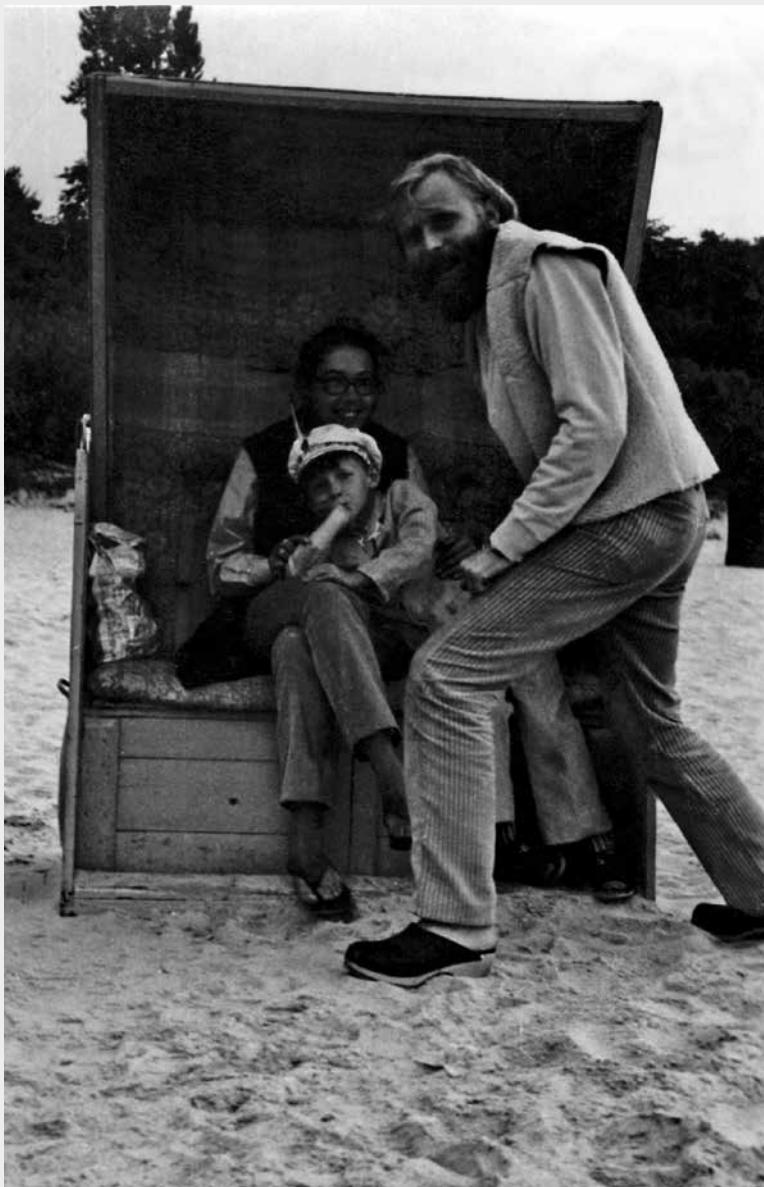
Mama podpisuje rysunek Emilka wykonany na konkurs (dostał nagrodę), Kołobrzeg, lipiec 1970 r.



Emil (6 lat) na spacerze w zoo.
Kolaż zrobiony przez
Krystynę Barchańską-Wardęcką,
stał na jej biurku.



Emil z Jerzym.



Emil z rodzicami na wakacjach w Kołobrzegu, 1971 r.





Spotkanie z wielkim psem.



Z mamą na karuzeli.



Ślub cywilny Krystyny i Jerzego w Warszawie, 19 września 1972 r.



Emil na ślubie mamy i Jerzego.



Emil z mamą, 1972 r.



Zdjęcia z częstych pobytów
w sanatorium w Rabce.



Jedno z ulubionych zdjęć Emila.



Łucja Wardęcka, Krystyna Barchańska-Wardęcka i Emil z kotem Bartkiem, Wielkanoc 1973 r.



Emil, Krystyna i Łucja
Wardęcka. Spacer nad
Wisłą, Wielkanoc 1973 r.



Kamień nad Wisłą, o którym Emil napisał wiersz. Wielkanoc 1973 r.



Krystyna, Jerzy i Emil w Krynicy, sylwester 1973/1974.



Zabawa karnawałowa w II klasie, luty 1974 r. Emil jako Zorro.



Z japońską przyjaciółką Joką, lipiec 1974 r.



Odrabianie lekcji, 1975 r.



Emil z mamą, 1975 r.



Emil choruje, a Jerzy stara się go rozbawić, udając rozbójnika Rumcajsa.



Emil nie śpi, a jest już druga w nocy.



Pierwsza Komunia Święta, maj 1975 r. Emil w drugim rzędzie pośrodku.



Emil w podziemnym sanatorium w kopalni soli w Wieliczce, 1975 r.

Przeżyłam Ci
kochany Jolusiu
zdjęcie robione 200 m. pod
ziemią, ale będę miał jeszcze lepsze,
To są moi towarzysze
i ten w kalesonach to wujostowanie.
Emil Górnik
Wieliczka, dn. 11.11.1975
miejsce, godz. 20⁰⁰

List do taty Jerzego napisany na odwrocie zdjęcia z Wieliczki.

Życiorys Emila Barchańskiego

W Warszawie

Urodziłem się 6 czerwca /~~55~~ 65r. w rodzinie inteligentnej.

Imię Emil, nazwisko Barchański,

imię Mamy Krystyna, nazwisko Mamy Barchańska,

imię Taty rodzzonego EMIL nazwisko Barchański,

imię Taty drugiego Jerzyna nazwisko Wardecki,

Pierw mieszkałem na ul. Bednarskiej, miałem opiekunkę Pawłoską.

Chodziłem rok do przedszkola. Teraz mieszkam na ul. Bonifraterskiej.

Jak się przeprowadziłem miałem 7 lat, teraz mam 10 lat.

Jestem CHSZESICIANINEM. Żyję z Tatą Jerzym i z Mamą.

DANE O EMILU BARCHAŃSKIM

Wzrost.....142 cm
Waga.....50 Kg
Wiek.....10 lat
Klasa.....4b
Szkoła.....Sawerego
Dąnikowskiego.233
Cechy szczególne.....pięgi, zadarty nos.
Choroba.....astma

Pierwszy życiorys, który dziesięcioletni Emil sam napisał na maszynie mamy.



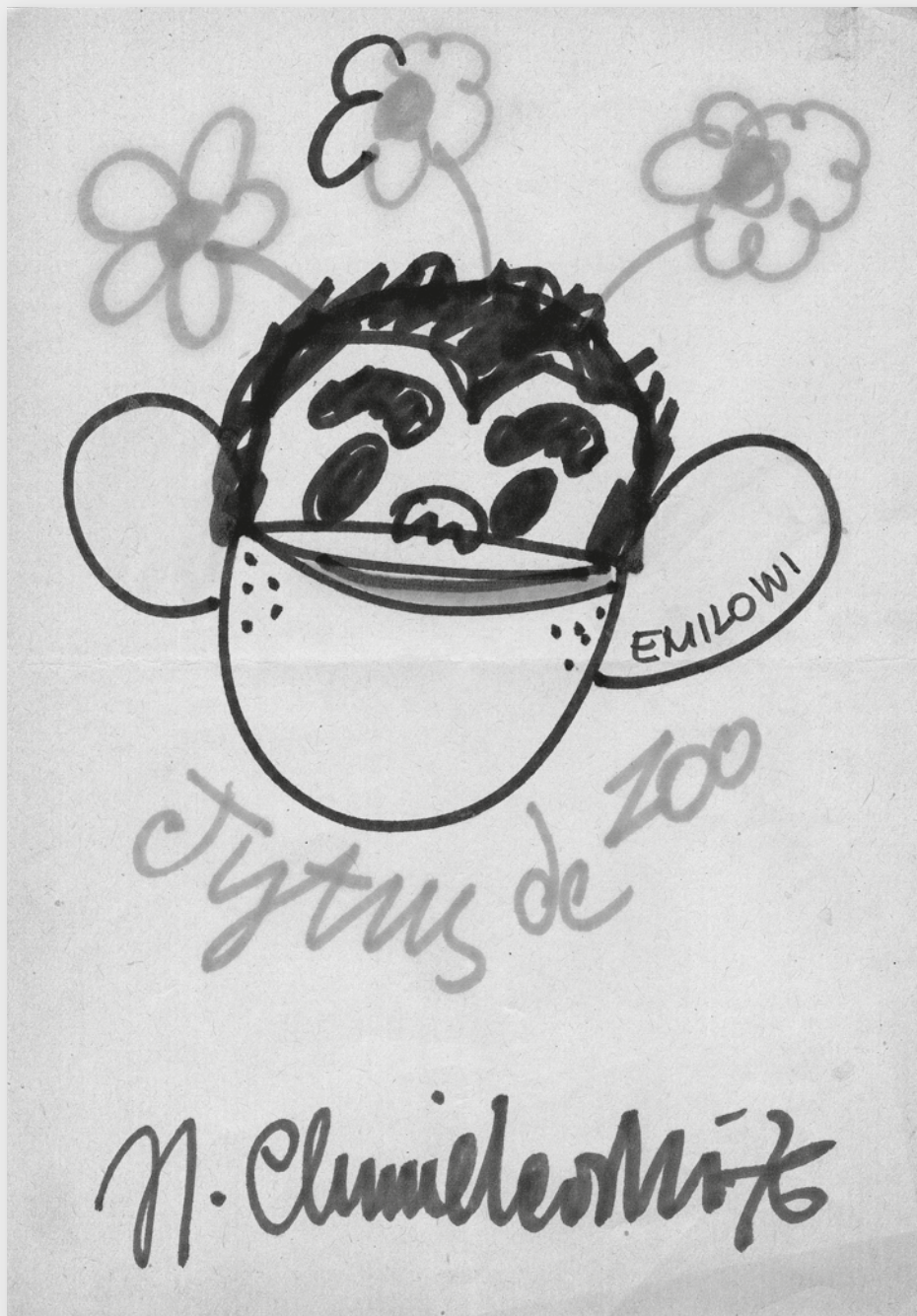
Rodziny sylwester 1975/1976.



Zakończenie roku szkolnego w czerwcu 1976 r. Emil (drugi z prawej) zdał do V klasy.
Stefan Antosiewicz czwarty z prawej.



W podstawówce. Emil drugi z lewej.



Podarunek dla Emila – wielbiciela komiksów o Tytusie – od autora Henryka Jerzego Chmielewskiego „Papia Chmiela”, 1976 r.



WIERSZ
Z
ŻYCZENIAMI
NA
DZIEŃ KOBIEĆ

Ósmego marca dzień kobiety
Niechaj mojej matulence
Śłowiki grają jak flety
W ręce.

Niechaj w dzień ten przezokoły
E uli młód mądrości przynoszą
Mej kochanej matuli. Niechaj
Szczęście ją zadawała & w proch ~~przepadła~~.
Smutek rozwała.

Niechaj z księgi czarodziejskiej
Szczęście serce rozpogodzi.
A duszę odmłodzi. Niechaj księżki
Rodzi i świat pogodzi.

Emil Barchański.



Prezent dla mamy na Dzień Kobiet.
Na laurce kolejny ulubiony bohater
z komiksu *Kajko i Kokosz*, 1976 r.

EMIL. STAN WOJENNY

„Nas jeszcze nie zdążyli przestraszyć”

13 grudnia 1981, niedziela. Generał Jaruzelski ogłasza stan wojenny. Pamiętasz ten dzień u was w domu?

Tego dnia mieliśmy rodzinne przeżycie, nietypowe, zabawne, nawet absurdalne. 13 grudnia wypadały urodziny i imieniny mamy Jerzego, Łucji. Co roku przyjeżdżała do nas na zimę z Węgorzewa. Czasami już w listopadzie, czasami na święta. Taką mieliśmy tradycję. Rano usłyszeliśmy o stanie wojennym, dowiedzieliśmy się od pana Jaruzelskiego, że nie można się przemieszczać po kraju. Przyszła do nas Krystyna Brudzińska, synowa pani Pawłowskiej, jak już wspominałam – nauczycielka rosyjskiego, która dawała Emilowi korepetycje. Miała więcej informacji z jakichś źródeł czy podziemnych gazetek. Powiedziała nam, że nie można się swobodnie poruszać po Polsce, tylko trzeba mieć przepustki, jakieś pozwolenia. A tu nagle wieczorem dzwonek do drzwi. Byliśmy w strachu, ale jeszcze wtedy nie mieliśmy pojęcia o żadnych aresztowaniach ani internowaniach. Skąd! Otwieramy drzwi, na progu stoi mama Jerzego, a pod domem suka milicyjna. Przywieźli mamę milicjanci, z dworca. Okazało się, że nieświadoma tego, co się dzieje, wsiadła do autobusu w Węgorzewie, przyjechała

do Warszawy, a na dworcu zaczepiła milicjantów i kazała się zawieźć do nas, bo nie było żadnych taksówek. I przywieźli na Bonifraterską starszą panią, ubraną na czarno, bo była wówczas w żałobie po matce. A my w strachu zdążyliśmy wcześniej podrzeć jakieś ulotki, podziemne broszury i spuścić je w toalecie, zanim otworzyliśmy drzwi. Potem wielka ulga. Mama opowiadała, z jakimi przygodami podróżowała, odważna przez nieświadomość, co jej może grozić. Mam jeszcze takie wspomnienie z pierwszych dni stanu wojennego, jak wracam od mojej cioci z czajnikiem. Dostałam od niej czajnik, bo nasz się spalił. Biegłam przez Świętokrzyską do tramwaju i zobaczyłam, że mierzy do mnie z karabinu wojskowy. Krzyknął: „Stać!”. Był przy koksowniku, zatrzymał mnie i zrewidował. Pytał, dokąd biegnę, co tam niosę. Wyjaśniłam. Obejrzał czajnik, nie znalazł nic zakazanego, ale miałam takie uczucie, że to scena jak z czasów okupacji niemieckiej, które znałam z opowieści i filmów.

A jak się zachowywał Emil w tych pierwszych dniach stanu wojennego? Był przygnębiony?

Nie. Nigdy nie był smutny ani przybity. Nie pamiętam go takiego. W tych dniach był raczej podminowany, podekscytowany. Chodził ciągle na Wałową. Tam to wszystko przeżywał, omawiał, dyskutował. W domu zachowywał się spokojnie. Nie chodził do szkoły, bo trwały przymusowe ferie. Staraliśmy się przygotować do świąt jak co roku. Była choinka, prezenty. Nie chcieliśmy pozwolić, żeby zmarnowano nam te święta. To ja byłam przygnębiona, przytłoczona tym, co się stało w Polsce, tym okropnym stanem wojennym. Tak

strasznie mi było żal „Solidarności”, że ten wspaniały społeczny ruch został zniszczony. A Emil miał w sobie walecznego ducha i wielki optymizm. On wierzył, że wszystko się dobrze skończy. Mówił: „My zwyciężymy, mamusi. Zobaczysz”. Nie czuł strachu. Mówił: „Wy należycie do pokolenia przestraszonych. Oni zdążyli was przestraszyć”. Były przecież czasy stalinowskie, Październik ’56, Budapeszt ’56, Czechosłowacja ’68. On to wszystko wiedział z lektur, co się wtedy działo, jak wyglądała interwencja braci ze Wschodu. Emil uważał, że Polacy przymusowo godzą się na tę narzuconą „przyjaźń” i myślą, że tak będzie do końca świata. Mówił: „Nie, mamo. To jest do zmiany. Tak być nie może. Musimy to zmienić. Moje pokolenie się z tym nie zgodzi. Wy jesteście przestraszeni, trudno, ale nas jeszcze nie zdążyli przestraszyć”. Często to powtarzał: „Nas jeszcze nie zdążyli przestraszyć”. Przemawiał w imieniu pokolenia. A ja na to odpowiadałam: „Tak, ale pamiętaj, jakie były straszne represje po powstaniach. Co robili z akowcami. I to samo się stanie z wami, młodymi”. A on na to: „To trudno, mamo. To pojedziemy kibitką na Sybir”. Ta kibitka na Sybir...

Emil fascynował się postacią Adama Chmielowskiego, brata Alberta, powstańca styczniowego, malarza, opiekuna ubogich. To był dla niego bohater. Poszedł do powstania, gdy miał 17 lat, stracił nogę, chodził z protezą, a jeszcze tyle dobrego zrobił w życiu. Zrezygnował z kariery artysty malarza, wstąpił do zakonu jezuitów, ale opuścił ten zakon i sam założył zakon albertynów posługujący wykluczonym, najuboższym. To była bardzo ważna postać dla Emila. Wtedy oczywiście jeszcze nie wiedział, że brat Albert niedługo

zostanie błogosławionym, a potem świętym. Jest taki znany obraz, portret brata Alberta przytulającego chłopczyka do piersi, namalowany przez Leona Wyczółkowskiego. Emil miał reprodukcję tego obrazu wielkości połowy zwykłego formatu zeszytu szkolnego. Reprodukacja ta była naklejona na drewnianą deskę i przystosowana do wieszania na ścianie. Powiesił sobie ten obrazek nad tapczanem. Był dla niego bardzo ważny, ukochany. Nigdy się z nim nie rozstawał, dlatego też włożyłam mu go do trumny... Położyłam na piersi. Mówił, że brat Albert to tata Jerzy, a ten chłopiec na obrazie to on, Emil. Wielokrotnie szkicował ten obrazek, kalkował, przerysowywał. Gdy planował przemeblowanie i przenosił tapczan z jednej strony pokoju na drugą, to pierwsze, co robił: wbijał gwoździe w ścianę i wieszał ten obrazek. Lubił na niego patrzeć, mieć go blisko. Zawsze wiedziałam, że brat Albert to była dla syna ważna postać, ale nigdy go nie zapytałam dlaczego. Czyżby tylko przez podobieństwo do Jerzego – obaj mieli duże brody i obaj byli malarzami. I do dziś nie wiem, skąd Emil miał ten obrazek. Dlaczego nigdy go o to nie zapytałam?

Od razu w grudniu, kilka dni po ogłoszeniu stanu wojennego, Emil założył organizację podziemną. Nazywała się Konfederacja Młodzieży Polskiej „Piłsudzczy”. To miały być Szare Szeregi stanu wojennego. Wzorowali się na AK, składali przysięgę, posługiwali się pseudonimami. Tylko niektórzy znali się z nazwiska. Emil był „Jankiem”, Artur Nieszczerzewicz to „Prut”, Stefan Antosiewicz – „Józef”. Tworzyli sekcje, tak zwane piątki, i mieli zajmować się

małym sabotażem. Przeczytałam w jednym z opracowań historycznych¹, że mieli naprawdę śmiałe pomysły. Chcieli – dosłownie – spalić Komitet Centralny PZPR, obrzucić go koktajlami Mołotowa z katapulty, z dachu budynku przy ulicy Mysiej...

Tak, to był pomysł Emila, ale na szczęście z tego zrezygnowali.

Inna akcja odbyła się w styczniu 1982 roku: Artur Nieszczerzewicz – „Pрут” i Marek Marciniak – „Lis” rozrzucili po południu, w godzinach szczytu, w Domach Towarowych Centrum, dokładnie w „Sawie”, i w „Sezamie”, druki z drugiego obiegu, „Wolnego Związkowca”.

Emil je dostarczył, ale w akcji nie brał udziału. Ja zresztą o niczym nie wiedziałam. Poznałam te fakty dużo później. Na przykład to, że porozumiewali się, przyklejając kartki pod ławką w kościele św. Anny albo wkładając je do pudełka po zapalkach i umieszczając je w zakamarkach katedry św. Jana.

Były też spotkania konspiracyjne. „Piłsudczycy” zbierali się w kawiarni Krokodyl albo Mocca. Chcieli przeprowadzić jakąś widowiskową akcję. 6 lutego w Krokodylu zapadła decyzja o podpaleniu pomnika Dzierżyńskiego – symbolu terroru komunistycznego. Czy o tym wiedziałaś?

Nie. Zachowali zasady konspiracji. O tej akcji dowiedziałam się już po fakcie, jak Emil i Artur wpadli do domu,

¹ B. Noszczak, *Etos gniewu. Antykomunistyczne organizacje młodzieżowe w Warszawie (1944-1989)*, Warszawa 2015, s. 573-594.

10 lutego, i na gorąco opowiedzieli, co przed chwilą zrobili. Byli strasznie zadowoleni, że się udało. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Artura Nieszczerzewicza. Pamiętam też jego komentarz: „Tylko jeden, Marek Marciniak, wpadł. Ale on nie zna naszych nazwisk ani adresów, więc nikogo nie wyda. Zna tylko pseudonimy”. Opowiadali jeden przez drugiego. Byłam w szoku. Dla mnie to było niesamowite. W biały dzień? Po południu? Kiedy ludzie wychodzą z pracy, a obok jest Komenda Stołeczna MO i biura Służby Bezpieczeństwa w słynnym pałacu Mostowskich? W trzecim miesiącu stanu wojennego, kiedy na placu Dzierżyńskiego (dziś Bankowym) co parę minut przechodziły patrole? A ci robią zamach na pomnik Dzierżyńskiego? Do tego w pobliżu miejsca, gdzie przetrzymywani są więźniowie polityczni? Byłam przerażona ich brawurą. Przygotowywali się do tego, ćwiczyli nad Wisłą rzuty i biegi. Artur był odpowiedzialny za tę akcję, szkolił kolegów. Dzień wcześniej przeprowadzili wizję lokalną, grupa miała powtórzyć kolejność działań.

Akcja „Cokół” została przeprowadzona 10 lutego 1982 roku. Wziął w niej udział Artur, Emil – który ze względu na astmę nie rzucał butelkami, tylko obserwował, Marek Marciniak i jeszcze dwóch chłopaków o pseudonimach „Opty” i „Kowal”. Niektóre źródła podają, że było ich więcej. Czyj to był pomysł?

Emil twierdził, że wspólny, ale opracowaniem strategii zajął się Artur. Każdy z nich coś tam wniósł. Chodziło o to, żeby zorganizować to jak najlepiej. Emil nie mógł biegać, dostawał duszności. Artur ustawił go na czujce, Emil miał pilno-

wać, ostrzec w razie problemów. Pomnik stał na środku placu, na wysokim cokole. Chłopcy przeszli przez ulicę. Artur założył biało-czerwoną opaskę i wciągnął na głowę kominiarkę – to był sygnał do akcji. Marek Marciniak wyjął dwa słoiki z farbą drukarską – miał ją od Emila, w domu był mały zapas. Jeden słoik z farbą białą, drugi – z czerwoną. Rzucił te słoiki w cokół, niszcząc tablicę informującą o zasługach Dzierżyńskiego dla Polski. Marciniak zaczął uciekać, a pozostali obrzucili figurę Dzierżyńskiego butelkami po napoju „Ptyś” wypełnionymi benzyną. Artur rzucił koktajlem Mołotowa. Pomnik zaczął płonąć. Ulicą ruszył autobus, który mógł im odciąć drogę. Artur wyciągnął rewolwer, autobus się zatrzymał. Chłopcy rzucili się do ucieczki. Artur biegł uliczką Corazziego, rzucił drugi koktajl Mołotowa. Gdzieś w okolicy Muzeum Lenina (dziś Niepodległości) upuścił rewolwer, ale szybko go podniósł...

Skąd miał ten rewolwer?

Podobno od brata. Ten rewolwer był gdzieś w domu ich ojca. Tajemnicza sprawa. Powiem ci, że ja wtedy nie bardzo chciałam dać temu wszystkiemu wiarę. Brzmiało to tak niesamowicie. Wydawało mi się, że ci młodzi ludzie fantazjują. Jednak powoli do mnie docierało, że to nie fantazje. Mało rozmawiałam z Emilem na temat tej akcji. Z Arturem tylko raz. W moim przekonaniu to Artur był mózgiem akcji na pomnik. Moja wiedza jest tutaj bardzo szczątkowa, byłam ciągle niedoinformowana. Wydaje mi się, że Krystyna Pochwalska mogła wiedzieć więcej. Tam na Wałowej się wszystko opowiadało, analizowało, omawiało.

**Mówiłaś Emilowi, żeby o tej akcji za wiele nie opowiadał?
Nawet na Wałowej?**

Niestety, wtedy świadomość o zagrożeniu do mnie nie docierała. Mogę to powiedzieć z perspektywy lat. Nie doceniłam ani wagi tego wydarzenia, ani nie przyjmowałam do wiadomości konsekwencji. Oni mnie zarazili swoim młodzięcym entuzjazmem, radością z tego, że się udało. Byli mokrzy, spoceni po biegu, ale szczęśliwi. Opowiadali o tej akcji tak, jakby im się zdarzyło coś cudownego. Poddałam się temu. Nie przestrzegałam ich, o nic nie prosiłam, nie mówiłam: „Co wyście zrobili!”. Zaakceptowałam to, co się stało. Byłam pod wrażeniem. I bardzo mi zaimponowała ich odwaga. Byłam z nich dumna. Nie było we mnie macierzyńskiej pedagogicznej reakcji. Poczulałam się współnikiem, który został wtajemniczony, dopuszczony do sekretu. Cieszyłam się, że mi o tym opowiedzieli. Czekałam tylko w napięciu kilka dni, czy nie będzie jakichś konsekwencji. Wydawało się jednak, że to im ujdzie płazem. Teraz wiem też, dlaczego rozmowy z Emilem na te tematy były takie krótkie i rzadkie. On o tym opowiadał i przeżywał to na Wałowej. Tam była grupa jego bliskich znajomych.

Chciałam jeszcze zapytać o Marka Marciniaka. Trafił do „Piłsudczyków” przypadkiem. Był uczniem klasy maturalnej w Technikum Ogrodniczym. Artur poznał go w kolejce po lody w lodziarni Igloo na Nowym Świecie. Marek chciał działać w organizacji podziemnej. Znał tylko pseudonimy kolegów. Został złapany podczas ucieczki po akcji na pomnik. Patrol MO zatrzymał go niedaleko baru przy ulicy Długiej.

Pierwszy raz usłyszałam wtedy nazwisko tego chłopca. O tym, że nie wrócił do domu, dowiedziałam się później. Wieczorem wszyscy uczestnicy akcji mieli być w domach. Artur, łamiąc zasady konspiracji, zadzwonił z domowego telefonu do Marka. Marek nie odebrał, więc wpadł. Pytałam Emila, czy wie, gdzie Marek mieszka, żeby powiadomić jego rodzinę. Niestety, nie wiedział. Dopiero na rozprawie Marka dowiedziałam się, że był pełnoletni, a w związku z tym stawał przed doraźnym trybunałem wojskowym. Nie wiem, czy chłopcy czuli się odpowiedzialni za los Marka Marciniaka. Gdy poruszyłam tę sprawę w rozmowie z Emilem, usłyszałam: „Mamo, każdy z nas ryzykował. Jesteśmy dorośli i świadomi. To ja mogłem teraz tam siedzieć. Razem z nim albo sam”.

**Czy o tej akcji na pomnik coś mówiono na mieście? Czy sły-
szałaś o tym wydarzeniu od ludzi?**

Nie. Tylko parę dni później napisała o tym „Trybuna Ludu”. To była notatka o napadzie chuligańskim i nieprawdziwa informacja, że sprawcy zostali aresztowani. Często przejeżdżałam przez plac Dzierżyńskiego, jadąc tramwajem do cioci Stasi, która mieszkała na Marszałkowskiej. Wokół tego pomnika od razu zrobili rusztowanie, taki wysoki parkan, żeby nie można było zobaczyć, że pomnik jest zniszczony. Wkrótce większym wydarzeniem stało się postrzelenie milicjanta Zdzisława Karosa². Pisały o tym gazety.

² 18 lutego 1982 r. członkowie organizacji młodzieżowej Siły Zbrojne Polski Podziemnej usiłowali rozbroić w tramwaju st. sierż. MO Zdzisława Karosa. Podczas szamotaniny został postrzelony. Dwóm licealistom, Robertowi Chechłaczowi i Tomaszowi Łupanowowi, udało się zbiec z miejsca zdarzenia. Ranny

Właśnie, a MO i SB zwiększyły wysiłki, żeby wykryć sprawców. Po akcji na pomnik SB założyła sprawę „Fenix”³. Przepuszczali, że to kolejna akcja tej samej zorganizowanej grupy. Uruchomiono donosicieli.

Powstała też „Brygada Tygrysa”, która miała znaleźć zabójców sierżanta Karosa. To oni wpadli do tego mieszkania na Targowej, by aresztować Szymona i Emila podczas drukowania podziemnych wydawnictw. Bardzo brutalnie ich wtedy pobili. Za Dzierżyńskiego i Karosa, bo druk ich nie interesował.

O akcji na pomnik Dzierżyńskiego Emil opowiedział Szymonowi Pochwałskiemu i jeszcze paru osobom. Przez trzy tygodnie nic niepokojącego się nie działo – aż do 1 marca. To był wtorek. Emil rano wyszedł do szkoły. Około 9.00 ktoś zadzwonił do drzwi. Przede mną stał chłopiec w czapce kominiarce. Okrągła, pyzata buzia, sympatyczny uśmiech. Powiedział, że jest od ciotki Kryśki z Wałowej. Nazywa się Krzysztof Kownas. Wcześniej nigdy go nie widziałam. Powie-

milicjant zmarł pięć dni później. Siedemnastoletniego Roberta Chechłacza skazano na 25 lat więzienia. Wyszedł na wolność w 1989 r. Poza tym zarzuty postawiono: Tomaszowi Łupanowowi, Andrzejowi Hybikowi, Tomaszowi Krekorze, Stanisławowi Matejczukowi, Tadeuszowi Właszczukowi, Jarosławowi Węclawskiemu i ks. Sylwestrowi Zychowi. Oskarżono ich m.in. o zabójstwo funkcjonariusza MO i dwa napady na żołnierzy WP. Wymierzono im kary więzienia w wysokości od 2 lat w zawieszeniu do 13.

³ AIPN, 0256/15, Sprawa operacyjnego rozpracowania, kryptonim „Fenix”. Zaczęto: 13.02.1982 r. Zakończono: 16.04.1984 r. Meldunek operacyjny: „Słowny opis zagrożenia (faktu): [...] Założenie sprawy było zasadne ze względu na duży społeczny wydźwięk czynu. Profanacji pomnika Feliksa Dzierżyńskiego dokonała zorganizowana grupa młodych ludzi w czasie dużego natężenia ruchu pieszego w centrum Warszawy. Ponadto sam sposób dokonania profanacji był bardzo widowiskowy”, k. 44.

dział, że Emil prosił, by mi przekazał, że nie ma go w szkole, bo poszedł „na robotę” i wróci do domu za dwa, trzy dni. Byłam wściekła. Miałam synowi za złe, że tak się zachował. Krzys zapewniał, że wszystko będzie dobrze, ale gdyby coś się stało, to tu jest kontakt do Krystyny Pochwalskiej. Wręczył mi kartkę z numerem telefonu. Zapewniał, że tam będą wiedzieć, co się dzieje z Emilem. Dodał, że Emil poszedł drukować książkę z Szymonem Pochwalskim w zakonspirowanym mieszkaniu. Że to Krzys miał iść, ale jest chory, ma grypę, gorączkę. Emil poszedł w jego zastępstwie. Szczerze mówiąc, nie wyglądał na chorego. Nie wszedł do mieszkania, rozmawialiśmy w drzwiach. Miałam wrażenie, że jest młodszy od Emila. Wtedy nie wiedziałam, że był starszy, i to o trzy lata! Przeżyłam pierwszy koszmarny dzień, potem drugi. Nie mogłam pracować, nie mogłam spać. Bałam się coraz bardziej. Zagrożenie wisiało w powietrzu, to się czuło. Wiedzieliśmy, że cały czas wrze. Czytaliśmy różne ulotki, broszury z podziemia. Bardzo się denerwowaliśmy. Wiesz, czym usiłowałam się pocieszać? Że to, co robi Emil, to nie jest robota polityczna, ale zarobkowa. Uwierzyłam Krzysowi, gdy powiedział, że Emil dostanie za to pieniądze. Ta informacja trochę mnie uspokoiła, że to nie chodzi o politykę. Nie wiedziałam, co oni drukują ani gdzie. Słowa „robotą” i „pieniądze” zamazały mi prawdziwy obraz. Dopiero później Emil mi powiedział, że on sam tak mówił esbekom, jak go bili – że robił to nie ze względów politycznych, ale dla pieniędzy. Trzymał się tego i uznał, że dla mnie to będzie też odpowiednia wersja, że łatwiej to przyjmę. Dlatego Krzys miał mi to powiedzieć: „Emil dostanie za to 4000 złotych”,

co było nieprawdą. A później, jak rozmawiałam z synem, to oznajmił, że strasznie się ucieszył, jak mu zaproponowano drukowanie. Bo to była robota idealna dla niego, nie bieganie i rzucanie koktajlami Mołotowa. On chciał pisać i wiedział, że jako drukarz się sprawdzi. Podobało mu się to. Chciał pisać do tych biuletynów i sam siebie drukować. Gdy pisał te wspomnienia „Od grudnia do maja”, robił to z myślą, że wyda je w podziemiu. Chciał się podzielić tym, co przeżył. Chciał zaistnieć, pisząc. Miał niedosyt, bo udało im się wydać w szkole tylko jeden numer pisma „Kabel”. Stan wojenny uniemożliwił kontynuację. Emil chciał być dziennikarzem, publicystą – oczywiście piszącym tylko dla wydawnictw drugiego obiegu. Gdyby żył, może byłby dziennikarzem, pisarzem... Kto wie? Wtedy zmierzał w tym kierunku, może zapomniał, że dwa lata wcześniej chciał zostać reżyserem filmowym.

Nadszedł 3 marca. Emil nadal nie wrócił do domu.

Tego dnia byłam w pracy. Rozmawiałam z moją szefową Haliną Krüger-Syrokomską, znaną alpinistką, która później zginęła na K2, w lipcu 1982 roku. Pracowałam wtedy w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej i wszyscy byliśmy poddawani weryfikacji obowiązującej w stanie wojennym. Halina była w naszej redakcji jedynym członkiem PZPR. Wybroniła nas przed komisarzem i przesłuchaniami. Miałam do niej zaufanie. Powiedziałam jej, że Emil zniknął, nie ma go trzeci dzień i nie wiem, co robić. Doradziła, żebym nie czekała, tylko od razu zadzwoniła pod ten numer na Wałową. Nie posłuchałam jej, bałam się tam dzwonić. Po

pracy pojechałam do mojej cioci Stasi, jedynej krewnej. Ona miała telefon. Chciałam jej opowiedzieć, co się dzieje, i stamtąd zadzwonić. Ciocia nie wiedziała, że Emila nie ma kolejny dzień, bo ja nie miałam w domu telefonu. I gdy tam u niej siedziałam, nagle, była 17.00, może 18.00, przyjechał Jerzy. Powiedział, że Emil jest aresztowany, a w domu przed godziną pojawiło się kilku panów z nakazem rewizji. Zrobili przeszukanie, trafili na bibuły – nie było tego dużo, bo Emil starał się, żeby to zniknęło z domu, ale coś tam znaleźli. Zabrali jakieś podziemne wydawnictwa, puszki z farbą drukarską i pędzle. Jerzy mówił, że należą do niego, bo jest malarzem, ale je wzięli. Wiedział, że po pracy zamierzałam pojechać do cioci, dlatego się tam zjawił. Ten dzień, 3 marca, był dla nas dramatyczny. Postanowiliśmy natychmiast odnaleźć Emila. Jerzy dowiedział się od esbeków robiących rewizję, że trzymają go w pałacu Mostowskich. Od razu tam pojechaliśmy. Usłyszeliśmy, że nikogo takiego nie ma w rejestrze zatrzymanych. Powiedziano nam, że skoro jest nieletni, to może trafił do Izby Dziecka na Wiśniowej. Stamtąd pojechaliśmy więc na Wiśniową. Tam dowiedzieliśmy się, że go nie ma i że powinniśmy jechać do komisariatu MO na Jezuickiej. Tam też nic nie wiedzieli, ale usłyszeliśmy, że jeśli syn jest aresztowany z powodów politycznych, to na pewno jest w pałacu Mostowskich. Wróciliśmy więc do Komendy Stołecznej MO, ale to już była chyba 23.00. Tam długo siedzieliśmy, trzymali nas w poczekalni i niby szukali. Udawali, że szukają. Kolejny raz oznajmili, że nikogo takiego u nich nie ma. Wróciliśmy do domu, załamani. Następnego dnia, 4 marca, zadzwoniłam z budki na numer kontaktowy

z kartki. Okazało się, że rozmawiam z Krystyną Pochwalską. Powiedziała mi, że Emil i Szymon zostali aresztowani w domu na ulicy Kijowskiej, róg Targowej. Prosiła, żebym do niej przyszła. Natychmiast pobiegłam na Wałową. Tego dnia ją poznałam i zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Wyglądała na opanowaną. Zbliżyło nas aresztowanie synów. Zaczęłyśmy wspólnie działać, mówiła, że ma kontakty w podziemiu.

W aktach sprawy „Fenix”, zmierzającej do zatrzymania wszystkich „sprawców profanacji pomnika”, 3 marca 1982 roku odnotowano, że Emil i Szymon zostali zatrzymani „na podstawie informacji uzyskanych przez wydziały: III-1, III-2 oraz Kryminalny KS MO”⁴. Zjednoczone siły.

4 marca wieczorem dowiedziałam się, że Szymon wrócił do domu. Emil nie. Natychmiast pobiegłam na Wałową, żeby porozmawiać z Szymonem. Opowiedział mi o okolicznościach aresztowania. Nikt nie miał prawa wiedzieć o tym konspiracyjnym mieszkaniu oprócz Andrzeja Omasty, który znał Krystynę i który zlecił Szymonowi Pochwalskiemu i Krzysztofowi Kownasowi tę robotę, a oni wtajemniczyli w to Emila, kiedy zaproponowali mu zastępstwo za Krzysia. W mieszkaniu wszystko było przygotowane: farby, drukarka. Kiedy robili odbitki na sitodruku, Andrzej przynosił im jedzenie i chwalił się, jakie akcje wcześniej prowadził. Emil zaufał mu jako koledze z konspiracji i opowiedział

⁴ AIPN, 0256/15, Sprawa operacyjnego rozpracowania, kryptonim „Fenix”, k. 38.

o akcji na pomnik. Aresztowanie Emila i Szymona odbyło się w dramatycznych okolicznościach. Do mieszkania na trzynastym piętrze w wieżowcu przy ulicy Kijowskiej, róg Targowej, trzeciego dnia ich pobytu tam wpadł specjalny oddział milicji, „Brygada Tygrysa”. Emil próbował uciekać balkonami, na trzynastym piętrze... Straszili, że będą do niego strzelać. Wrócił do pokoju. Wtedy go złapali i zaczęli bić. Bili ich w tym mieszkaniu, potem wepchnęli do windy, zapakowali do samochodu i zawieźli do pałacu Mostowskich. W areszcie zostali rozdzieleni. Zeznawali osobno. Szymon wrócił do domu po 24 godzinach. Zdziwiłam się. Jak to? Nieletni jest zatrzymany, a pełnoletni wypuszczony? Szymon wyjaśniał to tak, że oni wiedzieli, że nie brał udziału w akcji na pomnik Dzierżyńskiego, a byli pewni, że Emil w niej uczestniczył. Prawdopodobnie ktoś go wydał. Nielegalny druk dla Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa” ich nie interesował, tylko ta akcja na pomnik. Będą chcieli się dowiedzieć, kto jeszcze brał w niej udział i kto to zorganizował. Dlatego Emil siedzi. Dopiero po jakimś czasie, gdy bliżej poznałam Krystynę, przyznała się, że interweniowała w sprawie Szymona u swojego kuzyna, który miał związki z SB. Prawdopodobnie ta interwencja spowodowała, że Szymona szybko wypuścili. To nie było tak, jak widział to Szymon. Sądzę, że nie miał pojęcia o interwencji matki. Był przekonany, że on esbeków w ogóle nie interesował, nie jego szukali. Mówił coś takiego: „Co ich obchodzi ktoś taki jak ja?”. Ja w to oczywiście wtedy uwierzyłam. Jednak po latach jestem przekonana, że to interwencja tego kuzyna esbeka była decydująca. Jerzy też tak uważał, zresztą nawet

go poznał i z nim rozmawiał. Szymon miał za złe Emilowi, że jest papłą. Od razu mi to powiedział: „Po co Emil pochwalił się Andrzejowi Omaście akcją na pomnik? Po co gadał?”. Zapytałam, czy sugeruje, że Omasta doniósł. „Nie wiemy, być może”, usłyszałam. Emil mówił mi, że wspomniał o akcji na pomnik tylko Andrzejowi, który bywał w mieszkaniu Krystyny na Wałowej⁵.

Z akt sprawy „Fenix” wynika, że do tej akcji wykorzystywano dwóch tajnych współpracowników i trzy kontakty operacyjne.

Jerzy od początku podejrzewał, że wśród młodych ludzi, którzy przychodzili do Krystyny Pochwalskiej, przynajmniej jeden musiał być donosicielem, o czym ona oczywiście nie wiedziała.

Co było dalej z Emilem?

Nadal go szukaliśmy. Jeździliśmy z pałacu Mostowskich na ulicę Wiśniową i z powrotem. Wszędzie nam mówiono, że Emila tu nie ma. Umierałam ze strachu. Przypuszczałam, że trzymają go w kazamatach pałacu Mostowskich. Tak rze-

⁵ Stefan Andrzej Omasta, wedle zachowanych materiałów archiwalnych, w latach 1972–1974 współpracował z funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa KP MO w Bartoszycach pod pseudonimem TW „Kęcki”. W latach 1980–1981 współpracował z Zarządem Regionu Świętokrzyskiego NSZZ „Solidarność”, m.in. przy zaopatrywaniu w papier do druku. 23 grudnia 1981 r. został pozyskany do współpracy jako TW „Grażyna” przez funkcjonariuszy Wydziału III-2 KS MO. Planowano go wykorzystać do sprawy dotyczącej Niezależnej Oficyny Wydawniczej (SOR „Offset”). W sprawie SOR „Fenix” zachowały się doniesienia TW „Grażyna” opisujące m.in. wygląd „Pruta” (zob. AIPN, 0256/15, SOR „Fenix”, k. 23, 34, 42). Ustalenia Grzegorza Wołka, historia IPN.

czywiście było, ale oficerowie SB nie raczyli nas o tym poinformować. Byliśmy bezradni, bezsilni. W takich sytuacjach sprawdza się przysłowie: „Jak trwoga to do Boga”. Tak się złożyło, że 5 marca 1982 roku przybył do naszego parafialnego kościoła ojców bonifratrów obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który właśnie peregrynował po warszawskich parafiach. Postanowiliśmy z Jerzym, że pójdziemy na mszę o godzinie 18.00 – z prośbą do Matki Bożej, żeby syn się znalazł. Zrobimy to dla syna, który przecież był praktykującym katolikiem. Jednak o 17.00 przyjechali po nas dwaj aplikanci sądu dla nieletnich: pan Artur Rojek i drugi młody człowiek, którego nazwiska nie pamiętam. Powiedzieli, że mamy zaraz z nimi jechać, bo Emil będzie za godzinę przesłuchiwany. Zgodnie z prawem nie można przesłuchiwać nieletniego bez obecności rodziców. Czyli syn się znalazł! Po trzech dniach! Esbecy próbowali ukryć przed nami, że Emil jest bezprawnie przetrzymywany w pałacu Mostowskich. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy być w sądzie na przesłuchaniu. Od razu wsiedliśmy do malucha, prywatnego samochodu pana Rojka, i pojechaliśmy na ulicę Leszno (wtedy Świerczewskiego). Zobaczyliśmy Emila – po pięciu dniach! W kajdankach. Towarzyszyli mu dwaj esbecy ubrani po cywilnemu. Emil podbiegł do mnie, rzucił mi się na szyję, a ja go przytuliłam. Nie wyglądał na skruszonego, ale był poważny. Od razu mi szepnął: „Mamusiu, widzisz tych dwóch panów? Ten z ciemnymi włosami po prawej, pamiętaj, on był dla mnie dobry. Bądź dla niego dobra, bo on był dla mnie dobry. Słyszysz? Nigdy mnie nie uderzył. Był dla mnie dobry”. To były pierwsze słowa, które usłyszałam od

syna. Miałam być dobra dla esbeka. Emil mówił o poruczniku Janie Polu. I rzeczywiście traktowałam tego człowieka uprzejmie. W przeciwieństwie do tego drugiego, ale okazało się, że to też nie był ten, który go bił. Ci dwaj esbecy oddelegowani wtedy do sądu nie byli zatrudniani przy biciu. Oni go tylko przesłuchiwali. Emil mi mówił, że nawracał tego Pola, że rozmawiali o Bogu i miał z tym człowiekiem przyjazne relacje. Tych, którzy go bili, nigdy więcej nie widział, tylko w pałacu Mostowskich. Później na rozprawie Marka Marciniaka, 17 maja 1982, gdzie zeznawał jako świadek, powiedział, że mógłby ich rozpoznać. Oczywiście nie zna ich nazwisk, bo „ci panowie, jak biją, to się nie przedstawiają, ale może ich wskazać”. Po tych słowach rozległy się oklaski. Czasami myślę, że może to byli ci, którzy przyszli 3 czerwca, a więc 18 dni później, nad Wisłę. Może wykonali tam brudną robotę? Może pojawili się, by tylko go przestraszyć, a przesadzili w biciu? Jeśli prawdą jest wersja, że mordercami byli funkcjonariusze z SB...

A wracając do przesłuchania...

W sądzie dla nieletnich przesłuchiwały Emila dwie kobiety: sędzia Halina Katarzyńska i sędzia Barbara Solarz. Przeczytały na głos protokoły przesłuchań w pałacu Mostowskich. Wynikało z nich, że Emil brał udział w akcji na pomnik Dzierżyńskiego, a fakt, że drukował nielegalne broszury, był sprawą drugorzędną. Pytały, czy akcja na pomnik była czynem chuligańskim, czy politycznym. Emil odpowiedział, że to był czyn ideowy. Z kolegami, którzy w nim uczestniczyli, spotykał się na Starym Mieście, nie zna ich nazwisk

ani adresów. Nikogo nie wydał. Emilowi i Markowi Marci-
niakowi zrobiono konfrontację w pałacu Mostowskich. Obaj
zeznali, że widzą się po raz pierwszy. Nie dali się zastra-
szyć, zachowali się bardzo dzielnie. Obaj byli bici i zmusza-
ni różnymi metodami, aby wskazać głównego organizatora
akcji na pomnik Dzierżyńskiego. Podczas przesłuchań Emi-
lowi pokazano zeznania Szymona Pochwalskiego, w któ-
rych padło nazwisko Tomka Sokolewicza. Esbecy twierdzili,
że Szymon wskazał Tomka jako organizatora akcji. Jak się
później okazało, również Szymonowi pokazano zeznania
Emila, w których wskazał Sokolewicza jako mózg „akcji na
pomnik”. Podczas bicia i przesłuchań wmawiali Emilowi,
że i tak wiedzą, że przywódcą młodzieżowej grupy konspi-
racyjnej jest Sokolewicz. Jeśli Emil to potwierdzi, zostanie
wypuszczony. Emil podpisał te protokoły. O tym wszystkim
dowiedziałam się podczas przesłuchania syna w sądzie dla
nieletnich. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Tomek Soko-
lewicz też został aresztowany 3 marca, ale późnym wie-
czorem. Sędzia Katarzyńska w pewnym momencie zapy-
tała Emila: „Dlaczego ty to wszystko robisz?”. Syn odparł:
„Bo taki socjalizm, jaki proponuje ten rząd i ta partia, jest
nie do przyjęcia”. Sędzia Katarzyńska posumowała: „Mamy
więc pierwszą sprawę polityczną nieletniego”. Potraktowała
jego czyn jako polityczny, a nie chuligański czy kryminal-
ny. Musiała działać w trybie doraźnym, wyznaczyła termin
rozprawy na 17 marca.

Podczas tego przesłuchania dowiedziałam się, że esbecy
próbowali postawić syna przed trybunałem wojskowym.
Miał mieć sprawę już 4 marca, ale jakiś wojskowy sędzia

zaprotestował, zwracając uwagę, że oskarżony jest nieletni. Pomyślałam, że w tych strasznych dniach stanu wojennego znalazł się przynajmniej jeden przyzwoity sędzia w mundurze. Niestety nie poznałam jego nazwiska. Emil tylko zapamiętał, że to był pułkownik. Nie mogłam się pogodzić z faktem, że Emil podpisał protokół, w którym zeznał, że Tomek Sokolewicz zorganizował akcję na pomnik. Byłam oburzona, że złożył fałszywe zeznania. Przecież Sokolewicz nie miał nic wspólnego z akcją „Piłsudczyków”.

Mogłaś porozmawiać z synem po przesłuchaniu?

Wtedy w sądzie tylko zdążył mi szepnąć kilka słów o notesie z adresami i telefonami, który został w mieszkaniu na Kijowskiej. Poprosił, żebym tam pojechała, notes miał leżeć za tapczanem. Następnego dnia dostałam adres i klucze od Krzysia Kownasa. Pojechaliśmy z Jerzym na Kijowską. Nie wiedzieliśmy, kogo tam zastaniemy. Baliśmy się jakiejś prowokacji. Mieszkanie jednak było puste, notes tkwił za tapczanem. Na tapczanie leżała torba Emila ze szkolnymi podręcznikami. Esbecy nie zabrali tych rzeczy, nie zrobili rewizji. I wtedy po raz pierwszy do mnie dotarło, że ktoś ich wydał. Wskazał na Tomka i na Emila jako organizatorów akcji na pomnik Dzierżyńskiego.

Gdzie trafił Emil po przesłuchaniu w sądzie 5 marca?

Ponownie do Komendy Stołecznej MO w pałacu Mostowskich, mimo że jako nieletni powinien przebywać w Izbie Dziecka na Wiśniowej. Interweniowaliśmy w sądzie dla nieletnich i przewieźli go na jedną dobę na Wiśniową. Tam próbowali-

śmy mu dostarczyć solidarnościowe obrazki z Matką Boską Częstochowską, wizerunki Matki Bożej z napisem „Solidarność”. To były ksera tych obrazków, bardzo prymitywnie zrobione. Emil trzymał je pod szkłem na biurku. Wzięliśmy je stamtąd i chcieliśmy mu je dać, żeby go strzegły. Wyobraź sobie, że nie dali mu tych obrazków. Pani dyrektor tej placówki powiedziała, że to wykluczone, nie będziemy przekazywać dziecku żadnych świętych obrazków, bo dziecko jest teraz pod opieką państwową, pozbawione opieki rodzicielskiej. A w ogóle to Emil jest zbrodniarzem wojennym, został aresztowany i podlega dekretem stanu wojennego. Usłyszeliśmy, że jako rodzice nie mamy już żadnych praw do dziecka. Tak nas potraktowała na Wiśniowej pani dyrektor czy wychowawczyni, nie wiem, kim ona była, bo się nie przedstawiła. Znowu interweniowaliśmy u sędzi Katarzyńskiej i Emil trafił do zakładu poprawczego dla nieletnich na Okęciu. Trzymali go tam 10 dni, od 7 marca do rozprawy 17 marca.

A w tym zakładzie na Okęciu był sam w sali?

Sam. Odwiedzaliśmy go codziennie. To było tak zwane widzenie. Mogliśmy rozmawiać tylko w rozmównicy w obecności dyżurnego funkcjonariusza SB. Nigdy w cztery oczy.

Jak Emil się wtedy czuł? Co mówił?

Był spokojny. Zadowolony, że najgorsze już za nim. Miał tylko jeden problem – niesłusznie oskarżył w śledztwie Tomka Sokolewicza. Przecież dobrze wiedział, że Tomek nie ma nic wspólnego z akcją na pomnik. Tłumaczył mi, że kiedy dojdzie do sprawy Tomka, on jako świadek odwoła to, co

podpisał w śledztwie. Powie prawdę, powie, że zmuszono go biciem. Zeznanie pod przymusem jest nieważne. Taki miał plan. Chciał nagłośnić całą sprawę. W tym czasie dzięki przyjaciółce dotarliśmy do mecenasa Tomasza Sawickiego. Mecenas przychodził do Emila, rozmawiali w cztery oczy, bez esbeka. Raz się zdarzyło, że podczas widzenia wyszliśmy na ławkę, na zewnątrz, bo był ciepły dzień. Pamiętam to spotkanie, siedzieliśmy na tej ławce, esbeka przy nas nie było. Emil powiedział mi wtedy: „Mamo, najważniejsze, że już mnie nie biją. Nadal mnie straszą, ale wiem, że tak muszą. Nawet jak pójde do więzienia, to swoje odsiedzę i wyjde, ale prawdopodobnie nie wsadzą mnie na Rakowiecką jako nieletniego. Może mnie gdzieś internują albo wrócę na Wiśniową i będę tam siedział, dopóki nie skończę 18 lat”. Takie miał perspektywy. Spodziewał się najgorszego: uwięzienia. Uważał, że go nie puszczą do domu, że w najlepszym wypadku dostanie wyrok w zawieszeniu. Emil w tym czasie strasznie się martwił o Artura Nieszczerzewicza, żeby esbeka do niego nie dotarli. Mówił, że wiedzą o akcji na pomnik i że mamy ostrzec Artura. Prosił, żebyśmy do niego poszli. Emil nic nie zdradził w śledztwie, ale obawiał się jakiegoś donosu. Pamiętam: szliśmy do mieszkania Artura z duszą na ramieniu. Mieliśmy świadomość ryzyka. Nie wiedzieliśmy, co tam zastaniemy, na kogo trafimy. Szukaliśmy tego mieszkania na ulicy Bugaj, zresztą trafiliśmy tam przez ojca Artura, który mieszkał gdzie indziej. Chcieliśmy przekazać Arturowi kartkę – kontakt do Krystyny Pochwalskiej, która obiecała pomóc. Zresztą załatwiła wszystko w ciągu paru dni – wysłała Artura do Małego Cichego, do zaprzyjaźnionych

górali, państwa Kułachów, u których wielokrotnie bywała. Artur przebywał tam jakiś czas. Esbecy o nim nie wiedzieli i wtedy go nie znaleźli. Dopiero później był aresztowany, ale to już zupełnie inna historia, niezwiązana z Emilem.

Z tamtych bardzo trudnych dni pamiętam dobrze 13 marca 1982 roku, moje imieniny. Emil w zakładzie poprawczym czeka na rozprawę. Stan wojenny, wszystkiego brakuje, jedzenie na kartki. Lubiłam sałatkę z pomidorów z cebulką. Wtedy wydawała się luksusem. Pomidorów o tej porze w tamtych czasach nie było. Moja ciocia Stasia zaprosiła mnie do domu i zrobiła wszystko, żeby mi uprzyjemnić ten dzień. Dostała gdzieś na bazarze na Polnej te pomidory i zrobiła dla mnie taką sałatkę.

Tego dnia rano mieliśmy widzenie z Emilem. Opowiadał, że ciągle przychodzą do niego na zmianę dwaj esbecy: porucznik Jan Pol i podporucznik Jerzy Czemieliński, pseudonim „Skóra”. Ci, których widziałam w sądzie. Emil mówił, że oni nigdy go nie uderzyli. „Jedni są od bicia, drudzy od zaprzyjaźniania się”. Ci chcieli się z nim zaprzyjaźnić. Żalił się, że ciągle go przesłuchują, wypytują, nie dają mu spokoju. Zaskoczyło mnie, że Emil poszedł tam do spowiedzi, że przychodzi do niego ksiądz, zresztą chyba podstawiony przez SB – takie syn miał podejrzenie. Była to jedna z wielu prób wyciągnięcia od niego informacji, zresztą nieudana. Emil wyznał księdzu, że Sokolewicz jest niewinny i że podpisał fałszywy protokół. Byłam zdumiona tą spowiedzią Emila, bo nigdy wcześniej nie pytałam go, czy chodzi do spowiedzi. Nie mówił o tym w domu, nie zwierzał się ze swojego życia duchowego. Tak mało o nim wiedziałam...

Mecenas Tomasz Sawicki uświadomił mi tego dnia, w tej rozmowie na ławce, co może grozić synowi. Jest nieletni, ale mogą przedłużać sprawę, przeciągać śledztwo do chwili, aż skończy w czerwcu siedemnaście lat, a wtedy zakwalifikują go jako pełnoletniego i wsadzą do więzienia. Tak poruszył moją wyobraźnię, że naprawdę wystraszyłam się konsekwencji. Byłam bowiem przekonana, że jakoś z tego wybrniemy i że Emil wróci do domu. Tamtego dnia, 13 marca, poszłam do mojej kochanej cioci, która zastawiła stół, zdobyła gdzieś wędliny, nakupowała różnych drogiech, wówczas luksusowych rzeczy, żeby sprawić mi przyjemność, a ja nawet nie usiadłam do tego stołu, tylko leżałam na tapczanie i płakałam, płakałam, płakałam. Jakby ktoś odkręcił kurek ze łzami. Wypłakałam te ostatnie dwanaście marcowych dni. I teraz po 35 latach, jak każdego roku, wracają do mnie tamte przeżycia, ale nie ma już ani cioci, ani Emila i po raz pierwszy nie ma Jerzego, z którym zawsze mogłam wspominać tamte dni. Przywołuję się do porządku, żeby się nie mazgać, bo mam coś cennego, czego oni już nie mają. Jeszcze mam życie. To najcenniejsza rzecz. Taki mój los, taki los męża i syna. Trzeba spokojnie go przyjąć. Nie mogę być egoistką i się nad sobą rozczulać. Oglądałam kiedyś taki film *Było, minęło*. O człowieku, który pochował ukochaną żonę, a mimo to jeszcze był komuś potrzebny i czekało go wiele dobrego. Tak się pocieszam w tych trudnych dniach.

Niedawno dowiedziałam się, że gdy Emil przebywał w zakładzie poprawczym na Okęciu, odwiedziła go tam jego wychowawczyni, pani profesor Bujalska. Emil mi o tym nawet słowa nie pisał, wiem to od niej. Poprosiła go wów-

czas, żeby napisał wypracowanie o *Odprawie posłów greckich*. Chciała go zająć innym tematem, literaturą staropolską, by oderwał myśli od swoich bieżących problemów. Podobno napisał znakomitą pracę. „To była nad wiek dojrzała dysertacja”, powiedziała mi przez telefon pani profesor Bujalska. Pamięta ją do dziś. Żałuję, że jej nie czytałam. Pani profesor Bujalska dodała: „Pani Krystyno, Emil to nie był zwykły chłopak, był utalentowany literacko, zapowiadał się na obiecującego humanistę... To był nieprzeciętny uczeń”. Ta rozmowa telefoniczna w 2017 roku z wychowawczynią syna, po 35 latach od jego śmierci, była dla mnie z jednej strony jak miód na matczyne serce, które nagle przepełniła dumą i radością, ale z drugiej wywołała u mnie poczucie ogromnej, niepowetowanej straty, wielkiego żalu i powrót pytania bez odpowiedzi: dlaczego Bóg pozwolił, żeby zabrali mu być może piękne, dobre i długie życie?

17 marca odbyła się rozprawa w sądzie dla nieletnich. Jak to wyglądało?

Syn złożył zeznania przed sędzią Haliną Katarzyńską. Rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Mecenas Sawicki poświęcił dużo czasu, by znaleźć jakieś odniesienie do tej sprawy, jakiś precedens. Udało się. W 1957 roku organizowano już „zamach” na pomnik Dzierżyńskiego. Studenci Politechniki Warszawskiej pomalowali czerwoną farbą ręce Dzierżyńskiego rzeźnika. To była reakcja na zlikwidowanie tygodnika „Po Prostu”. Zostali uniewinnieni. Mecenas powołał się na tamten wyrok i przypomniał, że wówczas nie określono tego czynu jako akt chuligański

ani jako niszczenie mienia publicznego, lecz jako akt polityczny. Sędzia uznała czyn Emila za działanie polityczne nieletniego chłopca, który marzy o sprawiedliwej Polsce. Nie nazwała „akcji na pomnik” wybrykiem chuligańskim, ale próbą zamanifestowania stosunku do stanu wojennego. Wydała wyrok: dwa lata w zawieszeniu oraz opieka kuratora do czasu osiągnięcia pełnoletności. Gdyby nie jej odwaga, polityczna odwaga, toby się skończyło inaczej. Esbecy chcieli go za wszelką cenę zatrzymać i maglować, żeby coś jeszcze z niego wyciągnąć, do czegoś zmusić. A tu niespodziewanie miał się znaleźć pod opieką rodziców i kuratora. Dopiero później zapoznałam się z aktami sprawy. Dowiedziałam się, że oprócz oskarżenia o akcję na pomnik Dzierżyńskiego wpłynęło jeszcze oskarżenie esbecji sugerujące, że Emil i Tomek Sokolewicz zawiązali spisek mający na celu obalenie rządu i zmianę ustroju państwa. Wydawało się to absurdalne. Zostali określani jako antysocjaliści, antykomuniści i rewizjoniści. Drugim zarzutem było zniszczenie mienia państwowego, dzieła sztuki, czyli pomnika. Gdyby ten czyn został uznany za chuligański, syn musiałby słono zapłacić za szkody materialne, w przypadku kwalifikacji politycznej – nie. Trzecim zarzutem był nielegalny druk. Złamał więc kilka dekretów stanu wojennego. Na szczęście był nieletni. Gdyby ta sprawa toczyła się przed trybunałem wojskowym, zakończyłaby się więzieniem.

Miał wrócić do domu po rozprawie, 17 marca, ale panowie esbecy nie uszanowali wyroku sądu i zabrali go ze sobą do pałacu Mostowskich. Przetrzymali go jeszcze 24 godziny na tak zwanym dołku. Wrócił do domu dopiero 18 marca. To

był czas wielkiego szczęścia. Emilowi przydzielono kuratora Artura Rojka, z którym zarówno Emil, jak i my dobrze się rozumieliśmy. Nie mogę powiedzieć o nim złego słowa. Pan Rojek był młodym prawnikiem, aplikantem sądowym. Niestety, straciliśmy z nim kontakt po śmierci Emila. Gdy syn po rozprawie znowu trafił do pałacu Mostowskich, chcieli go porządnie nastraszyć. Wtedy po raz pierwszy usłyszał, co może się stać z nim, z matką lub ojcem. Powiedziano mu się, że jeśli nie będzie posłuszny, może wypaść z okna albo zginąć w wypadku. Opisywali, jak to się robi: wlewa się ćwiartkę wódki do ust, a następnie wpycha pod samochód albo wyrzuca z okna. Padła również sugestia, że może się utopić. Były to rozmowy w cztery oczy, niespisywane. Syn powtórzył mi, czym mu grozili. Byłam przerażona.

Czy Emil od razu wrócił do szkoły?

Tak. Następnego dnia. Dowiedziałam się dużo później, że uchodził za bohatera. Spotkał się z wielkim uznaniem, serdecznością i życzliwością kolegów. Przynajmniej większa część klasy bardzo go akceptowała. Może było tam kilka osób o innych poglądach, zapewne ich rodzice byli po drugiej stronie barykady. Ale nikt mu nie dokuczał, nie krytykował go. Był pod kuratelą wychowawczyni, profesor Zofii Bujalskiej. Pani profesor Ziemiak, która uczyła historii, też zachowywała się bardzo życzliwie. Miał dwóch czy trzech bliskich kolegów, którzy go wspierali. Grzegorza Ziemiaka, brata pani profesor, i Leszka Czajkowskiego. Jednak któregoś dnia syn mi wyznał, że mimo wszystko czuje się bardzo samotny. Jako konspirator był spalony. Wiedział, że już nikt

nie zaproponuje mu „roboty” w podziemiu. Powiedziałam, żeby skupił się na nauce, nadrobił zaległości. Obiecał, że tak zrobi, i chyba wtedy zaczął pisać swój pamiętnik.

Wasze życie się zmieniło. Dom był teraz pod obserwacją.

Po 18 marca ustaliliśmy system obowiązkowego pisania karteczek. Jak już mówiłam, nie mieliśmy telefonu. Krystyna Pochwalska miała telefon, oczywiście na podsłuchu. Emil czasem wracał stamtąd po 20.00, czyli po godzinie milicyjnej. Bardzo się tym denerwowałam. Potem konkurencję Krystynie zrobił Hubert Iwanowski, który się wprowadził do naszego bloku w drugiej połowie marca. Hubert też miał telefon. W kwietniu i maju Emil dzielił czas między dom Huberta a dom Krystyny Pochwalskiej. W naszym domu zawsze zostawiał karteczki, dokąd poszedł, gdzie jest. Esbecja nie odpuszczała. Co parę dni Emil musiał chodzić na przesłuchania do pałacu Mostowskich. Wezwania przychodziły pocztą albo przynosił je osobiście do domu „Skóra”, jeden z tych esbeków, którzy „się zaprzyjaźniają”. Na tych przesłuchaniach cały czas straszili syna. Mecenas Sawicki mówił, że powinni już dać mu spokój, to samo twierdził kurator Rojek, a mimo to ciągle go maglowali jako świadka. I tam, w tych rozmowach w cztery oczy, znowu kilka razy usłyszał, że jak będzie się stawiał, to „rodzina znajdzie go w Wiśle”. Emil mi powiedział, że ma takie wrażenie, że chcą z niego zrobić kapusia, donosiciela. Nie znaleźmy wtedy określenia „TW”, tę wiedzę zdobyliśmy dużo później. Emil rozmawiał z nimi grzecznie, nie był agresywny, więc może uznali, że mięknie. Mimo to

kiedyś na ulicy wjechał w niego samochód, Emil zatrzymał się na masce. Powiedział mi potem: „Mamo, nie wiem, czy to przypadek”. Czuł się zagrożony. Wspomniał o tym dwa czy trzy razy: „Może mi się zdarzyć jakiś wypadek”. Ale o śmierci nigdy nie mówił. Wiem, że poczuł się bezpieczniej, gdy zamieszkał w naszym bloku Hubert Iwanowski. Dla podziemia Emil był „spalony”, a kontakty z nim – niemile widziane. Nikt go nie odwiedzał, nikt do nas nie przychodził.

Kim był Hubert?

Studentem handlu zagranicznego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (dzisiaj: Szkoła Główna Handlowa). W marcu zamieszkał w wynajętej kawalerce, w sąsiedniej klatce, z żoną i malutkim dzieckiem. Był pięć lat starszy od Emila. Syn wychodził na spacer z ukochanym wyżłem, Bubą, Hubert z wilczurem Kamą. Tak się poznali. Chodzili razem na spacer nad Wisłę. Hubert bardzo imponował Emilowi i całkowicie zdobył jego zaufanie. Może dzięki intuicji, może przez nieufność bardzo niechętnie patrzyłam na tę nową znajomość. Zwykle serdecznie przyjmowałam w domu przyjaciół syna, ale ta znajomość mi się nie podobała. Emil często odwiedzał Huberta, siedział tam godzinami. Byłam tym zdenerwowana, bo kilka razy wrócił po 20.00, czyli po godzinie milicyjnej, czego nie wolno mu było robić. W każdej chwili mógł być aresztowany pod byle pretekstem. Mówił, że nic mu się nie stanie na podwórku, szybko przemknie z klatki do klatki. Rzadko mógł odwiedzać kolegów, którzy mieszkali dalej, a tu znalazł się jeden na miejscu. Staralam

się przekonać go, żeby przestał się zadawać z Hubertem. Czułam, że jest w tym coś dziwnego. Chłopak, który jest kilka lat starszy, ma rodzinę, zadaje się z siedemnastoletnim smarkaczem? Tylko dlatego, że mieszkają w jednym bloku i mają psy? Nie ma innych kolegów? Nie chodziło o żadne podejrzenia homoseksualne, absolutnie. Hubert był bardzo grzeczny, uprzejmy, miły. Żona z dzieckiem mieszkała tu tylko miesiąc, potem wyprowadziła się do rodziców, bo w kawalerce było za ciasno. Być może rodzina przeszkadzała Hubertowi w nauce. W każdym razie byłam zdecydowanie przeciwna tej nowej przyjaźni syna.

14 kwietnia miało miejsce jeszcze jedno przykre wydarzenie: konfrontacja Tomka Sokolewicza z Emilem. Towarzyszyłaś wtedy Emilowi.

Tak, musiałam być przy tym jako matka nieletniego. Wojskowi przestrzegali prawa, esbecy – nie. Okropne przeżycie. Posadzili chłopców obok siebie, a mnie między nimi, naprzeciwko nas siedział za stołem jakiś wojskowy, który ich przesłuchiwał. To było w sądzie wojskowym, chyba przy Chałubińskiego. Na pewno w aktach sprawy Emila jest protokół z tej konfrontacji i dokładny adres, ale nigdy później nie czytałam tego protokołu, choć pamiętam, że go podpisywałam jako obecna przy przesłuchaniu matka nieletniego. Sokolewicza przywieźli z aresztu na Rakowieckiej, w kajdankach. Przeczytali Emilowi zeznania Tomka, który go oskarżał, a Tomkowi zeznania Emila, który go oskarżał. To był triumf esbeckich metod pracy, wcześniej stosowanych przez carską ochronę, później przez Gestapo

i NKWD, a w czasach stalinowskich przez UB. Chłopcy byli zdumieni sobą nawzajem, że padły takie fałszywe oskarżenia. Bardzo to było nieprzyjemne. Bardzo. Tomek reagował emocjonalnie, był oburzony, nerwowo zaprzeczał. Emil był spokojniejszy, bardziej opanowany. Po wszystkich powiedział do mnie: „Musiałem to wytrzymać. Nie mogłem się odkryć. Gdybym się załamał i teraz wycofał zeznania, nie wytoczyliby Tomkowi sprawy. Szukaliby innego fałszywego świadka. A ja dopiero na jego rozprawie powiem, że jest niewinny”. Ale odchorował tę konfrontację. Dosłownie odchorował. Bardzo źle się czuł. I właśnie wtedy podjął ostateczną decyzję, że bez względu na konsekwencje na pewno wszystko odwoła.

Może esbekom zależało na złapaniu Emila na nielegalnym druku, żeby coś na niego mieć, żeby go straszyć więzieniem i wyrokiem? Był w tej sprawie tylko pionkiem. Chcieli postawić przed trybunałem stanu wojennego Tomka Sokolewicza. Nic na niego nie mieli, poza tym że przechowywał w domu podziemne wydawnictwa. Aresztowali ich tego samego dnia, 3 marca. Emila o 13.00, a Tomka o 23.00. Od początku montowali fałszywe oskarżenia. Zapewne przez Tomka chcieli dotrzeć wyżej, do działaczy Ruchu Młodej Polski. Emil i Tomek mieli oskarżać w zamian za wypuszczenie z aresztu. A może esbecja zamierzała zwerbować ich do współpracy? Złamać i zeszmacić. Emil powiedział mi: „Oni przecież dobrze wiedzą, że Tomek nie jest przywódcą”. Podobno nawet oznajmił esbekom: „To nie Tomek, ale jeśli chcecie, złożę fałszywe zeznania”. Był świadom ich cynicznej gry i że chcą go wykorzystać.

Co było potem?

Pamiętam dzień 17 kwietnia 1982 roku. Rząd w geście dobrej woli zezwolił na jeden dzień bez godziny milicyjnej, żeby prawosławni mogli świętować Wielkanoc. Można było bezkarnie chodzić po mieście całą noc. Dotyczyło to także młodzieży. W ten wiosenny, pogodny wieczór przyszła do nas Krystyna Pochwalska. Przyniosła butelkę czerwonego wina, rarytas w czasach, kiedy alkohol sprzedawano na kartki. To był luksus. Byłam sama w domu z Emilem. Jerzego nie było, wyjechał na Mazury malować kościołek. Krystyna wtedy przypuściła atak na Emila i na mnie, żeby Emil absolutnie nie odwoływał swoich zeznań oskarżających Sokolewicza. Żeby ich nie zmieniał na rozprawie i nie wyciągał Sokolewicza z więzienia. Bardzo źle robi, jeżeli odwoła zeznania i pozwoli Sokolewiczowi wyjść. Byłam zdumiona jej postawą, a ona miała do mnie żal i pretensje. Pytała, czy ja sobie zdaję sprawę, że narażam syna. „Dlaczego masz skrupuły?”, pytała. „Przecież Sokolewicz też oskarżał Emila”. Próbowała przekonać Emila, żeby konsekwentnie świadczył przeciw niemu. Emil odpowiedział, że się zastanowi. Rozmawialiśmy pół nocy. Wyszliśmy z domu o 4.00 nad ranem, co było wielką frajdą. Przez chwilę czuliśmy się wolni. Odprowadziliśmy Krystynę na Wałową. Wracaliśmy do domu środkiem jezdni.

Następnego dnia zaczęłam rozmowę z synem na temat zeznań w sprawie Tomka. Nie rozumiałam, dlaczego Krystyna tak bardzo nalegała, żeby Emil podtrzymał fałszywe zeznania. Uważałam, że Emil nie może wziąć na siebie moralnej odpowiedzialności za czyjeś uwięzienie. Syn

powiedział mi wtedy: „Mamo, irytuje mnie, że myślisz za mnie. Ja już wtedy, kiedy mnie bili, wiedziałem, co dalej zrobię. Nie zmieniłem zdania i nie zmienię. Muszę czekać do rozprawy Tomka. Zapewniam cię: on wyjdzie z więzienia. Nawet gdybym miał za to zapłacić życiem...”. Zapamiętałam to. Emil obruszył się na mnie, że w ogóle dopuszczam myśl, że pozwoli, by Tomek niewinnie siedział w więzieniu. Zapytałam, co myśli o argumentach ciotki Kryski. Odpowiedział: „Ona chce dla mnie jak najlepiej. Próbuje mnie ratować. Traktuje mnie jak syna. To samo radziłaby Szymonowi”. Zrobiło mi się strasznie przykro. To znaczy, że ona chce go chronić, a ja, jego matka, namawiam go do zeznań, które mogą spowodować przykre konsekwencje...

Emil jednak już się zdecydował. Na początku maja powiedział mi, że odwoła wszystko, co na nim wymusili biciem. Zrobi to 17 maja na rozprawie Tomka, na którą dostał wezwanie jako świadek. Obrońca syna, mecenas Tomasz Sawicki – niedawno dowiedziałam się, że już nie żyje – od początku mu doradzał, żeby jak najszybciej odwołał zeznania obciążające Sokolewicza. Podobno powiedział do Emila: „Chłopie, jeśli masz sumienie – odwołasz, jeśli nie masz – nie odwołuj”. To był bardzo przyzwoity młody adwokat. W sądzie dla nieletnich podjął się obrony Emila za darmo, nie chciał honorarium. Powiedział: „kiedyś, później”. Jerzy obiecał mu wtedy, że namaluje dla niego pejzaż. Wiesz, że nie pamiętam, czy spełnił swoją obietnicę? Gdyby Jerzy żył, tobym go zapytała. A tak, kiedy obaj już nie żyją, kogo mam pytać?

Na początku maja 1982 roku odbywało się w Warszawie wiele manifestacji. Emil brał w nich udział.

1 maja, 3 maja, 9 i 13 maja 1982 roku. Emil był na wszystkich demonstracjach organizowanych przez „Solidarność”, przez podziemie. Strasznie się wtedy denerwowałam, bo był inwigilowany, wzywany na przesłuchania. Pod obserwacją był nie tylko Emil, ale też nasz dom, nasze mieszkanie. A mimo to syn odważył się chodzić na te manifestacje. Są zdjęcia, jak jedną z demonstracji na placu Zamkowym rozpędzają armatkami wodnymi. Emil tam był. Wrócił do domu szczęśliwy, zachwycony. Przyniósł taki długi kij, drzewce sztandaru albo transparentu, który niósł. Materiał oberwał mu jakiś zomowiec, ale Emilowi został w ręku ten kij i dzielił nim napastnika. Opowiadał, że bił się z zomowcem, który miał hełm, tarczę i pałkę. Walił go tym kijem. Pierwszy raz w życiu! Ten kij potem w domu przechowywał jak relikwię. Mówił: „Mamusiu, nie wyrzucaj tego kija. Zatrzymaj go, bo tym kijem oberwał ode mnie zomowiec”. Oczywiście wrócił mokry, zlany wodą, milicja puszczała tam gaz łzawiący, więc oczy mu łzawiły, ciężko oddychał, ale rozentuzjzmowany z pasją opowiadał, co tam się działo i jak było wspaniale. Gdy obejrzałam to później w telewizji na krótkich migawkach filmów dokumentalnych, to dopiero sobie zdałam sprawę, w czym brał udział: w zajściach na placu Zamkowym i na trasie W-Z. Poszedł tam, gdzie najwięcej się działo. Mimo że był przecież niedawno mocno pobity, dostał wyrok w zawieszeniu, miał kuratora i był na muszce esbecji.

Bałam się też o jego zdrowie, był przecież astmatykiem alergikiem. Brał leki. Okazały się skuteczne, Emil nie miał

już problemów z atakami duszności. Wyrósł z nich. W 1982 roku miał tylko raz atak astmy: wtedy w marcu, gdy go aresztowali, bili i przetrzymywali w pałacu Mostowskich. Esbecy się przestraszyli i w nocy zawieźli go karetką do szpitala MSW na Komarowa (dziś: Wołoska). Tam podano mu jakieś zastrzyki na rozszerzenie oskrzeli. Emil nie chciał mnie martwić, więc przyznał mi się dużo później i „bardzo delikatnie”, że taka sytuacja się zdarzyła. Niestety, po paru godzinach esbecy zabrali go ze szpitala do pałacu Mostowskich i dalej bili, męczyli. Nie miało to wpływu na metody esbeckich przesłuchań.

Na początku maja Emil dostał zawiadomienie z sądu, że ma się stawić jako świadek w sprawie Tomasza Sokolewicza i Marka Marciniaka, oskarżonych między innymi o zorganizowanie akcji na pomnik Dzierżyńskiego.

Do końca życia będę miała ten dzień w pamięci: 17 maja 1982 roku. Panował upał. Na ulicach było dużo milicji, z powodu niedawnych demonstracji. W południe poszłam z synem do sądu na ulicę Leszno. Młodzież nosiła wtedy oporniki na palcu, a także, naśladując Lecha Wałęsę, podobiznę Matki Bożej w klapie marynarki. Emil tego dnia też miał podobiznę Matki Bożej w klapie, a na palcu pierścionek zrobiony z oporników. Błagałam go, by to zdjął i nie prowokował milicji, bo może nie dotrzeć do sądu. Bałam się, ale syn był uparty. Towarzyszył nam pies, młoda suczka Buba, którą Emil odprowadził na Wałową. Na szczęście żaden patrol MO nas nie zaczepił. Sprawa toczyła się przy drzwiach otwartych. Przyszło mnóstwo ludzi z opozycji, działacze z Komi-

tetu Prymasowskiego, dziennikarze, przyjaciele, uczniowie z Reja, nauczyciele, znajomi...

Opowiedz po kolei, jak to było.

Dobrze. Tego dnia na rozprawie po raz pierwszy zobaczyłam Marka Marciniaka i jego matkę, Danutę. Zeznawali przełożeni matki Marciniaka, znajomi i sąsiedzi. Mówili, że Marek nie był chuliganem, dobrze się uczył, nie sprawiał trudności wychowawczych. A jego matka jest świetną pracownicą, wystawiali jej jak najlepszą opinię. Przyszedł moment, kiedy na świadka wezwano Emila. Na wstępie oświadczył, że jego zeznania podpisane w śledztwie są nieprawdziwe, że wymuszono je szantażem i biciem. Wszystko odwołuje, bo nie ma w nich słowa prawdy. Podkreślił, że Tomek Sokolewicz jest niewinny. Dodał, że sam padł ofiarą prowokacji SB, bo wśród działaczy opozycyjnych są agenci. Jednemu z nich pochwalił się uczestnictwem w akcji na pomnik, a tamten prawdopodobnie go wydał. Oświadczył, że nie zna Marka Marciniaka. Znał tylko pseudonimy chłopców, z którymi spotykał się w bramie na Rynku Starego Miasta. Część zeznań złożonych w śledztwie pokrywała się z tym, co mówił na rozprawie, ale wyraźnie podkreślił, że został użyty, by oskarżyć Tomka. Wyjaśnił, że to tylko kolega ze szkoły, z którym wymieniali poglądy. Obaj liczą na to, że ten ustrój zmieni się na lepszy, o co chcą i będą walczyć. Jego postawa była tak szalenie ideowa, że niektórzy ludzie na sali mieli łzy w oczach.

Emil opowiedział, jak go bito w śledztwie. Był opanowany. Oskarżał system. Na sali zrobił się szum. Prokurator,

młoda blondynka, zerwała się z miejsca i zaczęła krzyczeć, że za fałszywe zeznania grozi mu pięć lat więzienia. Emil odpowiedział: „Trudno, ja tego protokołu nie pisałem. Zostałem tylko zmuszony do podpisania przygotowanych zeznań. Podpisałem, żeby ci panowie przestali mnie bić”. Sędzia był chyba pod wrażeniem słów Emila, bo zachowywał się wobec niego delikatnie i zadawał pytania spokojnym tonem. Spytał, czy Emil może podać nazwiska funkcjonariuszy, którzy biciem wymusili fałszywe zeznania. Pol? Czemieliński? Syn zaprzeczył i powiedział, że ci tylko zapisywali efekty pracy „tych od bicia”. Powiedział: „Ci panowie, kiedy biją, nie przedstawiają się, ale jestem gotów w każdej chwili ich rozpoznać”. Sala wybuchnęła śmiechem. Rozległy się oklaski. Pani prokurator zaczęła krzyczeć: „Jak świadek śmie mówić takie rzeczy?! To bezczelność! Czy świadek wie, co mu za to grozi?!”. Ale sędzia nie skomentował, tylko się uśmiechnął. Myślę, że spodobała mu się ta odpowiedź, Emil zyskał sympatię w jego oczach. Na sali byli dziennikarze z zagranicznych gazet i rozgłośni radiowych: Głos Ameryki, Radio Wolna Europa. Na drugi dzień relacjonowano tę sprawę, stała się głośna. Pisano o niej w podziemnej prasie. To był ewenement, że licealista mówi w sądzie takie rzeczy. Nikomu nieznanym młody człowiekiem. Byłam bardzo wzruszona i dumna z Emila. W sądzie na korytarzu podchodzili do mnie obcy ludzie i gratulowali mi takiego syna. Zaimponował wielką odwagą i oddaniem swoim ideałom. Dzięki zeznaniom Emila sąd nie wydał wyroku. Termin następnej rozprawy wyznaczono na 17 czerwca. Marek Marciniak i Tomek Sokolewicz wrócili do aresztu.

Emil wyszedł z sądu przeszczęśliwy. Spadł mu kamień z serca. Wreszcie odetchnął z ulgą. Powtarzał: „Jak dobrze, że to zrobiłem. Tomek teraz szybko wyjdzie. Nic na niego nie mają. Nic”. Nigdy nie zapomnę, jaki radosny wracał tamtego dnia, gdy odwołał wszystko, co powiedział podczas bicia i wymuszania zeznań. Był bardzo szczęśliwy, a ja razem z nim. Prosto z sądu poszliśmy na Wałową do ciotki Kryśki. Była pora obiadowa, Krystyna gotowała zupę pomidorową z kluskami. Zapytała, czy zjemy. Usiedliśmy do stołu. Emil zaczął opowiadać o rozprawie – z wielkim entuzjazmem, radością w głosie, chwalił się przed nią tym, co zrobił. A Krystyna była milcząca i smutna. Nie rozumiałam jej reakcji, choć byłam z nią wtedy zaprzyjaźniona. Rozczarowała mnie. Dziwiłam się, dlaczego nie cieszy się razem z nami? W końcu powiedziałam: „Pochwal go, przecież tak należało się zachować!”. A ona na to: „Bardzo źle i głupio zrobił. Dziwię ci się, że to akceptujesz”. Byłam zaskoczona taką reakcją. Nawet po latach, już po śmierci Emila, i właściwie do dziś nie rozumiem jej postawy. W każdym razie mimo wszystko to był piękny dzień, i wszystkie kolejne, aż do dnia 3 czerwca, kiedy syn wyszedł z domu i już nie wrócił. Po 17 maja odzyskaliśmy spokój, niczego się nie baliśmy, nie spodziewaliśmy się żadnej tragedii, nie mieliśmy złych przeczuć. Tylko Emil przestał biegać na Wałową. Wyczuwał niechęć Krystyny i Szymona. Czuł, że ich zawiódł, bo nie zrobił tak, jak mu radzili. Kontakty się rozluźniły. Na pewno czuł się samotny, dlatego tak się zaprzyjaźnił z Hubertem Iwanowskim i znalazł się „pod jego opieką”.

Jak sobie przypominam te dwa ostatnie tygodnie życia Emila, to z kolegów obok niego był tylko Hubert. Oczywiście miał też kolegów w szkole. Po 17 maja Emil znowu przeżywał dni sławy. Gratulowano mu, że odważył się głośno powiedzieć prawdę. Teraz jednak musiał się zająć nauką. Poza tym wieczorami, do późna w nocy pisał, cały czas stukał na maszynie, na moim starym mercedesie. Denerwowałam się, że jeszcze nie śpi, że już północ, a następnego dnia musi wstać do szkoły. Czasem zerknęłam na to, co pisze, chociaż szanowałam jego prywatność. Pokazał mi tytuł, który nadał tym zapiskom: „Od grudnia do maja”. Z obawy przed kolejnymi rewizjami w domu stale nosił ze sobą niebieską teczkę, w której trzymał ten maszynopis. Bardzo żałuję, że nie usiadłam któregoś wieczoru, kiedy syn już spał, i nie przeczytałam od początku do końca tego, co napisał. Myślałam, że zdążę. Tak bardzo żałuję, że to odkładałam. Nie zdążyłam.

Pamiętasz jeszcze jakieś zdarzenia z tamtych majowych dni?

Pamiętam jeszcze coś. Był Dzień Matki, 26 maja, właśnie przygotowywałam obiad w kuchni. Bitki wołowe w sosie cebulowym. Moja specjalność i ulubione danie Emila. Syn przyszedł do mnie z nietypowym prezentem. Kupił mi kilo cebuli. Złożył mi życzenia i dodał ze śmiechem: „Kupiłem ci cebulę, żebyś nie mówiła, że ci nie pomagam”. Takie miał poczucie humoru. Bardzo mnie rozbawił tym prezentem. Ale jeszcze bardziej rozbawił i zaskoczył mnie kilka dni wcześniej. Wróciłam z pracy dopiero wieczorem, zapaliłam świat-

ło w kuchni i stanęłam zdumiona. Jedna ściana i pół sufitu były śnieżnobiałe, a reszta jak zwykle – szarokremowa od dymu papierosowego. Kontrast niesamowity. Weszłam do pokoju Emila i pytam: „Synku, czy ta biel w kuchni to twoje dzieło?” Roześmiał się i powiedział: „To pół prezentu dla ciebie na Dzień Matki, drugie pół dostaniesz na Dzień Dziecka, oczywiście jeśli znajdę czas i siły. Ale nie martw się, na pewno to dokończę”. Niestety, nie dane mu było dokończyć. Przez kilka lat po jego śmierci nie odnawialiśmy kuchni. Nie mogliśmy i nie chcieliśmy. Patrzyliśmy z Jerzym na te obie ściany, jedną szarą, a drugą białą i na sufit do połowy biały, do połowy jasnobrązowy i była to dla nas wzruszająca pamiątka po Emilu. Jego ostatnia praca dla domu, praca, która została przerwana, niedokończona – tak jak jego życie.

Autorem tego listu są przywódcy polskiego Buchu Oporu działającego w podziemiu od czasu bezprawnego ogłoszenia przez komunistów Stanu Wojennego i aresztowania tysięcy patriotów polskich. Z tego krótkiego wstępu, jak widzisz, wynika, że list ten nie jest ani żartem, ani zabawą Twoich znajomych. Liczymy się z tym, że możesz odnosić się do tego listu nieufnie obawiając się prowakacji. Zważ jednak, że niestety ale i Ty musisz ponieść ryzyko bowiem i my ryzykujemy ufając Tobie. Po zebraniu na Twój temat wystarczającej ilości niezbędnych informacji doszliśmy do wniosku, że możesz a nawet powinnaś poszerzyć szereg młodych ludzi, którzy zdecydowali się mimo ryzyka utraty tego co prócz ojczyzny jest im najdroższe, na walkę o Polskę niepodległą, na walkę narodowyzwolenczą, na walkę o Polskę silną i sprawiedliwą. Nadzieją i szansą dla naszej ojczyzny jesteście właśnie my, czyli ci, którzy patriotyzm i ojczyznę stawiają ponad wszystko i są gotowi do największych poświęceń i są gotowi wyrzec się wszystkiego dla dobra naszej ojczyzny-Polski i narodu polskiego. Szczególnie młodzież, wy, którzy przecież już niedługo nadejdziecie o losach Polski i od waszej postawy będzie wszystko zależało. Nie możemy w tym liście, w tych kilku zdaniach zapoznać Ciebie z zasadami polskiego Buchu Oporu i jego celami. Możemy jedynie zapewnić, że nie jest jego celem doprowadzenie do rozlewu bratniej krwi i wojny domowej, do której może doprowadzić nieodpowiedzialność jednostek nawołujących w obecnej sytuacji do strajków, akcji zbrojnych czy terrorku, który nie ma miejsca w naszych tradycjach walk niepodległościowych. Pragniemy zjednoczyć serca i umysły wszystkich Polaków by w każdej chwili, gdy nadejdzie utęskniony dzień, mogli godnie, po polsku przystąpić do otwartej, zbrojnej walki, by byli przygotowani na wielki sryw ciemnego narodu, na powstanie, które wcześniej czy później ~~zakończy~~ wybuchnie z ogromną siłą.

Na koniec niezależnie od Twojej odpowiedzi pragniemy przestrzec Ciebie przed przed nierozważnymi posunięciami. Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że gdyby ten list dostał się w niepowołane ręce to niebezpieczeństwo nie grozi tylko Tobie ale wszystkim a szczególnie tym, którzy przyjdą na spotkanie z Tobą.

INSTRUKCJA:

- Zakładamy, że powiesz "TAK"
- Bądź w najbliższy o godz. w "Pasięce" na Starym Mieście. Masz być sama.
- Czekać na kogoś kto się przedstawi jako bliski przyjaciel "Janka" Ty wtedy masz odpowiedzieć, że masz "Janka"
- Uprzedzamy cię, że łącznik nie przyjdzie sam, ale Ty chyba nie przyprowadzisz ze sobą oddziału ZOMO?
- List ten po przeczytaniu natychmiast skutecznie zniszcz

ORZA WRONA NIE POKONA, PREDZET SKONA Centrala werbunku przy
 ZA ZGODNOŚC Z ORZĄDEM
 27.01.2003
 Data:.....podpis:.....

CENTRALA D/S INFORMACJI

1284

- Inf. o kolaborantach, agentach UB i donosicielach
- Inf. o aresztowanych, internowanych, szykanowanych i ich rodzinach
- Inf. o wydatkach, o osobach, zbieranie materiałów kompromitujących konkretne osoby. /Foto/
- Inf. o nowych posunięciach i zamierzonych planach natury ogólnokrajowej ze strony aparatu władzy i bezpieczeństwa
- Sprawdzanie wiarygodności przekazywanych informacji

CENTRALA D/S DYWERSJI I SABOTAŻU

- Szykanowanie zdrajców
- Wykonywanie wyroków Podziemnego Sądu
- Utrudnianie i dezorganizowanie pracy aparatu władzy /m.in. sabotaż gosp.
- Organizowanie i wykonywanie akcji paramilitarnych /tzw. zamachy na obiekty strzeżone/
- Akcje ulotkowe
- Zdobywanie broni, materiałów wybuchowych czy innego sprzętu zarówno dla potrzeb CD/SDIS jak i innych Centrali /papier itp/

CENTRALA D/S DRUKU I POLIGRAFII

- Druk

CENTRALA D/S REDAKCJI, KULTURY I OŚWIATY

- Pisanie nowych tekstów
- Zbieranie i redagowanie tekstów napisanych przez innych gdzieindziej
- Prowadzenie polityki wydawniczej
- Redakcja i opracowywanie aneksów do podręczników i lektur szkolnych
- Prowadzenie tajnych kompletów, pomoc szykanowanym licealistom i studentom w nauce
- Organizowanie wieczornic i tajnych zebrań dyskusyjnych

CENTRALA D/S EKONOMICZNO FINANSOWYCH

- Tworzenie i utrzymywanie sieci strzymania funduszy składkowych
- Prowadzenie gospodarki finansowej
- Zarobek /m.in. przez organizowanie odpłatnych bibliotek latających/
- Udzielanie pomocy internowanym, prześladowanym, aresztowanym i ich rodzinom

CENTRALA D/S WERBUNKU

- Przeprowadzanie werbunku przez penetrację różnych grup i środowisk społ.
- Sprawdzanie wiarygodności i przydatności kandydatów
- Uzupełnianie potrzeb danych Centrali

CENTRALA D/S KOMÓREK KONTAKTOWYCH, BEZPIECZEŃSTWA I PRZERZUTÓW

- Tworzenie warunków do natychmiastowego nawiązania kontaktu z odpowiednimi centralami
- Prowadzenie kolportażu i transportu materiałów dla potrzeb danych centra
- Kontrola sytuacji w szeregach organizacji, ogłaszanie alarmów, wykrywanie przecieków.
- Organizowanie przerzutów osób spalonych
- Załatwianie lewych papierów
- Zdobywanie informacji dotyczących planów i wiadomości aparatu bezpieczeństwa o organizacji, uprzedzanie ich posunięć

PODZIEMNY SĄD NAJWYŻSZY RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

- Prawodawstwo, sądownictwo, wyroki

IZBA REPREZENTANTÓW

ZA ZGODNOŚĆ Z OKRĘG BALEW

3.7.XVII.2009 podpis

Handwritten signature and notes:
 Syn...
 3.7.XVII.2009 podpis

„OD GRUDNIA DO MAJA”

Jedyny ocalały fragment pamiętnika Emila

Nazywam się Emil Barchański. 6 czerwca 1982 skończę siedemnaście lat. 13 grudnia 1981 dla milionów Polaków był potężnym ciosem w tył głowy. Jedni, upadłszy, zostali pojmami, inni jedynie się skulili, przykucnęli i teraz próbują nadal, choć w kuckach, poruszać się do przodu. Są też tacy, którzy upadli i, choć nie zostali pojmami, trwają nadal w tej samej pozycji. Ale najsmutniejsze jest, że są też tacy, którzy zostali pojmami, ale teraz sami z ukrycia zadają takie ciosy, jakie zdążyli otrzymać wcześniej. Ja należę do tych, którzy próbują stawiać kroki do przodu nawet w trudnej pozycji, w kuckach. Niestety, niedługo mogłem podejmować wraz z innymi te usilne próby. Wpadłem w sidła najzwyklejszego prowokatora, rzec by można – agenta Służby Bezpieczeństwa. Przez niego lub dzięki niemu rozpocząłem tę 340-godzinną podróż, bardzo pouczającą, ale jakże okrutną i bolesną.

Szymona [Pochwalskiego] znałem już wcześniej. Był to zwykły, może mniej lub bardziej sympatyczny kumpel,

z którym łączyły mnie jedynie zwykłe towarzyskie rozmowy na tzw. tematy niezobowiązujące nikogo do niczego. Przypuszczam, że dopiero moja obecność na mszy odprawianej 28 lutego 1982 w kościele przy ulicy Krasińskiego, mszy w intencji więzionych po 13 grudnia – internowanych i aresztowanych – oraz ich rodzin, pozwoliła Szymonowi zaufać mi i zaproponować coś, na co nie każdy w obecnej sytuacji by się zgodził.

Chodziło o druk; powielanie, jak się później dowiedziałem, broszury Adama Michnika. Miało mi to dać nie tylko możliwość poznania ludzi, których zawsze chciałem poznać, ale także możliwość przeczytania czegoś, co – jak przypuszczałem – na pewno mnie zainteresuje. Cztery dni pracy w pełnej konspiracji i odizolowaniu miało mi przynieść 4000 złotych.

Zabezpieczając się odpowiednio i uprzedzając rodziców, udałem się z Szymonem następnego dnia, to jest 1 marca 1982, na umówione wcześniej spotkanie. Do mieszkania, w którym mieliśmy pracować, zaprowadził nas człowiek znany wcześniej Szymonowi. Tam czekał inny mężczyzna. Przedstawił się jako Andrzej¹. Jego Szymon znał bardzo krótko, a poznał przez Jasia², któremu ten był lepiej znany.

W mieszkaniu leżały przygotowane wcześniej: papier, farba, matryce i wszystko to, co potrzebne jest do druku.

¹ Według matki Emila prawdopodobnie chodzi o Stefana Andrzeja Omastę.

² Według matki Emila to przypuszczalnie Jan Kozłowski, krewny Krystyny Pochwalskiej, który organizował drukowanie tekstów Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa”. Również na ten temat: AIPN, 0256/15, Sprawa operacyjnego rozpracowania, kryptonim „Fenix”, donos TW ps. „Grażyna”, k. 134.

Po krótkim omówieniu szczegółów pracy i ogólnych zasad, którymi mieliśmy się kierować przy powielaniu, a także warunków, na jakich mieliśmy się tym zajmować, obaj panowie wyszli z mieszkania, zabierając klucze.

Pracowaliśmy prawie non stop z krótkimi przerwami na papierosa, jedzenie i sen. Mieliśmy skończyć do czwartku [4 marca].

Mimo ciężkiej harówki zarówno jakość, jak i ilość naszej pracy nie były zadowalające. Ostatni raz Andrzej przyszedł w środę około godziny 11.00. Wpadł na chwilę, po czym zaraz wyszedł. Wiedzieliśmy, że się nie wyrobimy do czwartku, on zapewnił nas, że to nic nie szkodzi, a ponieważ w czwartek wraca właścicielka, przeniesiemy się do innego mieszkania, gdzie skończymy powielanie.

Po upływie około dwóch godzin, gdy ja po trzygodzinnym śnie przygotowywałem się do roboty, a Szymon właśnie wyszedł do łazienki, usłyszałem potężny, tępy odgłos uderzenia. Powtórzyło się to dwa razy. Upewniwszy się, że to ktoś dobija się do drzwi, po sekundzie wahania, a raczej bez żadnego wahania dostałem się na balkon. Tak jak stałem, zacząłem przeskakiwać z balkonu na balkon, wciąż jednak na tym samym poziomie. Na którymś z nich przykucnąłem, trzęsąc się cały, mniej z zimna, a bardziej ze strachu.

Nie byłem jednak do końca pewien, czy moje przypuszczenia są prawdziwe. Może to tylko psychoza... Może mi się tylko zdawało. W głowie mi się nie mieściło, że to możliwe, nigdy nie zastanawiałem się nad tym, że i ja mogę wpaść, że i mnie dostaną kiedyś w swoje łapy. Niesamowita pogoń myśli, bałagan umysłu nie pozwalały mi na ocenę sytuacji

i szans kontynuowania ucieczki. Te kilka minut wydało mi się bardzo długie. Trzeba było coś zrobić – czy jest sens schodzenia balkonami w dół? A jeśli dom jest otoczony? Trzeba zobaczyć. Wychyliłem się przez barierkę, zerknąłem na tamten balkon i wtedy... „Jest, mam go! Wracaj, bo zastrzelę jak psa! Wracaj albo skacz!”. Pistolet gotowy do strzału, przerażający krzyk, okrutne oczy, zdeterminowana twarz. „Jedna sztuczka i jesteś na dole. Wracaj!”.

Zacząłem wracać, nie powiem, że ufnie, ale na pewno nieświadomie. Coś jakby mnie rewidowali, ale to był ułamek sekundy: „Przy sobie nie ma”. Miałem wrażenie, jakbym latał między ścianami. Wszystko w ruchu, ból chwilami był tak ciągły, że następne ciosy były prawie nieodczuwalne.

Rzucili mnie na ścianę, potem tapczan, regał, jakieś twarde podłoże – podłoga, chwila stabilności, mój wzrok zaczął rejestrować konkretne obrazy, nieruchome. Trudno powiedzieć, że się rozglądałem, ale w każdym razie starałem się zobaczyć, gdzie Szymon. Leżał tak samo jak ja – na brzuchu, nogi rozkraczone do maksimum wytrzymałości, piekący ból w kroku; to tak, jakby skóra pękała. Ręce początkowo na ziemi, otwarte dłonie.

Słyszę, że ktoś coś mi mówi. Każe mi coś zrobić, ale nic nie mogę zrozumieć. Wtedy zobaczyłem ciężki but na swojej ręce. Zobaczyłem ból. Ja nadal nie rozumiem, o co mu chodzi, but przechodzi na policzek i to samo ugniataanie: „Na kark łapy!”. Zaplotłem dłonie na karku, spojrzałem na Szymona, on nadal leży, ręce ma już na karku, wtedy czub innego buta uderza z piekielną siłą w jego żebra. Odgłosu, jaki wydał Szymon, nie można nazwać krzykiem

ani jękiem – to po prostu ból, ten dźwięk jakby wyszedł z żołądka, z samych płuc. „Kto tu przychodził? Mów, bo jak... w jaja, to się już nie podniesiesz!”. Wtedy nie ból, a coś, na co nie ma wystarczająco mocnego słowa, poczułem w kroku, gdzieś z głębi moich wnętrzności wydobył się charkot, który niemal wyplułem z gorącą, gęstą i lepką śliną. Potężny cios w kręgosłup, taki sam, jaki otrzymałem zaraz po tym, jak znalazłem się na podłodze. Nie wydałem żadnego dźwięku, bo już żadnego w sobie nie miałem. Czułem się jak wbijany w ziemię, wygięty do granic wytrzymałości mojego kręgosłupa. Musiałem zmienić pozycję choć na chwilę. Krzyknąłem, że powiem, że przychodził taki jeden... Pozwolili mi usiąść. Powiedziałem o Marku, chciałem dać znać w jakiś sposób Szymonowi, co będę mówić. Przemilczałem istnienie Jasia. Przez tę chwilę mogłem zobaczyć coś więcej niż buty i podłogę.

Robili zdjęcia, oczywiście rewizję, nie zdążyłem się dobrze rozejrzeć, z powrotem rzucili mnie na podłogę. Jakby dopiero wtedy do mnie dotarło, że są po cywilnemu, że nie było tam ani jednego mundurowego, chyba że mundurami można by nazwać wyprasowane garnitury z szerokimi, chamskimi krawatami. Na twarze nie patrzyłem, bałem się, po prostu nie wiedziałem, czy wolno, czy za takie spojrzenie nie zaczną znów kopać.

Gdy okazało się, że jestem młodszy od Szymona, wzięli mnie pierwszego. Wstałem, któryś z tyłu kopnął mnie w krzyż, poleciałem trochę do przodu. „Łapy!”, zwiążali mnie jakimś paskiem. „Niech weźmie sweter!”, „Po co mu sweter?” – śmiech. „Słuchaj – nie usłyszałem imienia – on

jest twój, to twoja własność, zrób z nim coś, ale żeby dojechał tam do nas”. Na twarzy adresata tych słów grymas, który miał być uśmiechem. Przyjrzałem się temu człowiekowi. To ten sam, który zauważył mnie na balkonie. Około 25 lat, wysoki, dobrze zbudowany. Miał na sobie ogrodniczki ze zwężanymi nogawkami, tzw. pumpy, włosy zaczesane do tyłu, przeredzona bródka – po prostu człowiek, którego gdybym spotkał wcześniej, uznałbym za jakiegoś „hybrydowca” [potoczne określenie osoby chodzącej do klubu studenckiego „Hybrydy” – przyp. M.P.], dyskotekowego chłopca, a był to funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa. Podobnie zresztą jak pozostali.

W towarzystwie jeszcze jakichś dwóch wyprowadzili mnie do windy. Przy windzie stała kobieta z jakimś mężczyzną. To mieli być niby ci, którzy nas wydali, jacyś sąsiedzi. Dałem się nabrać. Wepchnęli mnie do windy. W windzie było ciemno, mało widziałem; czułem i słyszałem tylko: „Teraz czekają ciebie takie niespodzianki. Cały czas. Wiesz za co? Za to, że uciekałeś”. Dostawałem ciosy w żołądek, a gdy się kuliłem, w kark. Kilka razy z otwartej dłoni bił mnie po twarzy, po głowie. Wysiedliśmy z windy. Szedł trochę z przodu, moje związane ręce trzymał pod pachą; „bo po co ludzi denerwować...”. A ludzie swoje i tak widzieli – byłem cały w farbie drukarskiej, a przed domem stał milicyjny radiowóz, nysa. Lecz nie do niej wsiadłem, tylko do drugiego samochodu. Był to gazik wojskowy. Wepchnął mnie do środka, na tylne siedzenie, usiadł obok mnie. Ruszyliśmy.

Przez całą drogę spotykały mnie różne „niespodzianki”. Wtedy najwięcej byłem bity po twarzy i żebrach. Gdy prze-

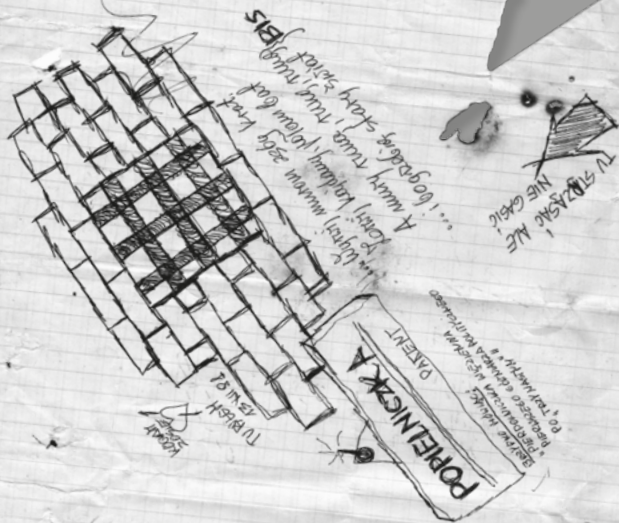
jeżdżaliśmy koło przystanku lub blisko krawężnika, miałem spokój, ale w tunelu Trasy W-Z pod placem Zamkowym ani chwili spokoju nie dał. Bił seryjnie, bez przerwy, to była „jedna długa niespodzianka”. Każdy cios to ból. Znienacka, pojedyncze uderzenia bolą bardziej od ciągłego bicia, kiedy po chwili już nic się fizycznie nie czuje, bo wtedy górują udręka i ból psychiczny. Oczy szczypią, tępy ból głowy, ciemno przed oczami, uczucie golizny, nie ma skóry, są tylko nerwy, chłód i uciążliwy ból w karku pod ogromnym ciężarem głowy.

Nie wiedziałem, gdzie jedziemy, nie zastanawiałem się nad tym. Wiadomo, nie do domu... Skręcamy w Nowotki. Już wiem – to pałac Mostowskich. Wjeżdżamy na podwórze. Długie korytarze, co metr drzwi. Klosz wiszący na ścianie informuje: „Nie wchodzić. Przesłuchanie”. Przy końcu korytarza jakaś wnęka, w niej drzwi. Pierwszy pokój... W drugim pod wpływem silnego kopnięcia osuwam się wzdłuż ściany na podłogę. Przede mną stoi sześciu drabów, każdy pod krawatem, łapy jak moja twarz, metr osiemdziesiąt wzrostu. „Uciekał, skurwiel!”. „A to... jego mać!”. Bili, jak popadło. Każdy z nich chciał uderzyć, kopali, bili po twarzy, w żołądek. Ciągłe obelgi, obrażali wszystko, co mogło być dla mnie ważne. W śmiechu nagle któryś wpadał w szal i bił, aż upadnę. W twarz nie kopali: „To zostawia ślady”. Potem do następnego pokoju. Tu miało się rozpocząć właściwe przesłuchanie. Upadałem często. Bili inni, ale za to samo... Za to, że mam szesnaście lat, za to, że jestem „chudy jak szkapa oświęcimska”, że uciekałem i wreszcie za to, że jestem za grzeczny, czyli jednym słowem – „gdybym mógł,

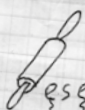
to powiesiłbym ich wszystkich wraz z całymi rodzinami”. Bili też za to, że robię bałagan w pokoju, w którym oni pracują, że ściągam dywan... Bili, bo chcieli.

Po jakiejś godzinie zaczęło się „normalne” przesłuchanie z bardziej metodycznym biciem. W pokoju wciąż siedziało co najmniej czterech, pilnowali okna, a raczej szyby. Zadawali pytania, lecz wcale nie oczekiwali odpowiedzi. Mimo że starałem się natychmiast odpowiedzieć, otrzymywałem ciosy. Popępiałem błędy, nie miałem żadnej wersji. Bili i pytali. Cały przebieg przesłuchania, wraz ze szczegółami dotyczącymi ich metod, sposobów, blefów, zapiszę osobno. Cały czas straszili i blefowali.

Do bardzo metodycznych sposobów bicia należy pałowanie po piętach. Szczegółowo później. Wkładali palce między drzwi. Straszili włożeniem jąderek w szufladę; borowaniem zęba, ale nie tak jak stomatolog, lecz tuż przy nerwie przednich zębów; łamaniem rąk i jakąś „japońską metodą”, o której wiem mało, ale brzmiało to groźnie. Być może blef. Bili pałą po dłoniach i kolanach, straszili zgaszeniem papierosa na powiece itp. Trudno mi to wszystko wypisywać, bo wiem, że to „nieprawdopodobne” i boję się, że gdybym zaczął wyliczać to, czym mnie straszili, lub to, co wobec mnie zastosowali, to wtedy po prostu by mi nie uwierzono, bo ja sam też bym nie uwierzył.



POPULARNE


 ce { URBAN
 OLŚZOWSKI
 SIWAK } F
 ORMO ~~to~~
 ORMO slu
 URBAN
 OLŚZOWSKI
 SIWAK

Pamiętka z przymusowego pobytu
 Emila w Zakładzie Poprawczym dla
 Nieletnich na Okęciu, marzec 1982 r.

EMIL. CZERWIEC 1982

„Poszedłem po słońce”

Porozmawiajmy o czerwcu 1982. Początek czerwca był bardzo upalny, podobnie jak cały maj.

Przypomniała mi się jedna historia związana z 1 czerwca tamtego roku. Moja szefowa w wydawnictwie przyniosła Emilowi w prezencie na Dzień Dziecka takie śmieszne, długie, jeszcze niepocięte papierosy z fabryki, kupowane na wagę. Była namiętną palaczką i miała dostęp do tych papierosów. Słyszała, jak mówiłam, że ja i Jerzy dajemy synowi bardzo zły przykład. Oboje palimy i Emil też zaczął palić, a do tego nam wmawia, że to mu pomaga na astmę i że w aptece są specjalne papierosy dla astmatyków. No więc dałam mu ten prezent. Śmiał się. Siedział i ciął sobie te papierosy, bardzo go to bawiło. Pierwszy raz widział takie długie papierosy, jeszcze niepocięte przez maszynę. A jak przebywał w zakładzie poprawczym na Okęciu, czekając na rozprawę, zrobił z tektury pudełko na papierosy z napisem KPN. „Kapeenowskie papierosy” – żartował. Był manualnie uzdolniony. Do tego pudełka włożył potem te pocięte papierosy. Rzadko palił, raczej dla fasonu, i nigdy w domu, przy nas – tak się umówiliśmy. Niestety my, palacze, nie świe-

ciliśmy przykładem. Takie to były czasy, wśród przyjaciół, znajomych prawie wszyscy palili. Człowiek z papierosem był powszechnie akceptowany.

Pamiętasz dzień 2 czerwca?

Tak, to była środa, wieczorem byłam w domu. Jerzy nadal malował kościółek w Budrach na Mazurach, w ostatnich miesiącach rzadko bywał w Warszawie. Emil jak zwykle poszedł do Huberta. Wziął ze sobą niebieską teczkę z maszynopisem pamiętnika. Widziałam ją tamtego wieczoru, potem zniknęła. Już nigdy jej nie zobaczyłam. Syn siedział u Huberta jak zwykle za długo, musiałam po niego iść po 21.00, dawno po godzinie milicyjnej. Wrócił bez niebieskiej teczki, ale wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Denerwowałam się, że tak długo tam przesiaduje. Chciałam, żeby był już w domu. Ale on długo nie kładł się spać. Słuchał muzyki i sprzątał pokój. Jego pokój to było jego królestwo. Sam w nim wszystko robił, zmieniał sobie pościel, układał uprane rzeczy. Sam o wszystko dbał, pod tym względem też był bardzo samodzielny. W środę wieczorem wykąpał się, naszykował sobie ubranie na następny dzień: swoją ulubioną bawełnianą brązową koszulkę (mam ją do dziś) i krótkie beżowe spodenki, tak zwane szorty, bo miał być upał. (Ale do szkoły poszedł rano w długich białych spodniach). A potem wyjął zdjęcia. Miał dwie koperty ze swoimi fotografiami. Słuchał muzyki i do północy przeglądał stare zdjęcia z dzieciństwa. Siedział i oglądał. Później rozmawialiśmy o tym z Jerzym, to naprawdę wydawało się niesamowite. Tak jakby coś przeczuwał i robił przegląd swojego życia. Dawno nie oglądał

tych zdjęć. Znaleźliśmy je potem na jego biurku w koperkach. A może chciał pokazać je Hubertowi? Wynieść z domu, tak jak ten pamiętnik? Może dla niego je szykował? Ale na szczęście nie wziął ich. Zostały w domu. Wiedziałam, że umówił się z Hubertem na następny dzień. Mieli pojechać nad Wisłę, żeby się uczyć. Emil musiał zaliczyć przysposobienie obronne, a Hubert też miał jakiś egzamin.

3 czerwca, w czwartek, wyszedł rano do szkoły?

Tak. Zapowiadał się straszny upał. Emil zwolnił się z dwóch ostatnich lekcji i już w południe był w domu. Dowiedziałam się o tym później od Szymona Pochwalskiego, który go spotkał przypadkiem na ulicy. Emil zaproponował mi, żeby wziął psa i razem z nim i Hubertem pojechał nad Wisłę. Szymon odmówił, mówiąc, że jest za gorąco. Wróciłam z pracy wieczorem i zastałam na stole kartkę. Emil przestrzegał naszej umowy i po 18 marca zawsze zostawiał mi kartki z informacją, gdzie jest. Tym razem napisał: „Poszedłem po słońce z psem i PO. Wrócę, kiedy słońce nie będzie mi już potrzebne. Nie przy Tobie będzie Mahariszi, lecz przy mnie, jako kontrast w stosunku do intruza, który bez mojej woli we mnie jest, czyli Podsiadły. Bądźmy czujni i zjedźmy razem obiad po moim powrocie na łono Bonifraterskiej 16 m. 27. Emiliaszczek”.

Skąd ten Mahariszi?

Danuta Marciniak, mama Marka, pożyczyła mi książkę *Rozmowy z mędrce*m Śri Ramany Maharisziego. Było to po 17 maja 1982 roku. Przeczytaliśmy ją z Emilem. Interesowa-

łam się wtedy filozofią hinduską, taka była moda w latach osiemdziesiątych i później. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych widywałam na ulicy wyznawców Kriszny w pomarańczowych szatach. Zachwyciłam się tym tekstem. Maharishi traktował Jezusa nie jako Mesjasza, ale jako proroka. Twierdził, że uczy tego samego, co Jezus, by w życiu starać się podążać drogą miłości, przebaczenia i prawdy. To zafrapowało Emila. Hinduski mędrzec napisał filozoficzne teksty, których przesłanie jest zbliżone do Ewangelii. Ta książka stała się tematem naszych wieczornych rozmów o tym, czy rzeczywiście da się tak żyć: w oparciu o miłość, prawdę i przebaczenie. Także poprzedniego dnia wieczorem rozmawiałam z synem o Mahariszim, stąd ta wzmianka o nim na kartce od Emila. Nie miałam pojęcia, że to będzie nasza ostatnia rozmowa.

Co zrobiłaś, gdy Emil nie pojawił się do 20.00?

Zaraz po 20.00 poszłam do Huberta Iwanowskiego. Nikogo nie zastałam. Pobiegłam więc na Wałową, do domu Pochwalskich, ale tam też nie było Emila. Około 21.00 znowu poszłam do Huberta. Właśnie wrócił. Miał spodnie mokre do kolan, pobrudzone piaskiem. Wręczył mi lekko wilgotną torbę szkolną Emila. To był taki nieduży płócienny plecak. Długo go przechowywaliśmy, ale po latach Jerzy podarował tę pamiątkę jakiemuś młodemu człowiekowi. Nie pamiętam już komu. W tej torbie był podręcznik do PO, legitymacja szkolna, klucze, zegarek i papierosy w plastikowym cylindrycznym czarnym pudełku. Hubert dał mi też mi koszulkę Emila, smycz i obrożę psa Buby.

Byłam zdumiona. Jak to? Emil jest w samych szortach, bez koszulki? Co się stało? Hubert powiedział, że około 15.00 pojechali autobusem na Saską Kępę, a następnie poszli na piechotę Wałem Miedzeszyńskim aż do miejscowości Błota i tam zeszli na taką dziką plażę tuż nad Wisłą. Hubert jeździł tam z ojcem, Emil też był z nim tam już parę razy. Wtedy usłyszałam pierwszą z kilkunastu wersji, które później podawał: Rozłożyli się na piasku nad Wisłą. Podobno Emila nosiło. Biegał w tę i z powrotem. Znalazł długi kij, bawił się z psem i w pewnym momencie powiedział, że z tym kijem przejdzie po łąkach na drugi brzeg Wisły, do Wilanowa. Była susza, niski stan wody w rzece. Podobno Emil oznajmił, że spróbuje przejść po wodzie jak Jezus. Hubert po chwili zaczął go wołać, bo Emil nagle zniknął mu z oczu. Zobaczył po drugiej stronie Wisły jakiś samochód osobowy, dwoje ludzi i biegający czarny punkcik – psa. W oddaleniu stał trzeci człowiek, który przypominał mu Emila – był w jasnych spodenkach, z nagim torsem. Było to około 19.00. Pomyślał, że Emil rzeczywiście przeszedł na drugą stronę. Podobno ten trzeci, półnagi człowiek wsiadł do tamtego samochodu. Wtedy Hubert zabrał rzeczy Emila i postanowił wrócić do domu, żeby zdążyć przed godziną milicyjną. Sądził, że Emil poprosił tych ludzi o podwiezienie. Wtedy zadałam mu jedno podstawowe pytanie: „No dobrze, panie Hubercie, ale po co miałyby tam przechodzić? Do tego z młodym szczeniakiem bez smyczy?”. Wszyscy wiedzieliśmy, że Buba zawsze musiała być na smyczy, bo bardzo lubiła biegać i mogła zrobić sobie krzywdę. Zginąć albo się zawieruszyć. To był młody pies,

nieułożony, nie chodził bez smyczy przy nodze. Na moje pytanie Hubert odpowiedział: „Nie wiem, proszę pani, po co Emil chciał tam przejść. Wydawało mi się, że to on był na drugim brzegu. Sądziłem, że tamci ludzie przywiozą go do domu”. Odparłam, że Emil zachował się wybitnie nierozsądnie, jeśli było tak, jak on mówił. Hubert opowiadał mi to wszystko ze spokojem, z kamienną twarzą. Nie objawiał żadnych uczuć, ani złości, ani gniewu, ani strachu. Kompletnie wyprany z emocji młody człowiek. Muszę się przyznać, że ten jego spokój mnie uspił, uspokoił. Przecież tak się nie zachowuje człowiek, który by coś złego zobaczył czy miał jakieś podejrzenia? On był niezwykle opanowany i ten spokój mi się udzielił.

Prosto od niego poszłam na Wałową. Zrelacjonowałam Krystynie, co się zdarzyło, że Emila nie ma, a Hubert dał mi jego rzeczy. Wtedy ona postanowiła, że następnego dnia, w piątek, 4 czerwca, zorganizuje poszukiwania. Z młodzieżą, przyjaciółmi, znajomymi. Będą szukać Emila na lewym brzegu, po stronie Wilanowa. Bo być może ci ludzie z samochodem wcale go nie zabrali, tylko on się tam gdzieś ukrył. Uświadomił sobie, że nie zdąży wrócić do domu przed godziną milicyjną, a był bez legitymacji i bez ubrania. Ona też próbowała racjonalnie to tłumaczyć, że może Emil gdzieś tam utknął i czeka na pomoc. Noc była bardzo ciepła. Posłuchałam jej. Znałam ją dopiero od trzech miesięcy, ale już zdążyłam się z nią zaprzyjaźnić. Miałam do niej pełne zaufanie, była dla mnie autorytetem. Poza tym takie rozumowanie i sposób działania narzuciła nam relacja Huberta. Zadzwoiłam od niej do Jerzego, do Węgo-

rzewa. Mama Jerzego miała w domu telefon. Powiedziałam, że Emil zniknął, że powtarza się historia z marca. Następnego dnia, czyli 4 czerwca, Jerzy wrócił do Warszawy.

Brałaś udział w tych poszukiwaniach 4 czerwca?

Tego dnia, w piątek, musiałam iść rano do pracy. Ci młodzi ludzie, którzy wybrali się na poszukiwania, to byli chłopcy, którzy spotykali się w mieszkaniu na Wałowej i dobrze znali Emila. W piątek wychodziliśmy wcześniej z wydawnictwa, o 15.00, więc przed 16.00 byłam w domu. Jerzy już wrócił i na mnie czekał. Poruszony opowiedział mi wtedy swój sen. Zasnął w autobusie jadącym z Węgorzewa. Gdy przejeżdżał przez Wisłę w Warszawie, ocknął się przerażony, bo przyśnił mu się Emil, a właściwie jego ręka wystająca z wody, tak jakby syn wołał ratunku. Jerzy opowiadał mi ten sen przy naszej przyjaciółce, Antoninie Wysockiej-Jończak, rzeźbiarce. Ten sen zainspirował ją później do wykonania pięknej rzeźby w brązie zatytułowanej *Emilowi B.*, przedstawiającej wewnętrzną stronę dłoni.

Poszliśmy z mężem i Antoniną do Krystyny. Powiedziała nam, że poszukiwania zakończyły się niczym. Wspomniała o czymś, co z perspektywy lat uznaję za kłamstwo. Nie wiem, dlaczego wtedy mnie okłamała. Mówiła, że Emila szukało też wojsko i milicja. Chwaliła się, że uruchomiła jakieś znajomości, kogoś poprosiła i ten ktoś to zorganizował, czyli poszukiwania z ramienia państwa też zostały podjęte. Nawet wtedy nie mogłam w to uwierzyć. Razem z mężem doszliśmy do wniosku, że Emil został zatrzymany i aresztowany, że powtarza się historia z marca tego roku.

Poszliście znowu do pałacu Mostowskich?

Od razu. Byliśmy pewni, że esbecy przetrzymują go, chcąc się zemścić za odwołanie zeznania na rozprawie Tomka i Marka. W pałacu Mostowskich mieliśmy poczucie *déjà vu*. W marcu też szukaliśmy tu Emila. Wtedy też milicja mówiła, że nic nie wiedzą, mimo że go zaaresztowali i bezprawnie przetrzymywali. Przed nami, rodzicami, nie przyznawali się, a nie wolno im było go trzymać, bo był nieletni. Czyżby sytuacja się powtórzyła? Usłyszeliśmy: „Nie ma takiego”. Kazali zawiadomić o zaginięciu Komisariat Reczny oraz Dzielnicy Komisariat MO przy Jezuickiej. Rzecznik Komendy Stołecznej MO w pałacu Mostowskich poprosił Jerzego, żeby narysował Bubę, bo niestety nie mieliśmy żadnego zdjęcia naszego psa. Było ogłoszenie w telewizji, był pokazywany rysunek, że tak wygląda zaginiony pies. Szukali psa – przez trzy dni. A przy okazji Emila. Ogłoszenie było tylko o psie: „Kto widział takiego psa? Ten pies naprowadzi nas na ślad zaginionego...”. Jerzy się strasznie żyzymał i denerwował z powodu tego ogłoszenia i rysunku. Mówił: „Niech szukają Emila, powinni dać jego zdjęcie, a nie rysunek psa”. No ale stało się inaczej. Rzecznik Komendy Stołecznej MO uznał, że pies ważniejszy. Mieliśmy wrażenie, że oni sobie kpią albo w coś z nami grają. Ale taki był czas stanu wojennego. Wszystko było postawione na głowie. Rozmowy kontrolowane. Godzina milicyjna. Puste półki w sklepach. Kartki na papierosy, na mięso, na buty, na wszystko. Aberracyjna sytuacja. I do tego zaginął syn, zaginął pies, a milicja mówi, że nie ma śladu, nic nie wie i niewiele może zrobić. Milicjant dyżurujący na Jezuickiej przyjął później ode mnie zdjęcie

Emila i wypełniony formularz o zaginięciu. Gdy wychodziłam, poradził, żebym szykowała trumnę, bo żywego syna raczej nie zobaczę. Skoro ostatni raz widziano go nad Wisłą, a do tego „bawił się w politykę”, to na pewno się utopił. Byłam coraz bardziej przerażona. Jako telefon kontaktowy podałam numery Huberta i Krystyny Pochwalskiej.

W sobotę rano, 5 czerwca, dyżurny z Komisariatu Rzecznego zadzwonił do Huberta Iwanowskiego. Chciał rozmawiać z kimś z rodziny. Hubert przybiegł do nas i poszłam do niego, żeby odebrać telefon. Usłyszałam, że w okolicach Miedzeszyna, na pięćsetnym kilometrze Wisły, wyłowiono z rzeki ciało mężczyzny: rosłego blondyna, wiek: około 25 lat. Od razu uznałam, że to nie może być Emil – syn przecież jest szczupłym szatynem i jutro skończy 17 lat. Poinformowano mnie, że zwłoki zostaną przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej na ulicy Oczki. Prosektorium w sobotę i niedzielę jest zamknięte, więc mam przyjść w poniedziałek, 7 czerwca, o godzinie 8.00 rano, by zidentyfikować ciało. Być może jest to zaginiony, bo zgadza się opis ubrania: ten mężczyzna ma na sobie tylko białe slipy, beżowe krótkie spodenki i skórzane sandały. Nie przyjąłam do wiadomości tej informacji. Dla mnie była niewiarygodna. Emil nie jest „dwudziestopięcioletnim roslym blondynem”. To nie on. Emil żyje. Nadal go szukaliśmy.

Pojechaliście w to miejsce, gdzie zaginął?

Tak. W niedzielę, 6 czerwca, były jego siedemnaste urodziny. Trzeci dzień poszukiwań. Koledzy Emila wpadli na pomysł, żeby zorganizować tak zwaną wizję lokalną. Jerzy

i Krzys Kownas zmusili Huberta, żeby z nami jechał. Pojechaliśmy w kilka osób do Błot, w rejon Wału Miedzeszyńskiego, w to miejsce, gdzie syn był z Hubertem nad Wisłą trzy dni wcześniej. Hubert miał nas poprowadzić. Szliśmy dokładnie tą samą drogą. Koledzy syna podejrzewali, że Hubert coś ukrywa, nie ufali mu. Niektórzy byli wobec niego agresywni, zachowywali się nieprzyjemnie. On jednak okazywał niewzruszony spokój. Z kamienną twarzą odpowiadał na pytania, ale była to już nieco inna wersja wydarzeń. Od razu zauważyłam różnice i nieścisłości. Gdy mu je wskazywałam, zasłaniał się brakiem pamięci. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Gdy dotarliśmy na to pustkowie, Jerzy od razu nazwał je „niesamowitym uroczyskiem”. Hubert pokazał nam miejsce, gdzie rozłożyli koc i zasiedli do nauki. Stałam na brzegu, łachy rzeczywiście były widoczne, ale między nimi była głęboka woda. Natychmiast pomyślałam, że to niemożliwe, żeby Emil wszedł do wody i przeszedł na drugą stronę z psem bez smyczy. Poza tym on nie wchodził do wody, z powodów, o których już wspominałam.

Z nieba lał się żar. Wszyscy byli zdenerwowani, spoceni, tylko Hubert niezwykle opanowany, suchutki, bardzo spokojny. Nie pocił się. Nic nie mówił. Ciągłe wyciągał z kieszeni koszulki jakąś papierową torebkę i coś z niej wsypywał sobie na język. Powiedział, że to oranżada w proszku. Jerzy przypuszczał, że to jakiś narkotyk albo lek, że on coś bierze. To zachowanie nie było normalne. Jakieś takie nie-ludzkie. Chłopcy oskarżali Huberta, że kłamie, chcieli go sprowokować, ale on uparcie powtarzał swoje: szukał Emila, wołał, a potem zobaczył go przy samochodzie na drugim

brzegu rzeki. Myślał, że tamci ludzie go zabrali i zawieźli do domu. Później zmienił i tę wersję. Opowiadał, że być może Emil chciał ratować tonącego psa. Mówił, że co prawda nie widział, jak Emil skacze do wody za psem, ale mogło tak być... Innym razem twierdził, że w ogóle niczego nie widział, bo cały czas leżał na brzegu Wisły i czytał. Jedyne świadek, kompletnie niewiarygodny.

Do domu wróciliśmy po południu. Usiedliśmy z przyjaciółmi Emila i rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło. Nagraliśmy na taśmę te rozmowy, żeby nie umknęły nam fakty i spostrzeżenia, żeby utrwalić na gorąco to, co widzieliśmy i przeżyliśmy. Wieczorem tego dnia znowu spotkaliśmy się w mieszkaniu na Wałowej. Byli tylko Szymon i Krzysztof. Nie było Krystyny i nikt nie wiedział, gdzie poszła. Około 20.00 wróciła i oznajmiła, że była w Zakładzie Medycyny Sądowej na Oczki. Widziała ciało. To jednak Emil. Nie mogłam uwierzyć. Byłam w szoku. Dlaczego nie wzięła mnie ze sobą? Wy tłumaczyła mi, że nie wiedziała, czy pozwolą jej tam wejść. Chciała mnie przygotować na to, co zobaczę w poniedziałek. Widok jest straszny. Ciało Emila jest spuchnięte, ogromne, bardzo zmienione. Włosy są jasne, bo odbarwione przez wodę. Twarz nie do rozpoznania, ale to on. Rozpłakałam się. Emil leży w kostnicy – w dniu swych siedemnastych urodzin. Nikt nie może się przygotować na taki koszmar.

...

Pokazano mi ciało 7 czerwca, w poniedziałek, o 8.00. Miałam je zidentyfikować. Gdy weszłam do prosektorium przy ulicy Oczki 1, przeraziłam się. Ciało Emila było spuchnięte,

napęczniałe, dwa razy grubsze, był o wiele wyższy niż wtedy, gdy żył. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to rana na szyi i kłębiące się białe robaki w tej ranie. Byłam wstrząśnięta. Na moich oczach robaki jadły ciało mojego syna. Szyja była przerżnięta z prawej strony od ucha do połowy brody. Żywa czerwona rana, w której wolno poruszały się duże białe glisty... Jeśli ja to przeżyłam, to powiedz, czy mogę się czymkolwiek bardziej zatrwożyć? Czy coś gorszego może mnie spotkać? Kazali mi pokazywać na jego ciele jakieś znaki szczególne, znamiona. Odnalazłam na udach i brzuchu dwa charakterystyczne pieprzyki. Wtedy zauważyłam, że na białych slipach i beżowych szortach miał smar, plamy smaru. Jakby czarną smołę. Na nogach były sandały – dostał je po dziadku Lotarze. Piękne, brązowe skórzane sandały, które bardzo lubił i o które szczególnie dbał. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: Emil nigdy by nie wszedł w tych sandałach do wody, na pewno nie przeszedł w nich na drugą stronę Wisły, nie chciałby ich zniszczyć. Nogi Emila wyglądały jak banie, były strasznie spuchnięte. Pierwsze, co powiedziałam potem mojej przyjaciółce Antoninie, rzeźbiarce, to, że miałam wrażenie, że nie oglądam ciała syna, tylko jakiegoś afrykańskiego bożka. Na tym stole leżał jakiś wielki totem. Miał zdeformowaną twarz, oczy wyszły mu z orbit, ogromne, wydęte, spuchnięte wargi, włosy sterczały jak patyki i były w kolorze słomy. Dlatego powiedziano mi, że milicja znalazła ciało mężczyzny opisane jako „rosły blondyn, lat 25”. Ciało było strasznie zmienione. Stało się to między 5 a 7 czerwca. Na pewno nastąpiły jakieś procesy naturalne, ciało prawdopodobnie leżało w wodzie od 3 do 5

czerwca, ale gdy je wyłowili, było w dobrym stanie. Przecież później widziałam zdjęcia zrobione przez pracownika Komisarjatu Rzecznego zaraz po wydobyciu zwłok syna z Wisły.

Nasz znajomy astrolog, pan Leon Zawadzki, który kiedyś też musiał identyfikować ciało przyjaciela, który utonął, tłumaczył mi, że dopiero po tygodniu następuje rozkład, ale też nie aż tak potworny. Twierdził, że nie stałoby się to, gdyby ciało włożono do lodówki. Ale esbecy tego nie zrobili – podejrzewam, że celowo. W tamtym czasie panowały bardzo wysokie temperatury. Od 5 do 7 czerwca było codziennie około 30 stopni Celsjusza. Maj i czerwiec 1982 były bardzo gorące. Pamiętam, że marzec też był wyjątkowo ciepły, taka to była wczesna wiosna i wczesne lato tamtego roku. Leon Zawadzki uprzedzał mnie, że ciało może być zmienne, obrzmiałe, ale do rozpoznania. A ja przeżyłam szok, bo mogłam rozpoznać tylko ubranie Emila i sandały. Nie mogłam rozpoznać syna! Szukałam tych jego dwóch pieprzyków bardziej dla siebie niż dla nich, jako znaków identyfikacyjnych. Ciało, zamiast w lodówce, dwa dni leżało na stole w prosektorium, nagie, nawet go nie przykryli prześcieradłem. Zresztą nie tylko jego. W tym samym pomieszczeniu było jeszcze na stołach kilka innych ciał, również niczym nieprzykrytych. Nie wiem, jak wyglądali, nie miałam siły, by się przyglądać, ale mam w oczach te gołe zwłoki, cztery czy pięć. Od razu je zobaczyłam, gdy tam weszłam z eksmałżonkiem, ojcem Emila. Pozwolili na identyfikację tylko nam dwojgu. Jerzy, jako ojczym, nie miał do tego prawa. Czekał na podwórzu i nie widział tego wszystkiego. Ojciec Emila wszedł, spojrzął na zwłoki syna i uciekł ze słowami:

„Jezu, jak tu śmierdzi!”. Po prostu zwiął, zostałam sama. Było tam też dwóch pracowników prosektorium – prawdziwych, bo już następnego dnia podmieniono ich na dwóch młodych „studentów”, prawdopodobnie esbeków, którzy udawali pracowników. Jeden z nich powiedział mi, że jest studentem filozofii i zatrudnił się tam w ramach pokuty za grzechy. Widocznie SB zamierzała mnie maksymalnie przestraszyć, upokorzyć, nie wiem, jakie jeszcze inne cele mieli, ale zapewne chcieli mnie całkowicie złamać... Żeby wpadła tam w rozpacz, w histerię... Nie wiem... Byłam w szoku, ale nie krzyczałam, nie płakałam, byłam zimna jak gład. Być może zdumiałam tych dwóch pracujących tam mężczyzn, bo przecież matka tak się nie zachowuje, widząc zdeformowane zwłoki dziecka. Dopiero jak wyszłam na zewnątrz, na podwórze, i stanęłam przy Jerzym i przy mojej przyjaciółce Antoninie, to się rozplakałam. Ale płakałam tak cicho jak nigdy, bez jęku, bez szlochów, tylko łzy płynęły mi strumieniami. Stałam nieruchomo i łzy same mi leciały. Nagle otworzyły się drzwi prosektorium i wybiegła z nich kobieta, cała ubrana na czarno, w kapeluszu z czarną woalką na twarzy. Krzyczała: „Mordercy! Mordercy! Zamordowali mi męża!”. I biegła przez to podwórko na Oczki, w tym czarnym welonie, krzycząc: „Mordercy! Mordercy!”. To wywarło na mnie tak wielkie wrażenie, że zapomniałam, co ja tu robię i po co przyszłam. Wstrząsnął mną ten widok. Zapomniałam, w jakim stanie przed chwilą widziałam syna. I wtedy podszedł do mnie mój eksmąż, Emil Franciszek Barchański, i powiedział: „Krystyna, to był mord polityczny. Zamordowali nam syna”. On pierwszy to powiedział. Uciekł z pro-

sektorium, był bły jak ściana, przerażony; widocznie jego odporność była mniejsza niż moja. Ale to zdanie on pierwszy wypowiedział na głos na tym podwórku na Oczki. Ta kobieta w welonie gdzieś pobiegła, widocznie też identyfikowała zwłoki w prosektorium. Jej widok, krzyk i słowa mojego byłego męża sprawiły, że otrzeźwiałam. Przestałam płakać. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że Emil został zabity. Wcześniej była we mnie potrzeba wiary, że stało się nieszczęście, że to był nieszczęśliwy wypadek, utonięcie. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że go zamordowali. Psychicznie broniłam się przed tym całą sobą. Ja bym wołała, żeby mi udowodnili, że utonął. Ale po tym wszystkim, co zobaczyłam i co do mnie dotarło, wiedziałam, że to nie był wypadek. Znajomy lekarz powiedział mi, że celowo nie włożono ciała do lodówki, żeby je zniszczyć, perfidnie, z całą premedytacją, żeby nie było śladów tego, co mu zrobili, zanim wrzucili jego ciało do Wisły. Dlatego nie chcieli mnie od razu w sobotę wpuścić do prosektorium, chociaż o to błagałam. Te dwa dni w upale zrobiły swoje...

Później zobaczyłaś zdjęcie zwłok zrobione nad Wisłą 5 czerwca...

Pojechaliśmy z Jerzym do Komisariatu Rzecznego. Rozmawiał z nami szef komisariatu, już nie pamiętam jego nazwiska. Jerzy by wiedział, pamiętał nazwiska wszystkich ludzi, z którymi mieliśmy kontakt w związku z tą sprawą. Tamten człowiek pokazał nam szafę z dokumentacją tak zwanych rzekomych utonięć i powiedział dziwną rzecz: „Prawda na ten temat może ujrzy światło dzienne za jakieś dwadzieścia

lat”. Od razu nam uświadomił, żebyśmy się nie spodziewali, że czegokolwiek się dowiemy o śmierci syna. Ten milicjant bardzo szczerze i uczciwie z nami rozmawiał. Widać było, że nam współczuje. Dawał do zrozumienia, że wie, co się stało, ale nie może nic powiedzieć. W każdym razie to nie było żadne zwykłe utonięcie. On już wtedy to wiedział. Uzbierał nas w cierpliwość: kiedyś dowiemy się prawdy.

Uprosiłam go i pokazał mi zdjęcie zrobione przez funkcjonariusza Komisariatu Rzecznego, gdy ciało wydobyto z wody. Na fotografii można było rozpoznać, że to Emil. Wyglądał, jakby spał na plaży. Miał na szyi siną pręgę. To, co z nim zrobili później, było tak makabryczne, że trudno to opisać. Wtedy jednak zwróciłam uwagę na jeden szczegół. Emil leżał na piasku, miał bose stopy. Sandały znajdowały się obok ciała. Ktoś mu te sandały zdejmował i wkładał. Do dziś nie umiem tego wytłumaczyć. W prosektorium miał sandały na nogach, a nogi były tak spuchnięte, że nie dałoby się zdjąć sandałów. Dowiedziałam się, że ciało wyłowili jakiś ormowiec, który pływał łódką po Wiśle¹.

Za dwa dni szef Komisariatu Rzecznego zniknął, został wysłany na urlop. Na jego miejsce przyszedł typowy esbek. Udawał, że jest tutaj w zastępstwie. Rozmowy z nim były już zupełnie inne. Pilnował sprawy i nas. Sugerował, że Emil

¹ AIPN, 0256/15, Sprawa operacyjnego rozpracowania, kryptonim „Fenix”. Notatka informacyjna kierownika Komisariatu Rzecznego KS MO mjr. J. Tomaszewskiego, 6.06.1983 r.: „Badania zwłok nie wykazały żadnych obrażeń. [...] Należy uznać, że Emil Barchański, usiłując znaleźć [tak w oryginale] przejście przez Wisłę, trafił na głębie i utonął. [...] Dla informacji podaję że grupa uczniów szkoły, do której uczęszczał E. Barchański, sugerowała, że utopiła go Milicja Obywatelska”, k. 153.

ratował psa, który się topił. Opowiadał, że tonący pies topi człowieka, bo wspina się na głowę, snuł tego typu historie... Absolutnie wykluczał wersję, że Emil mógł zostać zamordowany. Złożyłam mu kolejną wizytę i opowiedziałam, co zobaczyłam w prosektorium na Oczki. Syn miał rozciętą szyję, w ranie białe robaki. Skąd się wzięły?! Usłyszałam odpowiedź: „Pewnie gałąź go drasnęła”. Jak to gałąź? Tak rozcięła ciało? Zapytałam, dlaczego ciało nie było przechowywane w lodówce, dlaczego pokazano mi je w tak strasznym stanie. Padła odpowiedź: „Bo to była czarna niedziela”. Dużo utonięć. Nie mieli ludzi, nie mieli czasu, nie mieli lodówek. Ponoć wszystkie ciała były tak przechowywane. To oczywiście nieprawda. Emil został znaleziony nie w niedzielę, ale już w sobotę rano. Poza tym inne zwłoki, które widziałam w prosektorium, nie były w stanie takiego rozkładu jak ciało Emila.

Miałam zmartwienie, gdzie znajdę taki wielki garnitur dla Emila. Ciało miało chyba dwa metry. Emil był wrażliwy na dotyk. Chciałam, żeby miał delikatną bieliznę. Kolega naszego przyjaciela, Jacka Menciny, wysoki, dobrze zbudowany młody człowiek, podarował nam swój garnitur. Największy rozmiar z możliwych. Kupiłam białą jedwabną koszulę i jedwabne białe bokserki. Wszystko to zanieśliśmy do kostnicy 10 lub 11 czerwca. Jeszcze 8 czerwca pisałam podanie o drugą sekcję zwłok, która miała się odbyć za kilka dni. Odbyły się dwie sekcje. Podobno – nie mam pewności, czy mnie nie okłamano, wykonano dwie sekcje. Jedna była robiona przez esbeków, a druga przez lekarza związanego z „Solidarnością”, żeby na pewno stwierdził,

czy śmierć nastąpiła przez utonięcie, czy wcześniej, zanim został wrzucony do wody. Otrzymałam wówczas informację, nieoficjalnie, prywatnie, że Emil został wrzucony do wody, gdy jeszcze żył. Czyli nie zdołali go wcześniej zabić. Był na pewno duszony. Czym? Sznurem, szpagatem, żyłką lub drutem, bo miał na szyi ciętą ranę.

W dniu pogrzebu otworzyli nam trumnę, żebyśmy zobaczyli, jak został ubrany. Uprzedzono nas, że ciało jest w stanie zaawansowanego rozkładu, mimo to oboje byliśmy w szoku. Syn leżał w trumnie w plastikowym czarnym worku, na ten worek nałożono koszulę i garnitur. Jego ręce też tkwiły w tym czarnym worku i na przegubach były razem związane zwykłym szarym sznurkiem. Gdy chciałam syna pocałować i zrobić mu krzyżyk na czole, poczułam, jak jego czaszka porusza się pod moją dłoń. Przestraszyłam się, że zaraz się rozsypie. Usta pozbawione były warg, widać było tylko nagą szczękę. Gdy lekko musnęłam dłoń jego brodę, poruszyły się zęby. Przerazona, odruchowo cofnęłam rękę. Nie pocałowałam syna i nie zrobiłam mu krzyżyka na czole. To nie jest głowa mojego syna, to jest czyjaś trupia czaszka, pomyślałam w panice i głośno zapytałam Jerzego: „Czy to na pewno jest Emil? Twarz jest nierozpoznawalna, a właściwie jej nie ma...”. Jerzy pochylił się, zaczął go dotykać i mówić: „Tak, to jest Emil, to klatka piersiowa Emila. To jego nogi, to on, poznaję. Wiem, że to on”. Tak mnie przekonywał i jednocześnie chyba sam siebie chciał upewnić, że to na pewno nasz syn.

Jak już wcześniej ci mówiłam, do trumny włożyliśmy ulubiony obrazek Emila: *Brat Albert* Wyczółkowskiego. Gdy

przyniosłam garnitur dla Emila, wzięłam też orzełka piłsudczykowskiego, którego Emil kiedyś dostał w prezencie i cenił niemal jak relikwię. Chciałam wpiąć tego orzełka w klapę garnituru, ale nie umiałam. Esbek, udający pracownika kostnicy, poradził sobie z tym znakomicie. Jerzy zauważył, że „ten młody łapiduch” – jak go brzydko nazwał – zachowywał się bardzo profesjonalnie, wiedział wszystko o orzełkach, opornikach i Matce Bożej w klapie. Gdy zapytałam, co się stało z pracownikami, którzy byli w prosektorium kilka dni wcześniej, powiedział, że poszli na urlop. Obaj, z dnia na dzień. Pamiętam twarze tych młodych esbeków „pracujących” w prosektorium, oni też byli w szoku, prawdopodobnie zostali tam oddelegowani i nie byli przygotowani na taką sytuację. Widocznie wcześniej pracowali w innych warunkach, może inne zwłoki przechowywano w lodówce i traktowano je w sposób bardziej cywilizowany... Nie wiem... Wiem tylko, że my żegnaliśmy siedemnastoletniego chłopca, który nie miał twarzy. Do trumny włożono zmasakrowane ciało syna w czarnym worku.

Pogrzeb odbył się 16 czerwca w kościele św. Jacka, przy klasztorze Dominikanów, na ulicy Freta.

Chciałam, żeby msza pogrzebowa została odprawiona u ojców bonifratrów, w naszym kościele parafialnym, bo tu Emil był u Pierwszej Komunii, z tym kościołem czuł się związany. Jednak Krystyna Pochwalska zajęła się sprawą pogrzebu. To ona zdecydowała, że nabożeństwo żałobne odbędzie się w kościele św. Jacka na Starym Mieście, bo tamten kościół jest większy, a przewidywała, że na pogrzeb

Emila przyjdzie dużo ludzi i że na pewno stanie się manifestacją polityczną. Miała rację, tak rzeczywiście było, ale do mnie to nie docierało. Zresztą niewiele wtedy do mnie docierało. Krystyna miała kontakt z dominikanami, rozprawiała cegiełki na witraże w kościele św. Jacka. Znała ojca Krzysztofa Kasznicę, byłego kapelana AK, który miał piękną kartę z powstania i był represjonowany po wojnie. Uznała, że on będzie odpowiednim kapłanem, który odprawi mszę pogrzebową i odprowadzi Emila do grobu. Do dziś strasznie żałuję, że nie podeszłam do niego, nie podziękowałam, nie próbowałam z nim porozmawiać. Krystyna prawie we wszystkim mnie zastąpiła. Nie miałam wiele gotówki w domu, bałam się, że nie wystarczy na opłacenie pogrzebu. Jeden z przyjaciół, Jacek Mencina, zorganizował zbiórkę pieniędzy wśród naszych przyjaciół i znajomych. Dałam te pieniądze Krystynie. Wzięła je i nie powiedziała mi, że wcześniej Komitet Prymasowski przekazał jej sporą sumę na pogrzeb Emila. Dowiedziałam się o tym kilka dni później i to przypadkiem. Oddała mi pieniądze i tłumaczyła się, że nie chciała w tych pierwszych, trudnych dniach żałoby zawracać mi głowy finansami.

Na pogrzebie byli niemal wszyscy koledzy syna. Uczniowie z liceum ze szkolnymi sztandarami, dyrektor szkoły i większość nauczycieli. Byli przedstawiciele Komitetu Prymasowskiego. Stefan Antosiewicz ma moją dozgonną wdzięczność, jako matki Emila, za przemówienie na pogrzebie. Wygłosił wzruszającą mowę pożegnalną. Nie spodziewałam się, że zabierze głos. Stefan, najlepszy uczeń w szkole, bardzo poważny młody człowiek, mówił o Emi-

lu w samych superlatywach. Pamiętam, że mówił pięknie, ale po 35 latach już nie powtórzę jego słów. Uleciały, jak wiele innych dobrych słów o Emilu. Jako drugi przemawiał nasz przyjaciel Janusz Barański, któremu też jestem bardzo wdzięczna. Janusz mówił szalenie emocjonalnie, głos mu się łamał, był bardzo przejęty. Wkrótce bardzo się rozchorował, choruje do dziś. Uważam, że też w jakimś sensie jest ofiarą stanu wojennego. Silniejsi psychicznie wytrzymywali, słabsi, bardziej wrażliwi – płacili utratą zdrowia: często depresją, załamaniem nerwowym. Wiem, o czym mówię, bo sama należę do tych słabszych... Ale o tym opowiem później, nie chcę zakłócać chronologii wydarzeń zbyt częstymi dygresjami.

Wieczorem odbyła się w naszym mieszkaniu stypa. Pamiętam, że tego dnia przez zwykły przypadek znalazłam w rozkładanym stoliku kilka kartek maszynopisu. Znajdowały się pod blatem. To był fragment maszynopisu Emila. Syn musiał go tam ukryć, może zapomniał, że te zapiski tam są? W każdym razie to jedyny ocalony fragment zaginionego pamiętnika. Znalazłam go dokładnie wieczorem w dniu pogrzebu.

A co się stało z tym pamiętnikiem? Wspomniałaś, że Emil zaniósł tę niebieską teczkę do Huberta.

Tak podejrzewałam wtedy i nadal tak podejrzewam, ale pewności mieć nie mogę. Nie jestem w stanie udowodnić Hubertowi, że wziął ten pamiętnik od Emila. Dlaczego tak przypuszczałam? Bo Emil chciał, żeby te zapiski były bezpieczne. Powierzył mu pamiętnik w zaufaniu. Hubert oczy-

wiecie nigdy nie przyznał się, że ma ten maszynopis, ale ja jestem tego prawie pewna. W środę, 2 czerwca, wieczorem widziałam tę niebieską teczkę na biurku Emila. Potem Emil poszedł do Huberta. Musiałam po niego iść, bo znowu siedział tam do późna. Gdy wracał ze mną do domu, nie miał przy sobie żadnych książek, zeszytów, teczek. Na pewno wrócił bez pamiętnika. Wtedy nie zwróciłam uwagi, że ta teczka zniknęła z biurka. Zorientowałam się dopiero kilka dni później, chyba w sobotę, 5 czerwca. Wszędzie jej szukałam. Pytałam Huberta, ale zaprzeczał, że ją ma, twierdził, że Emil na pewno zaniósł pamiętnik na Wałową, ale Krystyna twierdziła, że nigdy nie widziała żadnego maszynopisu Emila w niebieskiej tezcze. Komu mam prędzej uwierzyć – Krystynie czy Hubertowi?

Dobrze pamiętam moją ostatnią rozmowę z Hubertem. Poszłam do niego w dniu pogrzebu, 16 czerwca około godziny 22.00. Byłam w rozpacz i ciągle w szoku. Kilka godzin wcześniej przeczytałam te znalezione kartki z pamiętnika Emila. Puściły mi nerwy. Rozmawialiśmy w cztery oczy. W gniewie zażądałam, żeby powiedział mi prawdę. Był bardzo spokojny, tak jak zawsze. Zapytał: „A czy pani chce, by spotkał mnie taki sam los jak pani syna? Mam żonę i dziecko. Czy to zwróci pani syna? Co to pani da?”. Chciałam wiedzieć, czy przynajmniej ma poczucie winy. Odparł: „Nie. Tak jak posługiwano się Emilem, tak i mną”. Dla mnie już było jasne, że Emil został zamordowany. Nie musiał nic więcej mówić.

Bardzo szybko się wyprowadził, w ciągu miesiąca. Nigdy do mnie nie przyszedł, nigdy go już nie spotkałam,

nawet przypadkiem. Wtedy znakomicie się bronił, nic mu nie można było udowodnić, oprócz tego, że składa sprzeczne zeznania na temat wydarzeń z 3 czerwca nad Wisłą. Prokuratorzy, jeden, drugi, trzeci mówili, że ten świadek jest niewiarygodny, bo zmienia zeznania jak w kalejdoskopie. W dniu identyfikacji zwłok, 7 czerwca, zapytałam wieczorem Huberta o ten smar na spodenkach syna. Skąd mógł się wziąć? Odpowiedział, że kiedy jechali autobusem, wsiadła pani z wózkiem. Emil się oparł o wózek i pobrudził o koła. No dobrze, mogły się pobrudzić spodenki, ale dlaczego ślipy? Na to pytanie Hubert nie umiał odpowiedzieć. Później zmienił wersję: to nie był wózek, ale chyba rower... Nie bardzo pamięta.

W tamtym czasie przypuszczaliśmy, że Hubert był kapuś. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że to nie był żaden TW ani esbek, ale młody zdolny człowiek, który podczas studiów prawdopodobnie pozostawał w zainteresowaniu wywiadu wojskowego². Podejrzewam, że mógł dostać takie zadanie: miał zdobyć zaufanie Emila i doprowadzić go danego dnia w umówione miejsce. Oczywiście nie musiał wiedzieć, w jakim celu i że oddaje go w ręce tych, którzy Emilowi odebrali życie. On sam na pewno nie brał w tym udziału, przypuszczalnie tylko doprowadził Emila w to

² Hubert Iwanowski w sierpniu 1978 r. – z uwagi na wyjazd na studia do Liège w Belgii – został wytypowany przez Oddział IV Zarządu II SG MON na źródło o charakterze agenturalnym. Podczas studiów nie zdał jednak egzaminów i wrócił do kraju, nie zaliczywszy pierwszego roku. Z zachowanych dokumentów nie wynika wprost, by kontaktowano się z nim w późniejszych latach (zob. AIPN, 2602/22062, Zeszyt kandydata na współpracownika Oddziału „K”). Ustalenia Grzegorza Wołka, historyka IPN.

odludne miejsce – Błota... Brr! Jaka to brzydka nazwa, wręcz symboliczna. Cały ten stan wojenny jest unurzany w błocie... w błocie kłamstw, fałszerstw, skrytobójstw politycznych... Przecież obok Emila na liście ofiar stanu wojennego, czyli skrytobójczo pomordowanych ludzi znajduje się ponad 100 osób! Oboje z mężem podejrzewaliśmy, że w przypadku Huberta wszystko mogło być kamuflażem, oszustwem, ale prokuratura sprawdzała różne wątki: żona Huberta naprawdę była jego żoną i naprawdę miał dziecko, gdy zamieszkał w naszym bloku.

Po 15 latach od śmierci Emila, w 1997 roku, powstał film dokumentalny o nim pod tytułem *Poszedłem po słońce*. Film nakręcił pan Ryszard Romanowski, reżyser telewizyjny. Sąsiadka Krystyny Pochwalskiej, pani Wisia Czaplińska, zatrudniona wówczas w redakcji dokumentu TVP, dowiedziała się od Krystyny o sprawie Emila. Tak się złożyło, że została scenarzystką i współproducentką tego filmu. Nie wiem, czy dobrze pamiętam. Może pełniła inne funkcje, ale to z jej inicjatywy powstał ten pierwszy film o Emilu. W dokumencie jest suplement, w którym występuje pan Hubert. Mówi, że wszystko, co w tym filmie jest na jego temat, to nieprawda. Jeśli nadal będzie szerzona o nim opinia, że ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Emila, to poda do sądu telewizję, film i wszystkich jego twórców. Pani Wisia i reżyser tłumaczyli mi, że musieli ustąpić, bo pewnie by wygrał w sądzie i telewizja musiałaby płacić duże pieniądze. Nie było możliwości, by coś mu udowodnić. To były tylko podejrzenia, przypuszczenia, a według Huberta – oczernianie. W latach dziewięćdziesiątych, czasach zachłys-

nięcia się wolnością, pan Hubert miał trzydzieści kilka lat.

Jerzy, od kiedy pamiętam, zawsze był zwolennikiem wszelakich teorii spiskowych. Według niego to, co się stało z Emilem, zdarzyło się z powodu ataku na pomnik Dzierżyńskiego. Wściekli się towarzysze z KGB. Został zbezczeszczonej ich ukochany wzorzec-symbol i ci, co to zrobili, nie ponieśli konsekwencji. Uznano, że musi to być jakaś duża grupa przestępcza, podziemna organizacja polityczna. Nie jakiś jeden Emilek Barchański, śmiechu warte. Chodziło o to, żeby przestraszyć resztę. Mecenas Maciej Bednarkiewicz, który poznał sprawę i nawet chciał się nią zająć, powiedział, że jego zdaniem to wygląda na tak zwany wypadek przy pracy. Sprawcy nie mieli zamiaru zabić, a zabili niechcący. Przesadzili. Może nie wiedzieli, że Emil ma astmę, może go za mocno bili, poddusili, podtopili, w każdym razie coś poszło nie tak. Mecenas Bednarkiewicz przekonywał mnie, że Emil nie mógł dostać wyroku śmierci, bo był dla nich za mało groźny, żeby musieli go od razu likwidować. Upierał się przy tym „wypadku przy pracy”. Jerzy mówił, że nawet jeśli tak było, jak sugerował mecenas, to zrobili to wojskowi, a nie esbecy. Z kolei historycy z Instytutu Pamięci Narodowej twierdzą, że to raczej esbecka robota. Że esbecy chcieli go uciszyć, nastraszyć po tym, jak odwołał wymuszone biciem zeznania i oznajmił, że wskaże tych, którzy go bili. Może obawiali się, że mogą mieć jakieś problemy, ponieść konsekwencje. Jerzy jednak upierał się przy swojej opinii. Gdy teraz pomyślę, że Hubertem interesował się wywiad wojskowy, i przypomnę sobie okoliczności jego pojawienia się w pobliżu Emila, to nie wiem, czy Jerzy nie miał racji.

Czy wiesz, co się później działo z Hubertem?

Nie. Podobno zamieszkał poza Warszawą. Wiem, że był wzywany przez prokuratora z IPN jako świadek, ale chyba niewiele to wniosło do sprawy. Szczerze mówiąc, myślę, że kolejny raz zostanie umorzona.

Jak się czyta o morderstwie Emila w opracowaniach historycznych, to narzuca się podobieństwo z innym zabójstwem, Stanisława Pietraszki, kolegi Stanisława Pyjasa, którego wyłowiono z Zalewu Solińskiego pięć lat wcześniej. Nie umiał pływać, a znaleziono go w wodzie w kąpielówkach i czepku pływackim. Absurdalna mistyfikacja.

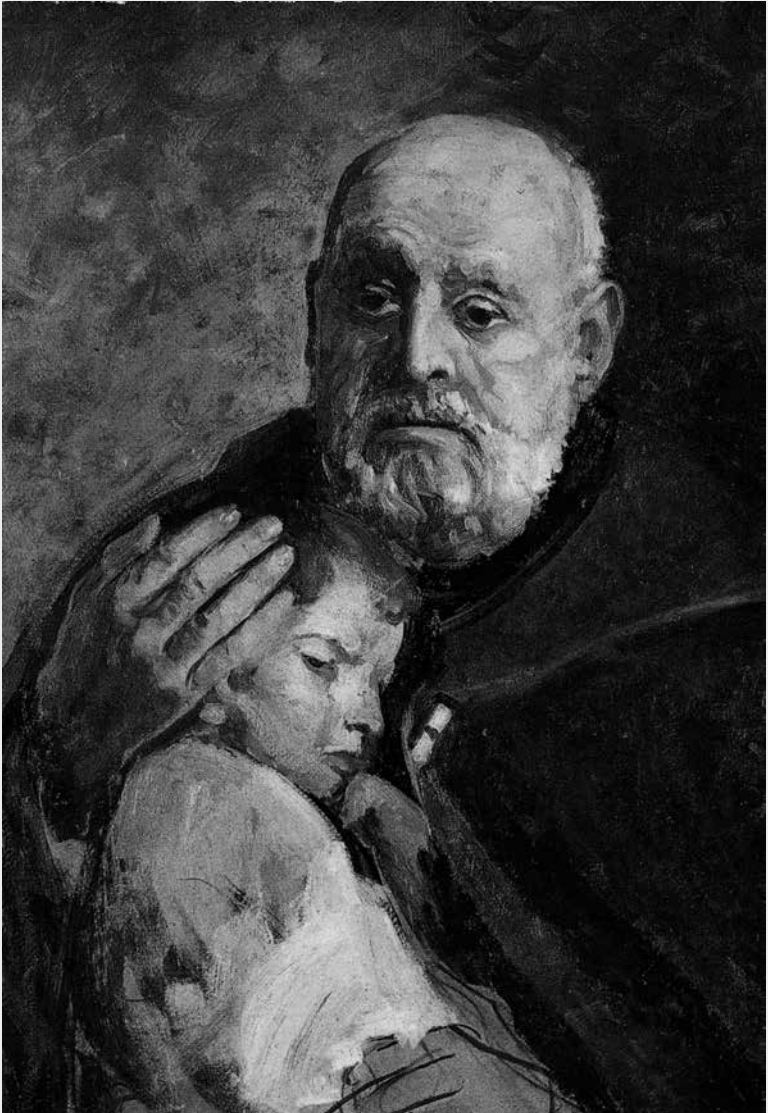
Trzeba było zlikwidować świadka. A dodatkowo urządzić przedstawienie, mając świadomość własnej bezkarności. Tak zawsze działa tak zwana policja polityczna.

Emil nie dożył rozprawy, która miała się odbyć 17 czerwca.

Trzy dni po śmierci Emila przyszło na jego nazwisko wezwanie do sądu. Miał się stawić 17 czerwca jako świadek na drugiej rozprawie Tomka Sokolewicza. Sprawa została przeniesiona z sądu cywilnego na Lesznie i, o ile dobrze pamiętam, odbyła się w gmachu przy ulicy Chałubińskiego. Sąd wojskowy miał rozstrzygnąć, czy zeznania Emila są fałszywe, czy też przestępstwo popełnili w śledztwie funkcjonariusze SB. Postanowiłam, że to ja będę zeznawać zamiast syna. 17 czerwca, dzień po pogrzebie Emila, pojechałam rano do sądu, cała ubrana na czarno. Zapytałam, czy mogę zeznawać za syna, którego wczoraj pochowałam. Wojskowy sędzia wyraził zgodę. Chyba nie potrafił odmówić. Powoła-

łam się na protokół z zeznań Emila z 17 maja. Powtórzyłam wszystko, co mówił tamtego dnia. Nie znali tych zeznań. Mieli odszukać ten protokół. Opowiedziałam o perfidnych działaniach esbeków, o metodach stosowanych przez nich w dniach, kiedy syn przebywał w zakładzie poprawczym na Okęciu i czekał na swoją sprawę w sądzie dla nieletnich. Siedmiu wojskowych siedzących za stołem miało spuszczone głowy. Żaden nie patrzył mi w oczy. Oskarżałam ich wszystkich. Mówiłam spokojnie, głośno i dobitnie. Wcale się ich nie bałam. Nie miałam już nic do stracenia. Straciłam syna, widziałam, jak jedzą go robaki... Co gorszego mogli mi jeszcze zrobić?

Druga rozprawa miała się odbyć 25 czerwca. Na nią też się stawiałam. Odczytano wtedy zeznania Emila z 17 maja 1982 roku, z których wynikało jasno, że Tomek jest niewinny – nie brał udziału, nic nie wiedział. Jeszcze tego dnia Sokolewicz – bez wyroku! – został zwolniony z aresztu na Rakowieckiej, a potem prokuratura sprawę umorzyła. Marek Marciniak parę miesięcy później dostał wyrok, o ile dobrze pamiętam, dwa lata w zawieszeniu i obowiązek prac społecznych w ogrodach publicznych za zniszczenie pomnika Dzierżyńskiego.



Leon Wyczółkowski, *Brat Albert*. Ulubiony obraz Emila, reprodukcja wisiała nad jego łóżkiem.



Emil (16 lat). Zdjęcie do legitymacji szkolnej, 1981 r.



Ostatnie zdjęcie Emila. Akademia w LO im. Reja z okazji 1 maja 1982 r. Ze zbiorów Stefana Antosiewicza.



Pogrzeb w kościele św. Jacka przy ul. Freta, 16 czerwca 1982 r. Fot. E. Ciołek



Pierwszy z prawej Stefan Antosiewicz.
W środku Krystyna i Jerzy Wardęccy.
Fot. E. Ciolek



Pogrzeb. Cmentarz na Bródnie. Fot. K. Kownas



Od prawej: Stefan Antosiewicz, Jerzy, Krystyna, Albert Jończak (syn Antoniny),
a za nim Emil Franciszek Barchański. Fot. K. Kownas



Grób rodzinny, w którym pochowany jest Emil Barchański, jego babcia Janina Pęczkowska i tata Jerzy. Cmentarz Bródnowski, kw. 46 F VI 20. Fot. K. Skrzydlewska

ŻYCIE BEZ EMILA

*Powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu.*

Juliusz Słowacki, *Kordian*

Powiedziałaś mi kiedyś, że po pogrzebie syna nie mogłaś płakać ponad miesiąc. Byłaś w rozpacz, a lzy nie chciały płynąć.

To prawda. Zaczęłam płakać dopiero 22 lipca i nie mogłam przestać. Trafiłam do szpitala. Na placu Zwycięstwa (obecnie Piłsudskiego) był duży krzyż układany z kwiatów. Gromadzili się przy nim ludzie, modlili się, śpiewali pieśni patriotyczne. Były w Warszawie dwa takie krzyże z kwiatów: jeden na placu Zwycięstwa i drugi przy kościele św. Anny. 22 lipca na placu Zwycięstwa odbywała się duża manifestacja, organizowana chyba przez KPN, nie pamiętam. Poszliśmy na tę manifestację z Jerzym, staliśmy przy krzyżu i śpiewaliśmy pieśni z ręką w górze, pokazując palcami V – znak „Solidarności”, zabroniony w stanie wojennym, podobnie jak oporniki i obrazek Matki Bożej w klapie. Były to pieśni śpiewane na Mszach za Ojczyznę, które odprawiał ksiądz Popiełuszko. Stałam tam w czarnej sukience i głośno śpiewałam. Może zachowywałam się prowokacyjnie, może za głośno śpiewałam, okazywałam emocje, może nie podobał się mój żałobny strój, bo nagle zaatakował mnie esbek.

Młody mężczyzna, który najpierw zabijał mnie wzrokiem. Zauważyłam to spojrzenie pełne nienawiści, to była chwila. Potem z wściekłością popchnął mnie, uderzył w głowę, kilka razy. Upadłam, a on zaczął mnie kopać i bić. Kilkanaście metrów dalej był postój taksówek przy Hotelu Europejskim. Jerzy pobiegł tam po pomoc. Jeden z taksówkarzy, wysoki, dobrze zbudowany, przybiegł. Ja leżałam na bruku, cała obołała. Esbek mnie skłął. Powiedział mi coś takiego: „Uważaj, suko, żeby ci się coś gorszego nie przytrafiło”, i spokojnie odszedł. Puściły mi nerwy i zaczęłam płakać, zachłystywałam się płaczem, nie tyle z bólu, ile z upokorzenia. Jerzy tłumaczył mi później, że pobiegł po świadka, bo sądził, że ten esbek nas oboje zaaresztuje. Razem z taksówkarzem zaprowadzili mnie do samochodu. Trzeba było natychmiast zawieźć mnie do szpitala. Taksówkarz przywiózł mnie na Nowowiejską. Dlaczego od razu tam? Nie wiem. Na izbie przyjęć dyżuruwała pani doktor Ewa Wolak. Opowiedziałam jej, cały czas strasznie płacząc, że pobił mnie esbek przy krzyżu, że w czerwcu zabili mi syna... Nikt wtedy nie znał terminu „ofiara stanu wojennego”. Ta lekarka bardzo troskliwie się mną zajęła. zaproponowała, że zatrzyma mnie w szpitalu, bo esbecja może chcieć coś mi zrobić. Może coś planują. Prosiła Jerzego, żeby nie chodził na żadne manifestacje, nie dał się prowokować. Najlepiej gdyby wyjechał. Jerzy i tak musiał jechać do Węgorzewa, bo nie skończył malowania kościółka. Planował wyjazd dopiero w sierpniu, chciał jeszcze zostać ze mną.

Leżałam w szpitalu kilka tygodni. Raz odwiedziła mnie tam Krystyna Pochwalska. Przychodziła Antonina, kole-

żanki z pracy. Doktor Wolak stwierdziła u mnie ciężką depresję. Bardzo troskliwie się mną zajęła. A ja myślałam, że już nigdy w życiu nie przestanę płakać, płakałam dzień i noc, dzień i noc. To trwało do końca sierpnia. Dostawałam antydepresanty. Powoli zaczynałam wracać do zdrowia, dochodziłam do siebie. Otrzymałam długie zwolnienie z pracy. Gdy poczułam się lepiej psychicznie, nagle zaczęłam gorączkować. Robili mi różne badania. Jedno z nich wykazało, że mam guza na jajniku. W październiku musiałam iść na operację.

Wcześniej, na początku września, dostałam przepustkę ze szpitala. Pojechałam z Jerzym i Krystyną Pochwałską do Małego Cichego, do zaprzyjaźnionych górali, u których Krystyna często bywała. Poszliśmy na Wiktorówki do kaplicy Matki Bożej Jaworzyńskiej, Królowej Tatr i Podhala. Tym sanktuarium opiekowali się dominikanie, których ona znała. Obok Małego Cichego leży Murzasichle. Miejscowi górale organizowali wtedy pielgrzymkę z Murzasichla do Krakowa na Wawel. Pojechaliliśmy z nimi na tę pielgrzymkę, pierwszy raz w życiu byliśmy na pielgrzymce. Tak się zaczęła nasza niesamowita droga powolnego, ale głębokiego nawrócenia do Boga. Zaczęła się na Wiktorówkach, na tej pielgrzymce, wśród górali. Każdego roku w dniu 15 września katolicy obchodzą święto Matki Bożej Bolesnej. I właśnie tego dnia poszliśmy z Jerzym na mszę w Zakopanem i oboje przystąpiliśmy do spowiedzi po wielu, wielu latach nieobecności w Kościele. Ja dostałam rozgrzeszenie, a Jerzy nie. Spowiadaliśmy się u innych księży. Ja miałam ślub kościelny z pierwszym mężem, byłam po rozwodzie,

ale ksiądz mnie o to nie zapytał. Nie przyszło mi do głowy, że powinnam o tym sama powiedzieć. Spowiednik Jerzego był bardziej skrupulatny, wypytał go i Jerzy rozgrzeszenia nie dostał, bo żył w związku niesakramentalnym. Dopiero później dopytaliśmy się księży, co i jak, bo byliśmy wtedy bardzo słabo wyedukowani religijnie (uśmiech). W każdym razie od tego czasu, na pewno za sprawą dyskretnej interwencji Emila z za grobu, zaczęliśmy się powoli, ale konsekwentnie nawracać. Był to trudny proces całkowitej przemiany duchowej. I myślę, że trwa do dziś. A po drodze mieliśmy sporo metafizycznych przeżyć, snów...

Opowiesz o tych przeżyciach? Przynajmniej niektórych. Kilka lat temu Jerzy opowiedział mi o pękających szklankach.

To było niesamowite. Pierwszy raz zdarzyło się to 3 czerwca po południu, gdy Jerzy był w Węgorzewie i nie miał pojęcia, co się stało z Emilem. Ze szklanki spadł brzeg, jakby odcięta nożem obręcz, szklana bransoletka. Prawdopodobnie wtedy Emil zginął. Taki dał znak Jerzemu. To samo wydarzyło się w pierwszą rocznicę jego śmierci, 3 czerwca 1983 roku. Byliśmy wtedy w domu i znowu, tym razem z dwóch szklanek, spadły jednocześnie jakby dwa równo odcięte nożem okręgi. Zachowaliśmy je na pamiątkę. Pomyśleliśmy: to Emil nas odwiedził i dał nam znak, że istnieje życie wieczne. Kolejny raz stało się to w domu mojej cioci w jakiś zwykły dzień. Tym razem to nie była żadna rocznica. W kredensie za szkłem stało kilka szklanek i nagle z jednej z nich z głośnym brzękiem spad-

ła szklana obręcz. Kolejna szklana bransoletka. Byliśmy zdumieni. Trzy podobne historie – w Węgorzewie w domu teściowej, rok później w naszym mieszkaniu w Warszawie i po kilku latach – w mieszkaniu cioci Stasi na Marszałkowskiej. I jak sobie to wytłumaczyć? Przecież to czysta metafizyka!

Kolejnym metafizycznym zdarzeniem była jedna z mszy rocznicowych za Emila kilkanaście lat temu. Zbiegło się to ze świętem Bożego Ciała. Msza odbywała się w kościele św. Jacka o godzinie 18.00, ludzie tłumnie wypełnili kościół. Miała ruszyć procesja z monstrancją niesioną pod baldachimem. Brakowało trzech osób do trzymania baldachimu. Zakrystianin przeszedł po kościele i poprosił o to trzy osoby, które siedziały w różnych odległych od siebie miejscach, osobno – wybrał je przypadkowo z tłumu. I tak się przedziwnie złożyło, że te trzy wskazane osoby przyszły tu dla Emila, byli to: mój mąż Jerzy, Leszek Czajkowski, przyjaciel Emila z klasy, i jeszcze jeden jego kolega, którego nazwiska już nie pamiętam. Akurat ci trzej zostali losowo wybrani! Na mszy za Emila, w kościele pełnym ludzi. Dech mi zaparło z wrażenia. Pomyślałam, że to poczucie humoru bardzo w stylu Emila. Po wyjściu z kościoła wszyscy mieliśmy mocno zakłopotane miny... I znowu pojawia się pytanie: Jak sobie to wytłumaczyć? Przypadek?

Skąd się bierze w tobie taki spokój po tych wszystkich strasznych przeżyciach?

Ludzie zawsze się dziwili i dziwią, jak to możliwe, że ja to wszystko tak spokojnie znoszę. A ja to miałam prze-

myślane, przemodlone, uświadomione podczas adoracji Najświętszego Sakramentu w kościele. Można to streścić jednym zdaniem: „Pan Bóg zabrał mi mojego syna, ale w zamian dał mi Swojego Syna”. Ta zamiana jest ze wszech miar dla mnie korzystna. Mój syn ma u Boga bardzo dobrze, a ja z Bogiem też mam bardzo dobrze. Ja wcześniej nie znałam Syna Bożego. Szukałam go w różnych ksiązkach, ale nie w Biblii, u różnych filozofów, u Platona i Arystotelesa, a także u egzystencjalistów, takich jak Sartre i Camus, wreszcie na końcu – u hinduskiego mędrca Śri Ramany Maharisiego, który głosił naukę podobną do tej, jaką znajdziemy w Ewangeli. Pisał o jedynej dobrej drodze dla człowieka – drodze miłości i wybaczenia. Szukałam Boga, nie zdając sobie z tego sprawy. Nie wiedziałam, że to właśnie tego szukam. Przecież dopiero w 1981 roku zauważyłam, że wcześniej ode mnie znalazł go mój syn, że był wierzący, chodził do spowiedzi, na niedzielne msze. I nie było w tym żadnej mojej zasługi jako matki. Dziś bardzo tego żałuję. Niestety, mnie w tamtych latach Kościół i Bóg nie byli do niczego potrzebni. Powtarzałam sobie to zdanie aż do śmierci syna. A rok po śmierci Emila byłam już głęboko wierzącą osobą... ku własnemu zdumieniu, które do dziś mnie nie opuszcza. Jak to się stało? Czym sobie zasłużyłam na łaskę wiary? Wiele lat temu zaprzyjaźniony z nami kapłan, dominikanin, ojciec Stanisław Przepierski, nasz spowiednik i przewodnik duchowy, który w 1995 roku dał nam ślub, odpowiedział mi na to pytanie. Spróbuję dokładnie przytoczyć jego słowa, choć pamięć już czasami mnie zawodzi. Powiedział: „Czym sobie

zasłużyłaś na łaskę wiary? Niczym! Bóg jest miłosierny. Po prostu ulitował się nad tobą i Jerzym. Wiedział, że bez Boga będzie wam ciężko nieść ten krzyż utraty syna. Wziął od was ten krzyż i niesie go razem z wami. Robi to z miłości do was, a jest to miłość bezinteresowna”. Po tej rozmowie z ojcem Stanisławem zrozumiałam, że ta bezinteresowna Boża miłość wyzwała w człowieku głęboką wdzięczność i potrzebę odwzajemnienia tej miłości. A nas do Boga doprowadziła Maryja, matka Jezusa. Przypomniałam sobie wszystkie nasze pielgrzymki do maryjnych sanktuariów w kraju i za granicą. Zaczęliśmy od Wiktorówek, a Matka Boża Jaworzyńska, królowa Tatr i Podhala, znana jest z tego, że już niejednego hardego górala nawróciła. Trafiliśmy zaraz po śmierci syna w dobre matczyne ręce. Wiem, że to Maryja wyprosiła nam łaskę wiary, a Jezus przecież zawsze spełnia prośby swojej matki. Mimo to nie przestaję się zdumiewać moją autentyczną potrzebą modlitwy za prześladowców Emila. Ja naprawdę staram się żyć tak, jak uczył nas błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko: „Zło dobrem zwyciężaj”. I to mi się sprawdza w życiu. Ilekroć odpowiedziałam złością na czyjąś złość lub pogardą na czyjąś pogardę, zawsze czułam się potem bardzo źle, byłam wręcz chora od tej mojej złości czy pogardy. Wracałam do zdrowia, jeśli tylko zdobyłam się na szczerą modlitwę za człowieka, który sprowokował we mnie te niedobre uczucia, i zawsze starałam się przebaczyć mu jego zachowanie. „Nie zatwardzajcie serc waszych”, naucza nas Jezus. A on zawsze chce dla nas dobrze, więc staram się nie zatwardzać serca (śmiech).

Kiedyś oglądałam przejmujący film dokumentalny *Prosta historia* o mamie Jana Stawisińskiego¹, jednego z górników z kopalni „Wujek”. Dopóki żyła, jeździła znad morza na Śląsk na każdą rozprawę, przez dwadzieścia pięć lat. Nie doczekała końca procesu. Patrzyła na twarze morderców syna. Nigdy żaden z zomowców nie przeprosił, nie poprosił jej o wybaczenie, ale poznała ich nazwiska. Zastanawiałam się po obejrzeniu tego filmu, czy chciałabyś się znaleźć w podobnej sytuacji... dowiedzieć się, kto zabił.

Jak wspomniałam, po śmierci Emila zaczęłam żyć według zasad Ewangelii. Co roku zamawiam msze rocznicowe za duszę Emila i także z prośbą o łaskę nawrócenia dla jego oprawców. Jak w intencji pisałam „oprawców”, to ksiądz mi zmieniał na „prześladowców”. Do dziś bardzo mi zależy, żeby ich znaleźli albo żeby sami przyszli i się przyznali. Obaj albo tylko jeden, bo podobno było ich dwóch. Chciałabym, żeby posypali sobie głowy popiołem i się nawrócili. O czymś takim marzę. Nie chcę ich widzieć w żadnym więzieniu, nie myślę o zemście. Nie wiem, kim są teraz, nie wiem, jak żyją, co robią i co myślą, ale wiem, że jeśli się nie nawrócą, po śmierci czeka ich wieczne potępienie. Wierzę w to głęboko. To jest najgorsza z kar, jaka ich może spotkać. Parę razy w miesiącu się za nich modłę: za wszystkich, którzy się przyczynili do śmierci mojego syna. Bo było ich wielu: tacy, co wydawali rozkazy, i ci dwaj, którzy je

¹ Jan Stawisiński został postrzelony w głowę podczas ataku oddziałów ZOMO na górników katowickiej Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” 16 grudnia 1981 r. Zmarł w szpitalu 25 stycznia 1982 r., nie odzyskawszy przytomności. Miał 21 lat.

wykonywali, ci od brudnej roboty. Jedni i drudzy pracowali w tej samej firmie i mieli te same cele. W tej chwili zupełnie nie znajduję w sercu złości ani gniewu. Tylko głębokie współczucie, żal mi tych ludzi. Wszyscy staniemy na Sądzie Ostatecznym przed tym samym Sędzią. Gdybym w to nie wierzyła, być może miałabym inną postawę, być może oczekiwałabym albo żądała sprawiedliwości ziemskiej w sądzie okręgowym. Byłabym szczęśliwa, gdyby pewnego dnia przyszedł do mnie człowiek, przedstawił się i powiedział: „To ja zamordowałem pani syna trzydzieści parę lat temu. Pragnę ponieść karę tu na ziemi”. Poradziłabym mu, żeby pokutował do końca życia, by ratować duszę. Wiem, że nie ma sprawiedliwości wśród ludzi, ale na szczęście jest Bóg – sprawiedliwy i miłosierny. Od czasu męczeńskiej śmierci błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki w październiku 1984 roku, czyli ponad dwa lata po śmierci Emila – starałam się obserwować losy, zapamiętać słowa, zachowanie matki księdza – Marianny Popiełuszko. Była dla mnie wzorem pokory, skromności, godnego przeżywania żałoby po synu. Któregoś dnia natknęłam się na fragment homilii błogosławionego księdza Jerzego, który brzmiał: „Byśmy zemsty nie szukali za udręczenie – Boże, nie wódź nas na pokuszenie”. Od tamtego dnia staram się codziennie modlić tymi słowami błogosławionego księdza Jerzego. Ta modlitwa bardzo mi pomaga w chwilach, kiedy nagle ogarnia mnie gniew na brak sprawiedliwości na tym świecie.

Pytasz, co bym zrobiła, gdyby niespodziewanie zadzwonił do mnie prokurator i powiedział, że ich mają i że będą sądzeni? Po pierwsze, nie wierzę, że to się uda po 35 latach.

Myślę, że i to ostatnie śledztwo wkrótce zostanie zamknięte mimo wysiłków prokuratora. W każdym razie ja już od dawna nie mam złudzeń, ale nie jestem z tego powodu rozgoryczona. Przecież już 35 lat temu powierzyłam sprawę Emila Bogu, a jak mówiła moja babcia: „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy”.

Śledztwo prokuratorskie w sprawie śmierci Emila było podejmowane cztery razy. Kiedy straciłaś nadzieję, że coś się wyjaśni? Że poznasz prawdę?

Trzy pierwsze lata po śmierci Emila były bardzo trudne. Cały czas działo się coś takiego, co nam uświadamiało, że to, co stało się z Emilem, może stać się z każdym, nadal trwa terror stanu wojennego. Jest coraz gorzej i gorzej. To, co zrobili synowi, robią innym. Są absolutnie bezkarni. Świadomość tego bardzo nas przygnębiała. Traciliśmy nadzieję. Emil został zamordowany w 1982, Grzegorz Przymyk zginął w 1983, a ksiądz Jerzy jesienią 1984 roku. Mocno to wtedy przeżywaliśmy, żałoba po śmierci Emila była bardzo świeża. Te kolejne śmierci jakby nam ciągle aktualizowały naszą tragedię. Po śmierci księdza Jerzego wydawało się, że oni mogą już sobie na wszystko pozwolić. Ta szopka, którą wyprawiali podczas procesu o zabójstwo Przymyka, oskarżanie sanitariuszy o pobicie w karetce, matactwa, kłamstwa... Coś straszego.

W ciągu tych 35 lat rozmawiałam o sprawie Emila z różnymi ludźmi, z prokuratorami, mecenasami, z przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi. Po śmierci Emila odwiedził nas w domu pan Leszek Moczulski, który się tą sprawą bardzo interesował.

wał. Raz przyszedł też pan Adam Słomka. I wszyscy, którzy poznawali fakty, mieli swoją wersję wydarzeń i zadawali dużo pytań. No jak to? Jak to? Przecież tu się nic nie zgadza. I pan Moczulski, i pan Słomka byli absolutnie przekonani, że to był mord polityczny, świadomy, celowy i że Emil powinien być pośmiertnie zrehabilitowany. Byli za tym, żeby sprawę od nowa poprowadziła prokuratura. No tak, ale przecież już dwa razy prowadzono śledztwo w latach osiemdziesiątych. To nadal była prokuratura komunistyczna, a więc to musiała być fikcja, nie miałam żadnych złudzeń. To były pozorne działania i obie sprawy zakończyły się umorzeniem. Pierwsze dochodzenie, mimo tylu niejasności, zakończyło się umorzeniem już 4 listopada 1982 roku z braku dostatecznych dowodów zaistnienia przestępstwa. W grudniu 1982 roku poszłam do Prokuratury Rejonowej Warszawa-Praga Południe. Weszłam do pokoju pani prokurator, która prowadziła tę sprawę, i położyłam jej na biurku pismo, w którym napisałam, że odstępuję od dochodzenia prawdy w sprawie okoliczności śmierci syna, ponieważ nie wierzę w sprawiedliwość ludzką, a szczególnie tę sprawowaną dekretami stanu wojennego, i że tę sprawę oddałam w ręce Boga, który być może jest nierychliwy, ale na pewno sprawiedliwy. Miałam cichą satysfakcję, patrząc na minę pani prokurator. Przeczytała moje pismo i zaniemówiła. Ukłoniłam się grzecznie i wyszłam bez słowa.

Trzecia sprawa rozpoczęła się już po przełomie, w 1992 roku, śledztwem zajmowała się wtedy Prokuratura Rejonowa mieszcząca się przy ulicy Jagiellońskiej. Młody prokurator, Piotr Głodowski (przepraszam, jeśli przekreśliłam

nazwisko), który był wtedy w wieku Emila, gdyby syn żył, powiedział mi szczerze, że ma związane ręce. Bardzo się starał, ale wyjaśnienie sprawy było niewykonalne. Dostał polecenie od szefów: „Zostawić to, nie ruszać”. To był czas po Okrągłym Stole, nie najlepsza pora na wyjaśnianie morderstw politycznych i rozliczanie winnych. Nikomu z ówczas rządzących na tym nie zależało. Była umowa z komunistami. Nie będzie prawdziwej lustracji ani dekomunizacji. Ten młody prokurator podejmował pewne działania, ale szefowie w końcu mu zabronili. Właściwie odebrali mu sprawę Emila. Nie był w stanie nic zrobić. Był bezsilny. Zobaczył, w czym tkwi. Jakiś czas później odszedł z prokuratury, podobno podjął pracę w urzędzie celnym. Powiedział mi, że wyjaśnienie tego morderstwa jest bez szans, skoro głośniejsze sprawy – zabójstwo księdza Popiełuszki czy śmiertelne pobicie Grzesia Przemyka – były tak sfalszowane w dokumentach, tak zmanipulowane, tak zakłamane, że nigdy już się nie dojdzie do prawdy. W sprawie śmierci Emila w dokumentach też jest mnóstwo fałszu i kłamstw, a nikomu nie zależy, żeby dotrzeć do sprawców zabójstwa. Nie zna takich ludzi w prokuraturze, którzy by się tego podjęli. Chciał mi uświadomić, jakie są realia i w jakim państwie żyję, kto się z kim dogadał. Nie powinnam na nic liczyć i za wiele się spodziewać. I to był moment, kiedy zrozumiałam, że nic nie będzie wyjaśnione i mordercy syna nie zostaną ukarani.

Wtedy żył jeszcze mój pierwszy mąż, ojciec Emila, Emil Franciszek Barchański. To był pierwszy okres, kiedy można było sponsorować policję (która już nie nazywała się milicja) i inne instytucje zajmujące się praworządnością.

Ojciec Emila miał nadzieję, że tym razem sprawa wreszcie ruszy z miejsca, zawziął się i postanowił tego dopilnować. Zaproponował, że da pieniądze na potrzeby prokuratury i policji, sfinansuje też wizję lokalną nad Wisłą. Zapewni helikoptery i wszystko, co potrzeba. Wierzył, że tym razem się uda, bo jest nowa władza. Wreszcie się dowie, kto mu zabił syna. Był radykalnie negatywnie nastawiony do komunistów. Nie podobał mu się Okrągły Stół. Już wtedy mówił, że to nie w porządku, że ludzie z „Solidarności” nie powinni się układać z Jaruzelskim i Kiszczakiem, a Jaruzelski w roli prezydenta był nie do przyjęcia. Mój były mąż chciał współpracować z prokuratorem, składał zeznania i z tego powodu odłożył termin operacji, którą wyznaczono mu na początek września. I przypłacił to życiem. Operacja odbyła się trzy tygodnie później, za późno, jak się okazało, Emil zmarł na stole operacyjnym 26 września 1992 roku. Miał 53 lata. Lekarze nie określili jasno, jaka była przyczyna zgonu. Miał straszne bóle, bardzo cierpiał, była to jedna z chorób wątroby, może nowotwór. W każdym razie ta sprawa z wyjaśnieniem śmierci syna również jemu odebrała życie. Nie powinien odkładać operacji. Nie zdążył zrobić przelewu, nie doszło do transakcji, wizja lokalna się nie odbyła. Sprawę umorzono po raz trzeci w 1995 roku.

Kolejne dochodzenie, już czwarte, rozpoczął IPN w 2007 roku. Toczy się już 10 lat. Prowadzi je pan prokurator Mariusz Rębacz z warszawskiej Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Świetny prokurator, który działa z wielkim zaangażowaniem. Porządkuje i weryfikuje materiały, nie chce się poddać i zamknąć

śledztwa. Jest skrupulatny i cierpliwy. Chciałby przynajmniej zgromadzić jak najwięcej faktów dla IPN i historyków, którzy w przyszłości będą się chcieli przyjrzeć tej sprawie. Nadal wierzy, że pojawią się nowe informacje albo zgłósi się jakiś nowy świadek, może z zagranicy. W każdym razie prokurator Rębacz działa na wielu polach. Niedawno dostałam pismo, w którym informuje, że „[...] zgodnie z artykułem 6 ustawy z dnia 23 lutego 1991 roku o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego, Dziennik Ustaw 1991 nr 34, jako następcy prawnemu zmarłego syna w przypadku stwierdzenia nieważności wymienionego powyżej wyroku przez Sąd, przysługują Pani uprawnienia do żądania odszkodowania za poniesioną szkodę i zadośćuczynienia za doznaną krzywdę”. Mogę się starać o zadośćuczynienie za areszt Emila, za to, co przecierpiał do momentu wyroku, ale nie za śmierć. Mogę dostać 10 000 złotych. Powiedziałam, że nie będę o to wnioskować, bo tu chodzi o śmierć Emila, a nie o areszt.

W sądzie okręgowym 30 marca 2017 roku odbyła się krótka rozprawa. Unieważniono wyrok Emila z 17 marca 1982 roku – po 35 latach.

Przeczytam fragment uzasadnienia: „Nie budzi jakichkolwiek wątpliwości, że przedstawione zachowanie Emila Barchańskiego miało związek z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego, którą prowadził z innymi osobami w ramach powołanej przez grupę młodych ludzi tajnej, wzorowanej na Armii Krajowej organizacji »Piłsud-

czycy«, której celem była walka konspiracyjna o niepodległy byt Państwa Polskiego. [...] 16-letni Emil Barchański na rozprawie sądowej 17 marca 1982 roku stwierdził: »Chciałbym widzieć Polskę silną; bogatą – mam na myśli dobrobyt ludzi; demokratyczną; sprawiedliwą i wolną«. Reasumując, wyrok Sądu Rejonowego, Wydział Rodzinny i Nieletnich z dnia 17 marca 1982 roku, który zapadł wobec Emila Piotra Barchańskiego – w rozumieniu artykułu 1 ustawy z dnia 23 lutego 1991 roku – jest niewątpliwie orzeczeniem o charakterze represyjnym, wydanym przez polski wymiar sprawiedliwości, dotyczącym czynów związanych z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego”.

Na początku kwietnia 2017 roku dostałam kolejne pismo. Po unieważnieniu wyroku mogę się starać o zadośćuczynienie za śmierć syna jako jego spadkobierczyni. Mogę wystąpić o odszkodowanie, ale nie wystąpię, bo to już zrobiono za mnie i w moim imieniu w zeszłym roku – w czerwcu 2016. W 34. rocznicę śmierci syna i w przeddzień jego 51. urodzin, w dniu 5 czerwca 2016 roku otrzymaliśmy z mężem z rąk ministra Jana Józefa Kasprzyka, szefa Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, dwa medale „Pro Patria”, jeden dla matki i jeden dla ojczyzna Emila. Jednocześnie otrzymałam pismo, w którym decyzją szefa tego urzędu przyznano mi rekompensatę finansową za śmierć syna. Byłam ogromnie zaskoczona. Za śmierć Emila? Skąd? Jak? Dlaczego? Okazało się, że dwie dziennikarki, które znały mnie i historię Emila – pani Kinga Hałacińska i pani Patrycja Gruszyńska-Ruman (niestety zmarła 26 sierpnia 2016 roku) postanowiły w 2015 wystąpić z wnioskiem o pomoc finan-

sową dla mnie do odpowiednich władz. Przyszły latem 2015 roku i poprosiły o podpisanie odpowiednich pełnomocnictw dla pani Kingi Hałacińskiej. Zrobiłam to i ona zaczęła działać. Po kilku miesiącach przyszła do mnie z panią Barbarą Padło z Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych i dały mi do podpisania wniosek o udzielenie mi pomocy finansowej. Mówiły, że może otrzymam jakiś dodatek do emerytury, który przyda się na zakupienie lekarstw dla mnie i męża. Przecież oboje jesteśmy przewlekłe chorzy i potrzebujemy takiego wsparcia. Nie było żadnej mowy o rekompensacie za śmierć Emila. Stąd moje zaskoczenie, gdy mi wręczono pismo, informujące o przyznaniu mi 50 000 złotych jako „zadośćuczynienie za śmierć syna”. Miałam i mam nadal bardzo mieszane uczucia. To nie powinno być tak sformułowane: „zadośćuczynienie za śmierć”. Czy w ogóle są na świecie jakieś pieniądze, które mogą zrekompensować śmierć dziecka? Milion? Dziesięć milionów? Ile byłoby wystarczająco, aby zadośćuczynić stracie syna? Bardzo źle się wtedy poczułam, chciałam od razu podziękować i nie przyjąć tych pieniędzy, ale uległam argumentom męża i przyjaciół. Przekonali mnie, żebym te pieniądze potraktowała jako jednorazową pomoc finansową i sukcesywnie je wydawała na leki, na leczenie nas obojga i na opłacenie pomocy w zakupach i opieki nad nami. W końcu tak zrobiłam, a w grudniu 2016 roku wydałam kilkanaście tysięcy na pogrzeb męża, mówiąc sobie: To Emil pochował Jerzego, to od niego te pieniądze otrzymałam. To od niego ta pomoc finansowa. I tylko w ten sposób mogę o tej „rekompensacie” myśleć – to zapomoga od mojego zmarłego syna. Kolejna „pomoc z za grobu”.

W 2016 roku zdarzyło się też coś ważnego: na wniosek prezesa IPN został przyznany pośmiertnie Emilowi Krzyż Wolności i Solidarności² postanowieniem prezydenta Andrzeja Dudy z dnia 11 sierpnia 2016 roku – cytując: „za zasługi w działalności na rzecz niepodległości i suwerenności Polski oraz respektowania praw człowieka w PRL-u”.

Jeszcze wcześniej, w 2007 roku, Emil pośmiertnie został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Krzyż odebrałam z rąk prezydenta w Święto Niepodległości, 11 listopada 2007 roku. To było pierwsze odznaczenie dla Emila, kiedy proces w jego sprawie się toczył i syn nie miał jeszcze statusu represjonowanego, natomiast zebrane dokumenty pozwoliły Kancelarii Prezydenta przyznać mu ten Krzyż i wtedy też uznano go za najmłodszą ofiarę stanu wojennego. To zostało udowodnione na podstawie materiałów zgromadzonych przez IPN. Status osoby represjonowanej w stanie wojennym otrzymał dopiero dziewięć lat później, czyli w 2016.

Jeśli chodzi o Krzyż Wolności i Solidarności to na wręczanie zaproszono rodziców, czyli mnie i męża, na 13 grudnia 2016 roku. Leżałam wtedy w szpitalu, Jerzy również chorował. Nie mogliśmy przyjść, poprosiliśmy o przełożenie uroczystości na inny termin. Jerzy już tego nie doczekał, zmarł w grudniu. Ja odebrałam Krzyż Wolności i Solidarności dla Emila pół roku później, 13 czerwca 2017 roku w IPN. Dokładnie 35 lat po śmierci syna. To była bardzo wzruszająca uroczystość. Jestem

² Krzyż Wolności i Solidarności to symboliczne podwójne uhonorowanie najodważniejszych, w wielu wypadkach zapomnianych przez III RP: za ich wysiłki i heroizm w czasach komunizmu.

wdzięczna, że uhonorowano Emila w ten sposób. Podczas uroczystości wystąpili Leszek Czajkowski i Paweł Piekarczyk, którzy wspólnie wykonali kilka utworów. Leszek bardzo ciepło, od serca mówił o Emilu, swoim przyjacielu. To były piękne słowa.

Od 35 lat ten czas od 1 marca do połowy czerwca jest dla ciebie czasem szczególnej pamięci o synu. Przeżywaniem tamtych wydarzeń od nowa. Pierwsze dni czerwca są zawsze smutne i bolesne.

Zwłaszcza 10. rocznica śmierci była bardzo smutna. Pamiętam, że na początku lat dziewięćdziesiątych ludzie zajmowali się głównie sprawami bytowymi, byli w euforii po zmianach ustrojowych, gospodarczych. Na mszę rocznicową w kościele św. Jacka w 1992 roku przyszło dosłownie kilka osób. Nikt nie pamiętał, oprócz paru najbliższych osób. Podobnie było w 10. rocznicę śmierci księdza Jerzego Popiełuszki w 1994 roku. Byliśmy z mężem na mszy rocznicowej i było nam bardzo przykro, że tak mało ludzi wtedy przyszło. Prawie pusty kościół. Gdzie te tłumy, które się gromadziły na Mszach za Ojczyznę odprawianych przez księdza Popiełuszkę? Pod tym względem lata dziewięćdziesiąte były okropne. Zasypać, nie rozdrapywać, wyciszyć, zostawić w spokoju, przyklepać, zapomnieć. Dopiero później pamięć zaczęła wracać. Emil miał prawdziwą rocznicę dopiero w 2007 roku, po 25 latach. Od czasu do czasu kogoś zainteresował jego los. Wspomniałam już o filmie dokumentalnym *Poszedłem po słońce* z 1997 roku. W 2007 roku powstał spektakl *Sprawa Emila B.* dla Sceny Faktu Teatru Telewizji. Autorką scenariusza i reżyserką jest pani Małgorzata Imielska, również uczennica Liceum im. Reja.

W 2011 roku pani Patrycja Gruszyńska-Ruman nagrała ze mną wywiad i powstał reportaż radiowy pod tytułem *Wróć, kiedy słońce już nie będzie mi potrzebne*, nagrodzony Grand Prix Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, między innymi za ukazanie mało znanego faktu z historii najnowszej. Oczywiście blisko współpracowałam z osobami, które zajmowały się tym tematem. Szczerze odpowiadałam na pytania. Wspomnienia za każdym razem bolały, tak jak teraz bołą, po 35 latach. Ale cieszę się, że zostanie jakiś ślad po życiu Emila. Jestem mu to winna. Ale nie tylko jemu, również jego przyjacielom, kolegom, jego pokoleniu, a i pokoleniom młodszym – tym bardziej. To jest mój obowiązek, obowiązek dania świadectwa prawdzie – tak sobie to tłumaczę. Obowiązek, który na szczęście ode mnie egzekwujesz. Dla mnie samej byłoby to niewykonalne, za trudne. Jerzy już od kilku lat prosił mnie i ciągle namawiał na napisanie książki o Emilu, ale odmawiałam, mówiąc, że nie mam sił, zdrowia, odwagi, a przede wszystkim wiary, że potrafię to zrobić. I teraz – trzy miesiące po jego śmierci – przyszedł do mnie z propozycją tego wywiadu. A ja bez chwili wahania się zgodziłam. Przecież to kolejne w moim życiu zdarzenie metafizyczne – Jerzy triumfuje, to jego „zwycięstwo z za grobu”! Postawił na swoim!

Musimy wspomnieć o jeszcze jednym istotnym wydarzeniu. Od dwóch lat w nocy z 12 na 13 grudnia przychodzi do ciebie młodzież z liceum im. Reja, żeby go uczcić, upamiętnić. Pamiętają.

Muszę sprostować: to nie jest tylko młodzież z jego liceum, to młodzież z różnych warszawskich liceów i studenci.

To się nazywa Marsz Pamięci, jego organizatorką jest dziennikarka Kinga Hałacińska. Nie wiem, jak się skrzykują, pewnie przez Internet. Zaczynają przemarsz od tablicy poświęconej pamięci Grzegorza Przemyska, na ulicy Jezuickiej, gdzie był komisariat MO i gdzie Grzegorz został pobity. Stamtąd idą tu, na Bonifraterską, pod tablicę poświęconą Emilowi, która wisi na froncie kościoła św. Jana Bożego. To jest nowa akcja. Pierwszy raz byli u mnie w domu w nocy z 12 na 13 grudnia 2016, w mieszkaniu zmieściło się około trzydziestu osób. Reszta stała przed blokiem ze sztandarami. Przynieśli bukiet biało-czerwonych róż, które teraz wiszą zasuszone na ścianie. Z nimi były kamery TVP Info i TV Republika. Przeprowadzono ze mną wywiad. Panowała niezwykła atmosfera. Uświadomiłam sobie, że ci młodzi ludzie, a przynajmniej niektórzy z nich, mają po dwadzieścia parę lat, czyli mogliby być dziećmi Emila, gdyby żył. Jego synowie i córki (uśmiech), a moje wnuki...

Jak przyjmujesz te wszystkie wydarzenia po tylu latach ciszy, niepamięci?

Byłam bardzo zaskoczona, nie spodziewałam się tego. Zostałam powiadomiona z dnia na dzień, że się szykuje taka uroczystość. Zupełnie nie wiedziałam, czego oczekiwać. Nie byłam na to przygotowana w żaden sposób. Emocjonalnie bardzo silnie to przeżyłam, z wielkim wzruszeniem i radością w sercu. Co tu dużo mówić... Uświadomiłam sobie, że to już tyle lat, a nagle pamięć o nim jakby ożyła. Dziesięć lat wcześniej, gdy obchodziłam 25. rocznicę jego śmierci, też

miałam uczucie, że pamięć wróciła. Wtedy Liceum im. Reja się bardzo zaangażowało, urządzili uroczyste spotkanie na terenie szkoły z uczniami, otwarto wystawę poświęconą Emilowi. Były msze, na przykład w kościele ewangelicko-augsburskim przy placu Małachowskiego odbyła się uroczysta msza ekumeniczna – dla mnie bardzo wzruszająca, bo obejmowała dawnych, jeszcze przedwojennych uczniów liceum. I Emil jakby wywołał to wspomnienie innych zasłużonych absolwentów szkoły. To było w 2007 roku i od tamtej pory zapadła cisza. Nie chcę narzekać, broń Boże. Co roku zamawiałam msze w intencji syna w dniach, kiedy został zamordowany, między 3 a 5 czerwca, i 6 czerwca, w jego urodziny. Zawsze na tych mszach pojawiali się przyjaciele Emila, wierni jego pamięci. Koledzy z Reja i spoza liceum, grupka jego rówieśników. I to mi dawało nadzieję, że jednak ta pamięć zostanie zachowana, że gdy mnie i męża zabraknie, pozostanie chociaż garstka ludzi, która będzie pamiętała i kultywowała te spotkania przynajmniej raz w roku. Przez wszystkie te lata znajdowałam na grobie ładne biało-czarne chorągiewki z napisem „Pamiętamy. Rejacy”. To już była inicjatywa szkoły. Przypuszczam, że głównym inspiratorem był profesor Jacek Konik, historyk, który jest animatorem różnych działań upamiętniających Emila, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Tyle lat minęło, więc nauczyciele, którzy znali Emila, są już na emeryturze. Kilku nie żyje. Profesor Zofia Bujalska, wychowawczyni Emila, ma chyba 93 lata, o ile pamiętam. Mam z nią kontakt, przychodzi na msze rocznicowe. Jest bardzo szczęśliwa, ilekroć czyta jakiś artykuł czy reportaż o Emilu. Cieszy

się z tego, tak jak ja. Bardzo jej też zależy, żeby zachować pamięć o nim. Ona nie czuje się tylko świadkiem tych wydarzeń, jest osobą, którą wspominał w swoim pamiętniku i przyznawał, że miała wpływ na jego postawę patriotyczną. Bardzo dużo jej zawdzięczał.

Chciałam zapytać, co czujesz, gdy czytasz czy słyszysz takie określenia o synu: „najmłodsza ofiara stanu wojennego”, „pierwsza ofiara stanu wojennego w Warszawie”, „ostatnia ofiara krwawego Feliksa”?

Te terminy pojawiły się stosunkowo niedawno. Jestem na to dziwnie impregnowana. Już nie chcę tego czytać, nie biegnę, żeby oglądać. W pierwszych latach po śmierci Emila miałam potrzebę, by o nim mówiono, pamiętano, ale wtedy nikt nie używał takich określeń. Bolało mnie raczej to, że było tak cicho wokół tej śmierci. A teraz najbardziej wzrusza mnie pamięć obcych ludzi. To mi daje pokój w sercu. Czuję zdumienie i wzruszenie. Że pamiętają i że chcą o tym mówić. Minione lata mnie nie rozpieszczały, pogodziłam się z tym, że panuje cisza i rzadko ktoś do tego wraca. Anonimowa śmierć bez rozgłosu, taka jak tysiące innych. Może to moja wina? Może powinnam zrobić tak, jak mi radziła pani Adrianna Godlewska-Młynarska, żona Wojciecha Młynarskiego: narobić krzyku na pół Europy, rzucić się do gardła Kiszczakowi i Jaruzelskiemu. Pani Młynarska była u nas kilka miesięcy po śmierci Emila. Miała do mnie pretensje, że nie wrzeszczę i nie robię wielkiego hałasu. Była oburzona, że tak cicho siedzę, że nie domagam się sprawiedliwości, nie żądam kary, nie

walczę o pamięć o synu. Po latach myślę, że miał na to wpływ ten incydent na placu Zwycięstwa, to, że zostałam pobita, a potem długo byłam chora i często trafiałam do szpitala przy Nowowiejskiej.

Przez wiele lat zmagalaś się z depresją...

Z ciężką depresją, z której „leczyłam się” alkoholem i nawet nie zauważyłam, jak i kiedy wpadłam w uzależnienie. Próbowałam sama dać sobie z tym radę. Potrafiłam całymi miesiącami nie pić, ale przychodził dzień, w którym znowu sięgałam po alkohol, żeby nabrać sił, żeby nie dać się depresji, żeby po prostu zrobić coś, na co nie miałam ochoty, a musiałam. Moi bliscy przyjaciele, jak również koleżanki z pracy wiedzieli o tym i próbowali mi pomóc. Nigdy nie zetknęłam się z potępieniem czy odrzuceniem ze strony moich przyjaciół i męża, a raczej zawsze z życzliwą tolerancją, zrozumieniem i pobłażaniem. Ta tolerancja nie była dobra dla mnie, wołałabym ponieść jakieś poważne konsekwencje, może szybciej bym się opamiętała, a tak – zbyt długo czułam się bezkarna. Po każdym takim jednorazowym upiciu się spadałam jak kot na cztery łapy i już na drugi dzień starałam się zapomnieć o przykrym incydencie. Tylko raz spotkałam się z dezaprobatą. Danusia, mama Marka Marciniaka, powiedziała mi prosto w oczy: „Krystyna, to naprawdę nie wypada, żeby matka Emila piła. Nie rób mu wstydu”. I rzeczywiście mnie wtedy zawstydziła. Rozpłakałam się z upokorzenia. Po tej rozmowie z Danutą dłuższy czas nie piłam, ale gdy znowu dopadła mnie ciężka depresja, wydobyłam się z niej jak

zwykle alkoholem. I pewnie do dziś by to trwało, gdyby nie cud wymodlony dla mnie przez pewnego księdza, zresztą mojego spowiednika. Obiecał mi modlitwę w tej intencji, o uwolnienie mnie z uzależnienia. I kazał ufnie czekać na „pomoc z nieba”. Wiem, że to na pewno on wyprosił dla mnie tę cudowną abstynencję. Bo cała choroba alkoholowa odeszła z dnia na dzień już wiele lat temu. Któregoś dnia, po kilku miesiącach niepicia, stwierdziłam ze zdumieniem, że ja po prostu nie lubię alkoholu i że nie jest mi do niczego potrzebny. Skończyły się też dni depresyjne, choć jeszcze raz próbowała mnie zaatakować ta choroba, zaraz po śmierci Jerzego, ale się jej nie dałam. Myślę, że dzięki modlitwie. To teraz moje jedyne uzależnienie. Zamieniłam alkohol na różaniec. Jak mówi Księga Kohele-ta: „W życiu jest czas płaczu i czas śmiechu”, a ja dodaję: czas picia i czas abstynencji, czas tańca i czas różańca. To naprawdę cud, że nie piję już tyle lat.

A wracając do zarzutów pani Młynarskiej... Nie zdołałam nagłośnić sprawy śmierci Emila, bo walczyłam wtedy o powrót do zdrowia. W tym samym czasie pan generał Jaruzelski cieszył się całkiem dobrym zdrowiem i wielu moich rodaków miało o nim bardzo dobre zdanie... I jak tu „rzucić mu się do gardła”? Przecież sam pan prezydent Bronisław Komorowski urządził mu uroczysty państwowy pogrzeb z wojskowymi honorami... *À propos* pogrzebu generała. Przypomniało mi się coś zabawnego, co do dziś wspominam z dużą satysfakcją. Z przygnębieniem oglądaliśmy z Jerzym transmisję z tego pogrzebu w telewizji. Nagle zobaczyłam, jak w grupie protestujących ludzi jakiś

młody człowiek niesie wysoko nad głową duże zdjęcie Emila. Jerzy krzyknął: „To chyba syn Bronisława Wildsteina! To Dawid Wildstein niesie fotografię Emila!”. Obok niego szli inni młodzi ludzie i też nieśli zdjęcia kilku ofiar stanu wojennego. I gdy już wieńce pokryły grób generała i uczestnicy pogrzebu zaczęli się rozchodzić, nagle kamera w dużym zbliżeniu pokazała zdjęcie Emila leżące na grobie Jaruzelskiego! To była dosłownie sekunda, ale zdążyliśmy oboje z Jerzym to zobaczyć! Przygnębienie minęło, a w jego miejsce pojawiła się radość. Cieszyliśmy się jak dzieci. Na grobie generała Jaruzelskiego – twórcy stanu wojennego – leżała wśród wieńców fotografia naszego syna – jednej z trzech najmłodszych ofiar stanu wojennego! Gdy wieczorem oglądaliśmy jeszcze raz w TVN relację z pogrzebu Jaruzelskiego, już nie pokazano ani protestujących, ani grobu ze zdjęciem Emila.

Właśnie: Jaruzelski. Kilka lat temu znaleźliście się w tym samym czasie w szpitalu przy ulicy Szaserów. On leżał na sąsiednim oddziale. Czy nie miałaś zamiaru odwiedzić go i zapytać, czy zna nazwisko „Emil Barchański”?

Nie miałam na to sił. Byłam bardzo chora. Nie mogłam wstać z łóżka. Rozpoznano u mnie raka płuc, później okazało się, że to była błędna diagnoza. Lekarze się pomylili. Byłam w bardzo złej formie. Jaruzelski był w jeszcze gorszym stanie. Ale nawet gdybym miała zamiar z nim porozmawiać, na pewno by mnie do niego nie wpuścili. On leżał w izolatce dla VIP-ów, miał silną ochronę. Nikt nie mógłby tam wejść bez pozwolenia.

Wspominałaś o różnych metafizycznych wydarzeniach, które przeżywałaś po śmierci Emila. Czy tak myślałaś też wtedy, gdy w 2001 roku na placu Bankowym stanął pomnik Juliusza Słowackiego, w miejscu zburzonego w 1989 roku pomnika Dzierżyńskiego?

Po 19 latach od śmierci syna stanął tam pomnik jego ulubionego wieszca – Słowackiego. To niemożliwe, żeby to był zwykły przypadek. Czy to nie jest symboliczne? Przedziwny zbieg okoliczności... Jerzy swoją spiskową teorię dziejów opierał na przeświadczeniu, że Emila nie zamordowała SB, ale KGB. Ona tu rządziła, a SB to były marionetki. Mąż przyjmował do wiadomości opinię, że być może nie chcieli zabić chłopca, który zniszczył pomnik ich patrona, a jedynie postraszyć, pomęczyć. W końcu księdza Popiełuszki też podobno nie chcieli zabić, tylko pobić i zastraszyć... Oni zawsze „niechący” zabijają. Ilekroć przejeżdżam przez plac Bankowy i widzę pomnik Słowackiego, to się cieszę. Gdy go wzniesiono, poszliśmy tam z Jerzym, by go obejrzyć – i dotknąć. Wspominaliśmy Emila. Mówiliśmy: „Patrz, synku, nie ma Dzierżyńskiego, tak jak chciałeś, jest twój ukochany Słowacki”. Czuję, że syn to wie. Mało tego, wierzę, że miał w tym swój „duchowy” udział. Przecież mógł tam stanąć każdy inny pomnik, wybór był duży. A cytując Witkiewicza, powiem, że to, co czuję za każdym razem, kiedy patrzę na pomnik Słowackiego, przyprawia mnie o „dreszcz metafizyczny”. To jest przeżycie wręcz mistyczne, a przecież wiem, że nie jestem mistyczką i umiem mocno stąpać po ziemi. Pamiętam, jak Emil był dumny z tej ich akcji na pomnik krwawego Feliksa. Dziś na placu Bankowym stoi

Słowacki, a plac już nie nazywa się placem Dzierżyńskiego. I jak tu nie czuć satysfakcji? W czerwcu tego roku w telewizji – nie pamiętam w której stacji – usłyszałam wypowiedź Pawła Lisieckiego, członka Stowarzyszenia „KoLibier”, które od 2012 roku prowadzi akcję pod zabawnym hasłem „Goń z pomnika bolszewika”. Powiedział – spróbuję dokładnie przytoczyć jego słowa: „Sprawiedliwość historyczna wymaga, aby usunąć z przestrzeni publicznej pomniki i nazwy ulic, placów, tablic, upamiętniających i czczących tych, którzy mordowali Polaków”. Myślę, że Emil, Artur i Marek oraz pozostali chłopcy, którzy 10 lutego 1982 roku „zamachnęli się na pomnik bolszewika Dzierżyńskiego”, w pełni zasługują, aby być honorowymi członkami Stowarzyszenia „KoLibier”. Toż to prekursorzy! (śmiech).

Gdy patrzysz na to, co się dzieje wokół, na obecną sytuację w Polsce, wybory różnych ludzi, czy myślisz o tym, jaki byłby Emil, gdyby żył? Jakie by były jego decyzje życiowe, polityczne?

Bardzo często. Jak patrzę na to wszystko, to oczywiście myślę o dziecku, które miało tyle młodzieńczych ideałów, bo w końcu człowiek siedemnastoletni ma do nich prawo. Czytał romantyków, miał literackie wykształcenie patriotyczne. Do tego polonistka, pani profesor Bujalska przekazała mu własny współczesny pogląd na to, co się dzieje w kraju. Wiedział, że każdy przyzwoity nauczyciel jest w „Solidarności”, a każdy karierowicz – w PZPR. To było dla niego proste jak drut. Ale nie miał potrzeby odwetu, żeby się na kimś mścić, żeby karać. Miał postawę charakterystyczną dla wie-

lu ludzi w Sierpniu '80. Cenił Wałęsę, zapewne przeżyłby szok, gdyby się dowiedział prawdy o „Bolku”. Miał szacunek dla Kuronia, Michnik mu imponował tekstami drukowanymi w podziemiu. Cenił Vaclava Havla, ale też Aleksandra Halla z Ruchu Młodej Polski. Czytał ich artykuły, znał ich tylko z podziemnych druków. Tak się czasem zastanawiam: jak potoczyłyby się losy Emila, gdyby żył i obserwował to, co się działo po 1989 roku? Co by myślał o Okrągłym Stole? Jakie by zajął stanowisko? Czy byłby po stronie Walentynowicz i Gwiazdy czy po stronie Wałęsy? Co by powiedział, widząc Jaruzelskiego jako prezydenta? Jakich wyborów by dokonał? Kim by był? I czy historia ostatnich lat nie zmieniłaby go tak, że teraz mógłby ziać nienawiścią? Czy to byłoby możliwe w jego przypadku? Czy też byłby nieszczęśliwy, widząc, co się dzieje wokół, jak się ludzie nienawidzą? Nieraz rozmawialiśmy o tym z Jerzym. Żeby mnie pocieszyć, mąż mówił: „Przynajmniej odszedł czysty, nieskażony, głęboko wierzący. Na pewno tam jest mu lepiej. Może Bóg wcześniej zabiera dobre dusze, żeby się tu nie popsęły?”. Emil widział podczas strajku w Sierpniu 1980 roku, jak robotnicy klęczą na dziedzińcu Stoczni Gdańskiej, jak się spowiadają. Zrobiło to na nim ogromne wrażenie. Potem chodził na Msze za Ojczyznę do kościoła św. Stanisława Kostki, które odprawiał ksiądz Jerzy Popiełuszko. Syn opowiadał o nich zachwycony. On to wszystko tak entuzjastycznie, radośnie przeżywał. Cieszył się Bogiem, przyjął go jako rzecz naturalną, oczywistą. Wziął tę wiarę z rąk księdza Popiełuszki. Nie miał wzorców w domu, niestety, nad czym boleję po latach. Strasznie żałuję, że nie mam takiego wspomnienia, jak klęczę i razem

z dzieckiem się modłę. Nigdy nie modliliśmy się razem. Emil robił to sam i sam chodził na msze. Ale też nigdy nie robił nam wymówek, nie komentował tego, nie krytykował nas, nie zawstydział. Wolna wola. Wiedział, że ja jako rozwódka jestem poza sakramentalnym życiem Kościoła, że mszę świętą możemy przeżywać z Jerzym tylko duchowo. Wracając do pytania, nie wiem, jaki by był Emil i co by myślał o tym, co się wydarzyło w Polsce w ostatnich dekadach. W ogóle nie potrafię sobie wyobrazić syna jako pięćdziesięcioletniego mężczyzny, jako czyjegoś męża i ojca. Ci, którzy odebrali mu życie, odebrali mu te wszystkie role... I mnie też odebrali... Nigdy nie będę niczyją teściową ani babcią...

KRYSTYNA.

SPLĄTANE HISTORIE RODZINNE

„Sierocy los odziedziczyłam po mamie”

Historia twojej rodziny jest mocno zawiła. Wielu wujków, ciotek, kuzynów prawie nie znałaś. Jesteś jedynaczką. Zostałaś sierotą bardzo wcześnie. Mieszkałaś sama od szesnastego roku życia. Jak sobie radziłaś?

Różnie. Nie zawsze byłam mądra i dzielna (uśmiech). Jednak zawsze w sytuacji zagrożenia pojawiała się jakaś pomoc. Opatrzność czuwała nade mną. Od szesnastego roku życia byłam sierotą. Miałam tylko jedną daleką kuzynkę z rodziny mamy, ciocię Stasię, o której już wielokrotnie wspominałam. Serdecznie się mną zajęła i pomagała mi, jak mogła, chociaż sama też była w trudnej sytuacji, bo opiekowała się przez piętnaście lat ciężko chorą matką, przykutą do łóżka. Swoje życie osobiste poświęciła matce. Ale gdy ja przystępowałam do egzaminów na studia, ciocia Stasia zaprosiła mnie do siebie, by przez miesiąc zapewnić mi opiekę. Spałam u niej na półowce i od rana do wieczora się uczyłam. Gdybym została w moim mieszkaniu na Bednarskiej, które miałam po mamie, to moja nauka mogłaby się okazać mało skuteczna. Codziennie odwiedzali mnie tam przyjaciele z całego Krakowskiego Przedmieścia, Mariensztatu i Powiśla. Miałam

sporo znajomych z Hybryd, ze Stodoły, z Harendy. Bywałam w klubach studenckich, chociaż chodziłam jeszcze do liceum. Tabuny znajomych odwiedzały mnie w domu, bo wiedzieli, że mam wolną chatę. Były dyskusje, spotkania, czasem przy herbacie, czasem przy winie czy piwie. Nic złego się nie działo, ale nie podobało się to sąsiadom. Za dużo młodzieży przychodziło, dlatego miałam problemy. Sąsiedzi starali się pozbawić mnie tego mieszkania. Złożyli na mnie donos na milicji. Przyszedł pan dzielnicowy i oznajmił, że podobno tu się odbywają nielegalne zgromadzenia o charakterze politycznym. To był początek lat sześćdziesiątych, czasy gomułkowskie. Jednak jakoś z tego wybrnęłam i mieszkanie zachowałam. A było to mieszkanie komunalne, tak zwane kołchozowe. Dzieliłam z dwiema rodzinami wspólną łazienkę i wspólne WC. Mój pokój, 36 m², bardzo by się przydał sąsiadom na wspólną kuchnię. Nie ukrywali, że ich donosy do dzielnicowego miały ten cel. Mieli nadzieję, że jako nieletnia wyląduję w domu dziecka.

Do którego liceum chodziłaś?

Na początku do Liceum im. Czackiego, które właśnie wtedy przeniosło się z ulicy Drewnianej róg Dobrej na ulicę Karową. Zaliczyłam tam dwie klasy, ósmą i dziewiątą. I już w czerwcu 1959 roku dwie zapobiegliwe przyjaciółki mojej mamy wypisały mnie z Czackiego i zapisały do szkoły wieczorowej na ulicy Kopernika, tłumacząc mi, że mama jest tak ciężko chora, że już nie wróci do pracy i nie będzie mogła łożyć na moje wykształcenie. Jak tylko skończę szesnaście lat, będę musiała iść do pracy, żeby pomóc mamie finanso-

wo. Oczywiście okłamywały mnie, bo już wtedy wiedziały, że mama jest umierająca i że zostanę sama z chorą babcią, wymagającą opieki. Ale to właśnie babcia ostatecznie mnie przekonała, że wieczorówka to rozsądny pomysł. We wrześniu 1959, kiedy zaczęłam naukę w dziesiątej klasie liceum wieczorowego, babcia była po dwóch wylewach i miała początki demencji. Ciągle mnie straszyla, że za chwilę umrze. I rzeczywiście umarła 29 września. Po jej śmierci jeszcze tylko dwa miesiące chodziłam do wieczorówki – październik i listopad, a od grudnia aż do śmierci mamy, w dniu 18 stycznia, w ogóle przestałam chodzić do szkoły.

Dwa tygodnie po śmierci mamy, w lutym 1960, przenieśliśmy się z wieczorówki do dziennego Liceum im. Ruy Barbosy na Pradze, bo tam chodziła moja przyjaciółka z Czackiego, Bożena Michalska. Jej rodzina przeprowadziła się z Powiśla na Pragę, Bożena musiała zmienić szkołę, więc ja też razem z nią. Zwłaszcza że w tamtym czasie, na początku mojego samodzielnego życia, jej rodzice byli jedynymi ludźmi, którzy mi pomagali – uczyłam się z Bożeną, jadłam u niej obiady, kolacje, długo tam przesiadywałam. Kiedy wróciłam do dziennej szkoły, miałam mnóstwo zaległości, a przypominę, że było to już drugie półrocze w dziesiątej, przedostatniej klasie liceum. Groziło mi powtarzanie klasy. Żeby zdać, musiałam zaliczyć sporo materiału z wszystkich przedmiotów. Nauczyciele dali mi tę szansę, kiedy dowiedzieli się, że zostałam zupełnie sama na tym świecie. Parę tygodni mieszkałam u Bożeny i uczyłam się metodą studencką. Przekonałam się wówczas, że można przerobić pół podręcznika w kilka dni. Szkoła dowiedziała się o moim

sieroctwie dopiero wtedy, gdy zaczęłam sama przychodzić na wywiadówki dla rodziców. Wcześniej o mojej sytuacji nie mieli pojęcia, bo przecież zmieniałam liceum. Załatwiła mi to przeniesienie – z wieczorówki do dziennej szkoły – przyjaciółka mamusi, która miała jakichś wysoko postawionych partyjnych znajomych. W każdym razie to był dla mnie trudny czas, ale zaliczyłam wszystkie przedmioty i zdałam do klasy maturalnej. Miałam ambicję, nie było tak, że lekceważyłam szkołę. Bardzo mi zależało, by zrobić maturę i zdać na studia. Co niestety od razu wszyscy starali się wybić mi z głowy – począwszy od nauczycieli, skończywszy na znajomych. Uważali, że jako sierota nie dam sobie rady finansowo. Ja jednak od razu wyliczyłam, że moja sieroca renta po mamie jest wyższa niż stypendium, które mogłabym dostać. A poza tym co miałabym robić po maturze? Gdzie pracować bez wykształcenia? Wszystkie opłacałam z renty po mamie: czynsz za mieszkanie – pamiętam jak dziś, że była to najwyższa suma w moich wydatkach, 150 złotych. Drugi duży wydatek: pranie bielizny w pralni na Pivnej, bo nie miałam pralki. Poza tym nie umiałam pracować. Naśladowałam babcię, a ona nosiła pranie do pralni, bo nie miała siły pracować sama. Opłacałam światło i gaz. Te wszystkie wydatki stanowiły prawie połowę renty, którą dostawałam z ZUS-u. Resztę przeznaczałam na jedzenie, ubranie i... papierosy. Niestety, zaczęłam palić zaraz po śmierci mamy. W tamtych latach to był bardzo modny nałóg. Prawie wszyscy moi znajomi palili. Koleżanki i koledzy ze szkoły też. Nie umiałam gotować. Żywiłam się w stołówkach: szkolnej, studenckiej, potem pracowniczej. Mamusia tylko zdążyła nauczyć mnie

robić kanapki. Przyglądałam się, jak ona je przygotowuje. Mama umiała pięknie udekorować stół, artystycznie przybrać i ułożyć potrawy na talerzu, ale nigdy nic nie ugotowała. Albo nie miała do tego talentu, albo po prostu nie lubiła. Nie wiem i już się nie dowiem, bo nie mam kogo zapytać. Zanim się urodziłam, gotował tata, podobno był świetnym kucharzem. Później już zawsze gotowała babcia.

Mama miała na imię Janina. Kiedy się urodziła?

W 1912 roku. Była nieślubnym dzieckiem, co w tamtych czasach było bardzo źle przyjmowane, a właściwie absolutnie nieakceptowane. O takich dzieciach wyrażano się pogardliwie: bękart. Mama miała brata Mariana, młodszego o sześć lat. Oboje nosili nazwisko po matce. Ich matka, Marianna, czyli moja babcia, zmarła bardzo młodo, w wieku 26 lat. Zaziębiła się w noc sylwestrową 1918 roku, dostała zapalenia płuc. Osierociła sześcioletnią córkę i półrocznego synka. Moja mama słabo pamiętała swojego ojca, który niestety miał drugą rodzinę i nie interesował się dziećmi z nieprawego łoża. Po śmierci Marianny Janeczka i Marianek zostali rozdzieleni. Janeczkę wziął na wychowanie jej dziadek, czyli ojciec Marianny, Stanisław Gryż, który był stolarzem. Ożenił się już wtedy po raz drugi. Moja mama miała bardzo trudne dzieciństwo w domu dziadka, nie lubiła o tym mówić. Przełamała się tylko raz czy dwa i zdradziła mi parę szczegółów, nie ukrywając żalu do dziadka. Mama zrobiła tak zwaną małą maturę, chciała się dalej uczyć, ale dziadek odmówił łożenia na naukę. Oznajmił, że mała matura jej wystarczy, ma iść do pracy. Gdy mama przyniosła mu

cenzurkę z rzymskimi piątkami z najważniejszych przedmiotów – bo przed wojną oceny zapisywano cyfrą rzymską – to dziadek powiedział: „A co mi po twoich piątkach? Może być przyniosła kilo kiełbasy?” Mama do końca życia nie mogła mu zapomnieć tych słów. Miała do niego wielki żal, ale uniosła się ambicją. Była uzdolniona artystycznie. W wieku szesnastu lat zatrudniła się w warszawskiej fabryce porcelany, gdzie ręcznie malowała naczynia. Pracowała tam do wybuchu wojny. Jednocześnie zaczęła zarabiać haftowaniem. To była jej pasja. Przepięknie haftowała obrusy, serwetki, pościel, makatki, nawet chorągwie. Ozdabiała tkaniny różnymi metodami. Haftem płaskim, wypukłym, ażurowym: richelieu, mereżkowym. Nie robiła na drutach ani na szydełku. Uwielbiała haft. Zajmowała się tym dla przyjemności i zarobku. Miała dużo zamówień.

A co się stało z jej bratem Marianem?

Małym Mariankiem, synkiem Marianny Gryź, zaopiekowała się jej serdeczna przyjaciółka, Stanisława Skibowska. Marianna powierzyła swoje półroczne dziecko jej opiece na łożu śmierci. Stanisława nie mogła mieć dzieci. Jej mąż Adam był przed wojną naczelnikiem więzienia. Byli bardzo dobrze sytuowani, mieszkali na Mariensztacie, na ulicy Sowiej. Oboje bardzo pragnęli mieć dziecko, więc wzięli na wychowanie Mariana. Dziadek Stanisław Gryź odetchnął z ulgą – musiał opiekować się już tylko wnuczką. Państwo Skibowscy troskliwie zajęli się Marianem. Przybrany ojciec bardzo go pokochał. Stanisława twierdziła, że bardziej kochał Mariana niż ją. Niestety w 1933 roku Adam zmarł nagle na zawał serca.

Stanisława została sama z dzieckiem. Marian Gryż we wrześniu 1939 miał 21 lat i bez pytania przybranej matki o zgodę samowolnie zgłosił się na ochotnika do wojska, odpowiadając w ten sposób na apel prezydenta Stefana Starzyńskiego, który wzywał warszawiaków do obrony stolicy. Zginął we wrześniu 1939 roku na polach wilanowskich. Dla mojej mamy stał się cichym bohaterem, zawsze wspomnianym przez nią z czcią i podziwem. To był ktoś, kim można się było pochwalić. Natomiast Stanisława nigdy mu nie wybaczyła, że ją zostawił, że wbrew jej woli poszedł walczyć i zginął. Uważała, że był niewdzięcznym wychowankiem i jej nie kochał. Nigdy nie mówiła o nim „syn”, tylko „wychowanek”. Dla mojej mamy Marian to był prawdziwy patriota, o którym się w naszym domu ciągle mówiło z dumą, o jego poświęceniu dla ojczyzny. Był głęboko wierzący, służył do mszy w kościele św. Anny i w kościele seminaryjnym na Krakowskim Przedmieściu. Podobno zawsze można go było spotkać albo w kościele, albo w kinie. Uwielbiał kino, potrafił chodzić kilka razy na ten sam film. Chciał zostać reżyserem, filmowcem, pracować w tej branży. Takie snuł plany. Moja mama rozmawiała z bratem przed jego śmiercią. Pytała go, dlaczego chce iść na wojnę wbrew woli przybranej matki. Powiedział, że to jego obowiązek. Że na mieście są długie kolejki młodych mężczyzn, którzy na ochotnika zgłaszają się do wojska, chcą walczyć i bronić kraju, on też nie będzie siedział beczynnie. Poza tym chciał się uniezależnić, samodzielnie podejmować decyzje. Mama twierdziła, że mocno przeżył śmierć przybranego ojca, Adama Skibowskiego, z którym był bardzo związany. Natomiast ze Stanisławą miał gorsze relacje.

Wymagała od niego bezwzględnego posłuszeństwa, ograniczała jego wolność. Mama opowiadała mi, że Marian miał przecucie, że ta wojna będzie strasznie ciężka dla Polaków i że on zginie. Mówił jej: „Wiesz, Niutka – to był taki pieśz-czotliwy skrót od Janiutka, tak mamę wszyscy nazywali – ta wojna będzie gorsza od tej poprzedniej, będzie tak straszna, że może lepiej zginąć wcześniej niż później, żeby nie prze-żywać tego koszmaru. Wolałbym zginąć wcześniej, lepiej mi będzie w niebie”. Mama, gdy słyszała te słowa o niebie, nie mogła pohamować złości. Bardzo kochała Mariana, był jej ukochanym braciszkiem, ale różnili się światopoglądem. W dzieciństwie trafiła na księży, którzy odepchnęli ją od Kościoła, bo była nieślubnym dzieckiem. Miała bardzo nie-dobre, traumatyczne przeżycia. To oddaliło ją od Boga i od wiary. Przestała się modlić. Była rozżalona i przekonana, że wszyscy księża są tacy jak ci, których spotkała na swojej drodze. W każdym razie Marian, jakby na własne życzenie, poległ w bitwie już we wrześniu 1939 roku. Pochowano go w październiku w zbiorowej mogile na cmentarzu na Wila-nowie. Dla mamy to był straszny cios. Została sama na tym świecie. Już nie miała nikogo bliskiego. Gdy jej brat zginął, miała 27 lat. Była już wtedy młodą mężatką, ale nie znalazła w małżeństwie poczucia bezpieczeństwa, bo mój ojciec, choć podobno bardzo go kochała, okazał się lekkoduchem. Mama mówiła o nim: „artysta życia”.

A jak nazywał się twój tata? Kiedy się pobrali?

Tata nazywał się Karol Pęczkowski. Ślub wzięli w 1934 roku. O rodzinie ojca niewiele wiem. Miał troje rodzeństwa, dwie

siostry i brata. Najmłodsza była ciocia Henia, moja matka chrzestna. Tylko ją poznałam z tej rodziny, nikogo więcej. Nigdy nie poznałam babci Pęczkowskiej, która zmarła w 1940 roku, zanim się urodziłam. Wiem tylko, że miała na imię Albina. Dziadek Piotr podobno był lekarzem, też zmarł podczas wojny, ale nie znam okoliczności jego śmierci. Nie wiem też, gdzie jest jego grób. Młodszy brat ojca, Wiktor Pęczkowski, został rozstrzelany jako zakładnik po jednej z akcji AK na jakiegoś ważnego Niemca. Zginął pod ścianą domu w Alejach Jerozolimskich róg Marszałkowskiej. Przez wiele lat po wojnie wisiała w tym miejscu tablica z nazwiskami rozstrzelanych warszawiaków, jego nazwisko też tam widniało. Tablica umieszczona była na tyłach hotelu Novotel, kiedyś Forum. Ale teraz już jej tam nie ma. Nie wiem, gdzie ją przenieśli. Zamierzam dowiedzieć się i ją odszukać. W końcu to był już drugi mój wujek, który zginął z rąk niemieckiego najeźdźcy...

Mamę wydała za mąż pani Jadwiga, druga, obok Stanisławy, zamożna przyjaciółka jej zmarłej matki, która interesowała się sierotą po Mariannie. Poznała ją z Karolem, kupiła suknię ślubną, dała wyprawę, zachowała się jak rodzona matka. Zrobiła to z przyjaźni dla nieżyjącej Marianny. Mama zawsze podkreślała, że jej matka miała naprawdę wierne, oddane przyjaciółki. Tylko one dobrze mówiły o Mariannie i pomagały jej dwojgu dzieciom.

Niestety mój ojciec przed wojną był niebieskim ptakiem. Robił wszystko i nic. Lubił śpiewać, tańczyć, grać na różnych instrumentach, a szczególnie na harmonijce ustnej, z którą się nie rozstawał. Podobno bardzo dużo czytał.

Mama specjalnie dla niego przynosiła do domu stosy książek wypożyczonych z biblioteki na Mariensztacie. Na szczęście miała blisko, bo mieszkali na Sowiej. Ojciec zmieniał pracę co kilka miesięcy, nigdzie nie potrafił dłużej zagrześć miejsca. Żadna praca mu nie odpowiadała. Miał plany artystyczne, mało sprecyzowane. Chciał pisać, grać, ale nie skończył żadnych studiów. Miał tylko małą maturę. Nie był w stanie utrzymać rodziny. Był uroczy, bardzo mamę kochał, pisał piękne listy i zawsze umiał się wytłumaczyć z każdej niejasnej, kłopotliwej sytuacji. Obiecywał, że jak urodzi im się dziecko, to on spoważnieje i dorośnie do roli męża i ojca, a na razie to sam ciągle czuje się dzieckiem. To sprawiło, że mama odwlekąła decyzję o rozwodzie.

Gdy wybuchła wojna, ojciec dobrze się poczuł w tym chaosie. Cztery razy był schwytany w łapance i wywieziony do Niemiec na roboty. I cztery razy uciekał i wracał do Polski. Trafił też do obozu w Treblince, z którego mama go wyciągnęła przez swoje kontakty i dzięki sporej sumie. Nigdy o tym nie wspominała. Wiem to od mojej cioci Stasi, tej z ulicy Marszałkowskiej. Podobno, gdy mama wykupiła go z Treblinki, za tydzień znowu znalazł się w łapance i został wywieziony na roboty do Rzeszy. I znów uciekł i wrócił do Warszawy. Zdarzało się też, że granatowi policjanci przyprawdzali go do domu po godzinie policyjnej, tak potrafił ich zagadać, zabajerować. Dla mamy to było niepojęte. Nigdy też nie dowiedziała się, jak to się stało, że ojciec walczył w Narviku, czym podobno bardzo się chwalił. Ojciec wyjeżdżał albo był wywożony, i ciągle wracał. Pojawiał się i zniknął. Byli małżeństwem już prawie dziesięć lat, ale nadal nie

mieli dzieci. I nagle w czerwcu 1943 roku mama zorientowała się, że jest w drugim miesiącu ciąży. Gdy się urodziłam, 28 stycznia 1944 roku, ojca znowu nie było w Warszawie. Tak się złożyło, że dopiero na dzień 2 sierpnia 1944 mama zaplanowała mój chrzest, ustępując namowom obu sióstr ojca, które były bardzo religijne. Chrzest niestety nie odbył się, bo 1 sierpnia wybuchło Powstanie Warszawskie, a dwa tygodnie później mama z półrocznym dzieckiem na rękę została wygnana z Warszawy i pod eskortą niemieckich żołnierzy trafiła do obozu przejściowego w Pruszkowie, dziś to znane Muzeum Dulag 121, ale to już inna historia i opowiem ci o tym może przy innej okazji.

Mama samotnie przeżyła prawie całą wojnę. Podobno rodzice bardzo się cieszyli, że w końcu będą mieli dziecko. Ojciec był zachwycony, że ma córeczkę, i gdy pojawiał się w domu, bardzo chętnie się ze mną bawił. Brał mnie na ramiona i tańczył ze mną mazurka, śpiewając: „Czy pozwoli panna Krysia, młody ułan pyta...”, i wycinał hołubce, a ja, siedząc ojcu na barana, radośnie podskakiwałam i zanosilałam się śmiechem. To moje najlepsze wspomnienie o ojcu...

Co mama robiła podczas wojny?

Była w jakiejś organizacji podziemnej, nie wiem której. Nigdy nie mówiła o niej: AK, tylko „organizacja”. Została skierowana do pracy w hotelu Bristol. Tam poznała wielu Niemców. Dlatego miała podobno takie doświadczenia, że zdołała wyciągnąć ojca z Treblinky. Była zatrudniona w hotelowej restauracji aż do powstania. Miała tam różne zadania, ale dowiedziałam się o tym nie od niej, tylko od jej koleżanki

Sabiny Suskiej, z którą tam pracowała. Zainteresowałam się tym dopiero po śmierci mamy, więc nie zdążyłam o wszystko jej wypytać. Koleżanka mamy mówiła mi, że mama odgrywała tam ważną rolę. Jaką? Nigdy nie padło na ten temat ani jedno słowo w domu. Myślę, że mama bała się, że coś wygadam, pochwalę się komuś, że mam długi język. Ciocia Stasia musiała coś o tym wiedzieć, ale też milczała. Wspomniała tylko raz czy dwa, że mama była w „organizacji”. Nie znalazłam w domu żadnych dokumentów. Nie sądzę, żeby to była AK, bo mama chyba mi o tym powiedziała. Nie wiem, to były lata pięćdziesiąte, gdy nie chwalono się wojenną przeszłością. Bano się UB. Wiem, że miała kontakty z jakimiś dziwnymi ludźmi, których nazwisk nie znałam. Gdy pytałam, kto to był, słyszałam: „A po co ci nazwisko?”, „A po co ci to wiedzieć?”, „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. Dopiero po latach zdałam sobie sprawę, o co mogło chodzić, że chciała mnie w ten sposób chronić. A potem nie było okazji, żeby o tym porozmawiać, zadać pytania. Chyba nie spodziewała się, że tak szybko umrze. Może nie zdążyła mi powiedzieć, może nie chciała. Przypuszczam, że nikt z rodziny ojca też nic nie wiedział.

Opowiedz o rodzinie mamy.

Mama, jak już wspomniałam, z domu nazywała się Gryż. Jako nieślubne dziecko miała nazwisko po matce. Gdyby jej ojciec – Jan – ją uznał, nazywałyby się Rutynowska. Rodzina Gryżów podobno przyjechała tu z Francji, ale to była polska rodzina. Bardzo liczna, rozrzucona po całym kraju. Jedna z gałęzi osiedliła się w Warszawie. Było tam sporo malow-

niczych postaci, ale nie zdążyłam się o nie dopytać, wszystkiego dowiedzieć. Gdy byłam młodą dziewczyną, mało mnie to interesowało, teraz żałuję. O niektórych coś wiem, ale to wiedza szczątkowa. Brat cioci Stasi, wujek Kazimierz Gryż, był w AK. Ich mama, Karolina Gryż, podczas Powstania Warszawskiego zgłosiła się do pracy w szpitalu jako salowa, żeby pomagać powstańcom. Po wojnie już została w tym zawodzie. Jej córka, moja ciocia Stasia, w czasie powstania miała 18 lat i pracowała w powstańczej kuchni polowej, a wcześniej – siedziała na Pawiaku. Tylko tyle wiem. Warszawska część rodziny nie była zamożna, nie posiadali wielkich majątków. To była rodzina rzemieślników: stolarzy, piekarzy, właściciele małych warsztatów, w których zarabiali na życie swoich rodzin. Może wyjątek stanowił wujek Staś, który był klasycznym hazardzistą. Grał na wyścigach na Służewcu i często wygrywał, zawsze miał przy sobie dużo pieniędzy. Jego żona Maria nigdy nie pracowała, a córka Hanna skończyła medycynę i została lekarzem. Nie znałyśmy się – do czasu. Kiedy zachorowałam w 1976 roku na nowotwór, byłam operowana i po operacji pojawiły się komplikacje. Trafiłam pod opiekę doktor Hanny Biskupskiej. Uratowała mi życie – szybką diagnozą i w porę zastosowanym leczeniem. Nie miałam pojęcia, że jest moją kuzynką. Niezwykły zbieg okoliczności. Ona wiedziała, kim jestem, i dopiero później, gdy wychodziłam ze szpitala, powiedziała mi, że jest córką wujka Stasia Gryża. Jerzy, który nigdy nie wierzył w przypadki, był po prostu zachwycony tą historią. Niestety, moja kuzynka, doktor Hanna Biskupska-Gryż, młodo zmarła. Już minęło ponad dwadzieścia lat od jej śmierci. Wiem, że

nigdy nie powinnam zapomnieć, że zawdzięczam jej życie, a jednak tak rzadko wracam myślą do tych wspomnień...

Jak przeżyłyście z mamą powstanie?

Mama była w Warszawie przez pierwsze dziesięć dni powstania. Później Niemcy zaczęli wyrzucać z miasta ludność cywilną. Mama wyszła z domu w letniej żorżetowej sukience, w butach na korku. Miała dla mnie dwie pieluchy i jeden kocyk. Niosła mnie na rękach i szła razem z ciotką Henią, młodszą siostrą ojca, w kolumnie ludzi idących do przejściowego obozu w Pruszkowie. Gdy mama dowiedziała się, że będą wywozić ludzi z Pruszkowa do innych obozów, postanowiła stamtąd uciec. W ucieczce pomogli mamie i ciotce ludzie z miejscowego podziemia, którzy ratowali w pierwszej kolejności matki z dziećmi. Razem z ciotką Henią trafiły do kościoła w Pruszkowie-Żbikowie. Postanowiły mnie tam ochrzcić. Ojcem chrzestnym został jakiś przypadkowy mężczyzna imieniem Józef, nazwisko nieznane, z zawodu robotnik. Tak mam napisane w metryce. Mama później żartowała, że „jej córka ma ojca chrzestnego z łapanki”. Po ucieczce mieszkaliśmy we wsi Końskie u chłopa w stodole. Mama wspominała, że głodowałyśmy, a ja bardzo chorowałam. Sprowadzono do mnie wiejską uzdrowicielkę. Podobno szeptucha odprawiała nade mną jakieś magiczne rytuały. Witkami odpędzała złe duchy, mamrotała zaklęcia, naciągała mnie jak gumę i w końcu mnie uzdrowiła. Gorączka mi spadła, przestałam płakać, a już podejrzewali polio. Pojawił się też problem z prawym oczkiem, było zaczerwienione, nie wiadomo z jakiej przyczyny, czy to uraz mechaniczny

czy jakaś choroba. Dopiero po powrocie do Warszawy wojskowy lekarz stwierdził, że nie widzę na to oczko. Mama była w szoku. Bardzo przejęła się tym, że jej córka będzie już do końca życia widziała tylko na jedno oko. Nazywała mnie żartobliwie „inwalidką wojenną”. Myślę, że martwiła się tym bardziej niż ja. Jakoś do mnie nie docierało, że jestem jednooczną. Do dziś często o tym po prostu zapominam, chyba że spojrzę w lusterko.

Kiedy wróciliście do Warszawy? W 1945?

Mama wróciła ze mną w lutym 1945 roku i przypadkiem spotkała na gruzach Stanisławę Skibowską, przybraną matkę Mariana. W miejscu naszego domu na Mariensztacie, na ulicy Sowiej, był lej po bombie. Mama szukała jakiegokolwiek mieszkania w domu, który nie miałby dziury w dachu i gdzie można by napalić w piecu – takie były wówczas kryteria. Musiała myśleć o chorowitym rocznym dziecku. Ja przecież bardzo chorowałam przez ostatnie pół roku tułaczki. Gdy mama spotkała w ruinach Warszawy Stanisławę, postanowiły połączyć siły i zamieszkać razem. Stanisława miała w torebce tylko kilka zdjęć i trochę złotych drobiazgów: łańcuszek, krzyżyk, parę kolczyków. Ubranie – tylko to, co na sobie. To był cały dobytek. Też szukała dachu nad głową. Znalazły mieszkanie na Bednarskiej, w którym później spędziłam całe dzieciństwo i młodość. Podzieliły się rolami: Stanisława została moją przybraną babcią, prowadziła dom, gotowała, opiekowała się mną, a moja mama pracowała i zarabiała na nasze utrzymanie. Zresztą bardzo długo nie miałam świadomości, że babcia

Stasia jest babcią przyszywaną. Dopiero jak byłam w podstawówce, dowiedziałam się, że to nie jest moja rodzona babcia, tylko serdeczna przyjaciółka prawdziwej babci. Wtedy też usłyszałam pierwszy raz o babci Mariannie. Troszeczkę, kilka szczegółów, nie wszystko. Można sobie wyobrazić, jaka byłam zdziwiona.

A kiedy wrócił ojciec?

W 1947 roku. Miałam wtedy trzy latka. Był już uzależniony od alkoholu. Mieszkał z nami na Bednarskiej tylko rok. Mama przeczytała książkę o alkoholizmie autorstwa jakiegoś szwedzkiego znawcy tematu i już wtedy wiedziała, że to choroba. Wszyscy mówili: pijak, a ona jedna: alkoholik. Próbowwała przekonać babcię Stasię, że on pije nie dlatego, że jest niedobry, tylko dlatego, że jest chory. Jednak babcia Stasia zażądała kategorycznie, żeby ojciec wyprowadził się z domu. Postawiła mamie ultimatum: albo ona, albo Karol. Mama dokonała wyboru. Po licznych perturbacjach zapłaciła ojcu, by zgodził się na rozwód. Pieniądze go w końcu przekonały, bo wcześniej nie chciał się z nią rozstać. Rozwiedli się w 1948 roku. Tłumaczyła mi to tak: „Nie miałam wyjścia. Ojciec nigdy by się tobą nie zaopiekował tak jak babcia. Ona była potrzebna mnie i tobie. Wybrałam nie według serca, ale według rozumu. Nie dałabym sobie rady bez babci. Babcia była nam niezbędna”. Ojciec zniknął z mojego życia, nie miałam z nim kontaktu przez wiele lat. Nie wiem, co robił, jak i gdzie żył.

Sześć lat po śmierci mamy odezwał się do mnie tylko raz, miałam wtedy 22 lata. W lipcu 1966 roku spotkaliśmy

się na skwerze Hoovera, na Krakowskim Przedmieściu. Siedziałam na ławce, podszedł do mnie jakiś obcy mężczyzna po pięćdziesiątce, podał mi rękę, przedstawił się i jakby nigdy nic zaproponował pójście do kina Kultura. Wyjął z kieszeni dwa bilety i powiedział: „Mamy blisko. To podobno dobry film. Pójdiesz ze mną?”. Wymówiłam się brakiem czasu. Usiadł obok mnie i próbował się tłumaczyć, mówił, że dużo jeździ po Polsce, że dawno nie był w Warszawie. Powiedział, że już od dawna nie pije. Nie zadawał mi żadnych pytań. Mówił o sobie, wspominał mamę. Nie powiedziałam mu, że wyszłam za męża i że ma rocznego wnuka Emilka. Po dwudziestu minutach pożegnałam go chłodno, bez emocji. Podałam mu rękę jak obcemu człowiekowi. Jednak spotkanie to odchorowałam. Byłam oburzona na ojca. Po tylu latach... A on: „chodźmy do kina!”. Rok później, w lipcu 1967 roku, umarł na zawał. Dostałam wiadomość o jego pogrzebie od siostry ojca, cioci Heni, mojej matki chrzestnej. Nie poszłam, bo dwa dni wcześniej, 22 lipca, wróciłam ze szpitala i byłam bardzo słaba. Leżałam w szpitalu ponad miesiąc, leczono mnie antybiotykami, miałam wielki guz na jajniku. Podejrzewano nowotwór. Na szczęście była to tylko cysta. Nie miałam pojęcia, że w tym samym szpitalu, na Solcu, na oddziale chorób wewnętrznych w tym samym czasie leczył się na serce mój ojciec i tam zmarł 16 lipca 1967 roku. Dowiedziałam się o tym przypadkiem wiele lat po jego śmierci, już po pogrzebie Emilka, gdy poszłam do administracji cmentarza Bródnowskiego, aby opłacić grób mamy i syna. Przy okazji ze zwykłej ciekawości zapytałam, czy ktoś opłaca

grób mojego ojca. Myślałam, że może ciocia Henia, która organizowała jego pogrzeb. Dowiedziałam się, że nikt nie opłaca i że ja, jako jedyna spadkobierczyni, mam ten obowiązek, bo inaczej grób zostanie zlikwidowany. I wtedy z aktu zgonu i z innych dokumentów dowiedziałam się o okolicznościach i miejscu śmierci mojego ojca. Oboje – córka i ojciec – nic nawzajem nie wiedząc o sobie, leżeli w lipcu 1967 roku w tym samym szpitalu! Znowu niesamowity zbieg okoliczności! Kolejny przypadek?

Od tamtej pory opiekuję się grobem ojca. To już 35 lat! Niestety, nikt nie przychodzi na jego grób, są tylko moje znicze i moje kwiaty. Właśnie w tym roku, w lipcu, minęło 50 lat od jego śmierci. Dziś, z perspektywy półwiecza, bardzo żałuję, że nie poszłam na pogrzeb ojca, mimo wszystko to był mój ojciec, chociaż nie miałam szans, żeby go poznać i pokochać. Żałuję też, że nie podjęłam próby nawiązania kontaktu z ciocią Henią, moją matką chrześną. Długo żyła. Na jej grób przypadkiem natknął się Jerzy, stąd wiem, że zmarła w 2011 roku w wieku 91 lat. Jest pochowana razem ze swoją matką Albiną i swoim mężem Sylwestrem Kalinowskim. Mam nadzieję, że nadal żyją jej dwie córki, moje cioteczne siostry, które nigdy nie próbowały się ze mną skontaktować, ani ja z nimi. Moje sieroctwo jest więc trochę jakby z własnej woli. Widocznie wolałam czuć się sierotą, niż narzucać się rodzinie ojca. Ale czy na pewno miałam rację? Inaczej się myśli i postępuje w młodym wieku, a inaczej, kiedy się ma już siódmy krzyżyk... Moje życie uczyło mnie pokory, ale widać przeżyła sieroca duma...

Wychowywałaś się w domu kobiet. Jak się układało między mamą a babcią Stasią?

Różnie. Zaczniemy od tego, że babcia była osobą głęboko wierzącą, mama nie, więc babcia próbowała mamę nawracać. A mama ostatni raz była u komunii na własnym ślubie, później już nigdy. Była wierzącą niepraktykującą, jak to się dzisiaj mówi. Mama miała potrzebę życia duchowego. Pamiętam jej lektury. Mówiła, że wierzy w Boga jako Absolut, w Najwyższego Ducha, który stworzył świat. Nie akceptowała nauk Kościoła ani katechizmu. A ja w domu byłam między młotem a kowadłem. Babcia urządzała święta, robiła zakupy, sprzątała, a przede wszystkim opiekowała się małą Krysią. Mama zarabiała pieniądze. Takie miały role w naszej małej rodzinie. Jak się układały relacje między nimi? Kochały się i nienawidziły. W ostatnich latach życia mamy i babci, a miałam wtedy trzynaście, czternaście lat, stałam się domowym mediatorem. Babcia miała cały czas żal i pretensje do mamy, a mama do babci. Nie było kłótni ani awantur, ale ja byłam osobą, której się obie zwierzały. Wysłuchiwałam ich wersji. Mama nigdy nie rozmawiała ze mną o tym w domu. Zabierała mnie do kawiarni i wtedy opowiadała, co babcia wyprawia. A jak mama była w pracy, a ja wracałam ze szkoły, to babcia chętnie przedstawiała swoje opinie o mamie. To mnie nauczyło takiej postawy, żeby za wszelką cenę je godzić i tłumaczyć nawzajem. Strasznie chciałam, by w domu panował spokój i żeby one się kochały. Nieświadoma swojej roli, bawiłam się w klasycznego dyplomatę mediatora. Mimo woli stałam się nie-szczera. Chciałam tak przedstawić mamę, żeby podnieść jej

wartość w oczach babci i zataić, co mama naprawdę myśli i czuje. I odwrotnie. Nigdy nie powtarzałam, co jedna mówi o drugiej i na drugą. Nauczyły mnie kłamać. Spędziłam dzieciństwo w dużym zakłamaniu. W pewnym momencie to do mnie dotarło, że ja okłamuję je obie. Gdy pewnego razu próbowałam im uświadomić, że powinny sobie nawzajem wybaczyć, zrozumieć różnice, uszanować i zaakceptować to, jaka jest druga i jak się zachowuje, to oberwałam od nich obu. Miałam nauczkę, że nie można mówić im prawdy. Babcia nazwała mnie „faryzeuszem”, potem to wielokrotnie powtarzała – nie mogłam jej tego wybaczyć. A mama też powiedziała o mnie coś, co bynajmniej nie było komplementem: „Ty, Krystyno, to jesteś taka mała dyplomatką”. I to było według niej coś mocno nagannego. „Dyplomata” to był ktoś, kto zawodowo kłamie, do tego we własnym interesie. Mama uważała, że ja we własnym interesie okłamuję ją lub babcię. Faktem jest, że bardzo mi zależało, żeby one się kochały i żyły w zgodzie. To prawda, robiłam to dla siebie.

Mama i babcia stanowiły dwa różne światy. Bardzo wczesnie to rozpoznałam. Obie miały inne skale wartości. Mama była samoukiem, który się kształcił całe życie. Dużo czytała, interesowała się literaturą, filmem, teatrem, muzyką operową. Z mamą chodziłam w dzieciństwie do opery, chociaż zupełnie w tym nie gustowałam i bywałam tam niechętnie. Pamiętam, że podobała mi się tylko *Carmen*. Natomiast dzieliłam zainteresowania mamy literaturą i kinem. Po wojnie mama porzuciła swoją wielką pasję: haftowanie. To był chyba jakiś uraz. Przed wojną miała w szafie cały stos wartościowych, pięknie haftowanych tkanin. Obrusy,

bielizna pościelowa, różne makatki, szarfy. W dom trafiła bomba i wszystko przepadło, nie tylko te jej hafty, ale najbardziej było jej żal tych wyszywanych rzeczy. Nie wróciła już do tego, przestała się tym zajmować.

Babcia zachowała parę drobiazgów z przedwojennego życia, m.in. zdjęcia, nie wiem, jakim cudem jej się to udało. Uciekła z transportu do obozu, na stacji pociąg zwolnił, wyskoczyła z wagonu i złamała nogę. Mimo bólu dalej biegła. Przetrwiała wojnę na wsi. Złamanie źle się zrosło, do końca życia kuląła, chodziła o lasce. Gdy zmarła, miała 73 lata. Wychowywała mnie przez piętnaście lat. Moja mama urodziła mnie późno, miała 33 lata. Koleżanki w szkole mówiły, że mam starą matkę. Na wywiadówkach w podstawówce była najstarszą mamą, wszystkie były młodsze o mniej więcej dziesięć lat. Tłumaczyła mi, że długo nie mogła zajść w ciążę. Staralam się to rozumieć, choć byłam jeszcze dzieckiem, ale mama zawsze traktowała mnie tak, jakbym miała co najmniej pięć lat więcej. I zawsze zwracała się do mnie: „Krystyno”, nigdy nie zdrobniła mojego imienia. Tylko babcia mówiła do mnie: „Krysiu”. Gdy raz zapytałam mamę, dlaczego zawsze jestem dla niej „Krystyną”, nigdy „Krysią”, wyjaśniła mi pół żartem, pół serio, że otrzymałam to imię na cześć szwedzkiej królowej Krystyny, którą w przedwojennym filmie grała słynna amerykańska aktorka Greta Garbo. A była to tak monumentalna królowa w wykonaniu tej aktorki, że nikomu by nie przyszło do głowy nazwać ją Krysią. „Krystyna to królowa, a Krysią to dzieciak. A ty przecież nie jesteś już dzieckiem”, powiedziała mama do dwunastolatki, całkiem poważnie. Gdy chciała iść

ze mną na film od osiemnastu lat, malowała mi usta swoją szminką, dawała mi swoje czółenka na obcasach i nylonowe pończochy ze szwem, na głowę zakładała mi swój kapelusz i tak przebraną prowadziła mnie na filmy z Giną Lollobrigidą i Sofią Loren. Bardzo ją to bawiło i nie widziała w tym nic złego. Za to babcia zawsze była oburzona tą maskaradą. Uważała, że mama mnie demoralizuje i że to „prędzej czy później na pewno źle się skończy”.

Myślę, że mama była osobą z niespełnionymi życiowymi ambicjami i zmarnowanymi talentami artystycznymi. Bardzo żałowała, że nie skończyła studiów, że nie mogła się uczyć. Dlatego gdy umierała, powtarzała mi: „Krzystyno, pamiętaj, najpierw matura, a potem koniecznie studia. Przynajmniej bądź nauczycielką. Skończ takie studia, które ci dadzą możliwość uczenia w szkole. Będziesz mogła zarobić na siebie, będziesz mieć jakiś status”. Nie mówiła mi, że mam iść na prawo czy na medycynę, uważała, że powinnam skończyć jakieś studia filologiczne.

Gdzie mama pracowała po wojnie?

W Warszawskich Zakładach Gastronomicznych. Pracowała w kawiarniach, była barmanką i czasami, na zastępstwie, kelnerką. Działała też w związku zawodowym. W Centralnej Radzie Związków Zawodowych na Nowym Zjeździe koniecznie chcieli ją zatrudnić jako urzędniczkę. Pamiętam burzliwą rozmowę w domu na ten temat, bo moja babcia, wdowa po przedwojennym naczelniku więzienia, bardzo się wstydziła, że mama pracuje jako kawiarka czy barmanka. To był dla niej wielki dyshonor. Uważała, że mamę stać na

pracę w urzędzie. Powinna być urzędniczką. A mama jej przedstawiała rachunek: tu goła urzędnicza pensja, a tu pensja kawiarki w kawiarni U Fukiera, w Krokodylu czy Kamiennych Schodkach, bo właśnie w tych znanych kawiarniach na Starym Mieście pracowała. Później w Bombonierce na Nowym Mieście. Po wojnie zaczęła pracę w prywatnej cukierni Jana Gajewskiego na Marszałkowskiej, róg Wspólnej. To była pierwsza cukiernia w ruinach Warszawy, otwarta już w 1946 roku. Mamę przyjął tam do pracy pan Gajewski, który był znajomym przyjaciółki jej matki Marianny. I mama już została w tej branży. Przez przypadek, z konieczności i dla chleba. Dziecko potrzebowało mleka i leczenia. Chorowałam przez rok, byłam w bardzo złym stanie, mało nie umarłam. Trzeba było leczyć moje oko. Lekarz wojskowy podejrzewał gruźlicę oka, kazał pić dużo mleka, śmietany, jeść masło. A gdzie mama mogła to dostać w 1946 roku? Z pensji u pana Gajewskiego mamie i babci podobno całkiem dobrze się żyło. Mama pomagała też wtedy naszym sąsiadom. Przynosiła im ciastka, kawę, cukier. Po latach wspominali, ile pomocy od niej otrzymali. Później nie chciała zmieniać branży, nie chciała pracować jako urzędniczka za 1200 złotych.

We wszystkich lokalach gastronomicznych, w których pracowała, zawsze była przewodniczącą związku zawodowego i zawsze broniła praw pracowniczych, z czego była znana w jej środowisku zawodowym. Nawet dostała jakieś odznaczenie od CRZZ, czyli głównej centrali związków zawodowych, jakiś peerelowski medal. Nigdy się nim nie chwaliła i w końcu gdzieś przepadł. Politycznie była bar-

dzo wyedukowana. Nienawidziła komunistów, nienawidziła PZPR, wiedziała o Katyniu i o żołnierzach walczących w latach czterdziestych z nową władzą. Podobno w rodzinie Gryżów ukrywano jednego takiego żołnierza, niedobitka z jakiegoś leśnego oddziału. Znała sytuację tych, którzy się nie poddali i walczyli do początku lat pięćdziesiątych.

Ostatnim miejscem, gdzie pracowała mama, była kawiarnia Roksana w Alejach Jerozolimskich, naprzeciwko Domu Towarowego Smyk. Ta kawiarnia to było podejrzane, dziwne miejsce. Przychodzili tam bardzo bogaci klienci i gangsterzy. Mama podjęła tam pracę w momencie, gdy już była chora na raka piersi. Miała szczęście w nieszczęściu, bo trafiła na bardzo przyzwoitą kierowniczkę kawiarni, panią Henrykę Petrykę – nie wiem, czy nie przekręcam nazwiska – która troskliwie się nią opiekowała, a potem i mnie bardzo pomogła, gdy mama umarła. To dzięki niej zmieniłam liceum z wieczorowego na昼ienne. Tylko dalsza nauka dawała mi prawo do otrzymywania renty po mamie. Nie musiałam iść do pracy w wieku 16 lat, tak jak kiedyś moja mama.

Kiedy mama zachorowała?

W kwietniu 1959 roku usłyszała, że ma guza piersi. Babcia, gdy się dowiedziała, że mama jest chora, miała dwa wylewy. Ze strachu. Była przekonana, że mama umrze pierwsza i zostanie ze mną sama. A miała tylko, po wieloletnich staraniach mojej mamy, symboliczną rentę po mężu, sanacyjnym pracowniku służby więziennej. Przyznano jej 300 złotych. Wiedziała, że nie damy rady za to przeżyć. Latem miała pierwszy wylew, a we wrześniu drugi. To był dramatyczny

dla mnie rok. Miałam 15 lat. Babcia po pierwszym wylewie miała już zaawansowaną demencję. Pojawiły się urojenia. Zaczęła się bać mamy. Raz nawet uciekła z domu do swojej znajomej w Łomiankach. Mama odnalazła ją tam i przywiozła do domu taksówką. A to był wówczas duży wydatek! Babcia mówiła, że będę musiała wziąć ją na utrzymanie, bo ona już nie może pracować, jest chora.

Ten czas od kwietnia do września, do śmierci babci, wspominam jako koszmar. To, że jakoś skończyłam tę dziewiątą klasę, zawdzięczam przyjaciółce Bożence i nauczycielom. Babcia miała drugi wylew 29 września, sąsiedzi wezwali pogotowie. Mnie i mamy nie było w domu, poszliśmy do kina Iluzjon na francuski film *Trucicielka*. Bardzo często chodziliśmy razem do kina. Pamiętam, że wracając, rozmawialiśmy o tym filmie, był bardzo dobry. Pod naszą bramą na Bednarskiej zobaczyliśmy karetkę. Mama się przestraszyła: „Czy to nie do naszej babci?”. I rzeczywiście. Gdy weszliśmy, babcia już nie żyła. Udar był tak silny, że lekarz nie zdołał jej uratować, po wylewie żyła tylko godzinę. Kupiliśmy trumnę, która stała potem na środku pokoju przez dwa dni. Musiałyśmy same umyć ciało i przygotować je do pogrzebu. I to był mój pierwszy kontakt z ciałem martwego człowieka. Podejrzewam, że wtedy nabrałam jakiejś odporności, a może w ogóle zostałam znieczulona? Od tamtej pory nigdy nie bałam się zmarłych. Nic, co miało związek z martwym człowiekiem, nie było mnie w stanie przestraszyć. Później umierali przy mnie ludzie, a ja często byłam jedyną osobą, która się nie bała. Od razu się modliłam i pomagałam, jak mogłam. W czasie mojego pobytu w kilku

szpitalach umarły przy mnie trzy osoby, które trzymałam za rękę. Myślę, że byłam jakoś przez życie, przez te losowe wypadki przygotowana na to, co mi po latach pokazano w kostnicy na Oczki – zmasakrowane ciało syna.

Nie płakałam na pogrzebie babci, pamiętam, że kondukt żałobny szedł z trumną z domu, z ulicy Bednarskiej, Krakowskim Przedmieściem, przez plac Zamkowy, aż do katedry św. Jana Chrzciciela na Starym Mieście, gdzie była nasza parafia. W kościele zauważyłam, że mama płacze. Pierwszy raz w życiu. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby mama płakała. Tak mną wstrząsnął ten widok, że dopiero wtedy zaczęłam płakać, z powodu mamy. Przez wiele miesięcy nie docierało do mnie, że mama jest śmiertelnie chora, długo nie miałam tej świadomości. Dopiero gdy po pogrzebie babci, w październiku 1959 roku, mama trafiła do szpitala przy ulicy Wawelskiej, rozmawiał ze mną pan ordynator, profesor Górski. Powiedział mi otwarcie, że mama z tego nie wyjdzie. Umrze, to tylko kwestia czasu. Twierdził, że właściwie już powinna nie żyć z powodu przerzutów. Choroba rozwinęła się błyskawicznie. Po naświetlaniach miała na prawej piersi wielką żywą ranę, chodziła zabandażowana. Naświetlania przepaliły jej płuco. Przerzuty były na drugie płuco, do kości i do mózgu. Czwarty stopień raka. Mama strasznie cierpiała, miała bóle, brała morfinę. Od listopada do stycznia właściwie wcale nie przychodziłam do szkoły. Gdy leżała w szpitalu, miałam tam całodzienną przepustkę. Zajmowałam się czymś, co dzisiaj nazywa się wolontariatem: przychodziłam codziennie o dziewiątej rano, wkładałam biały fartuch, wykonywałam różne konieczne

prace nie tylko przy mamie i w jej sali, gdzie stało osiem łóżek, ale też w salach sąsiednich. Wychodziłam o dziewiątej wieczorem. Byłam kimś w rodzaju salowej lub pielęgniarki, przynosiłam basen, ścieliłam łóżka, myłam chorych, robiłam im herbatę. Ciągle miałam zajęcie. Ciocia Stasia opowiadała mi o swojej matce Karolinie, która w czasie powstania z oddaniem opiekowała się rannymi w szpitalu polowym. To był kolejny mit rodzinny: poświęcenie babci Karoliny. Znałam babcię Karolinę, miałam taki wzorzec i spokojnie identyfikowałam się z nim w innych realiach. Pomagałam kobietom umierającym na raka. Dopiero później do mnie dotarło, że lekarze i pielęgniarki z oddziału byli mną zachwyceni, podobno to się zdarzyło pierwszy raz, że ktoś taki się pojawił i z takim zaangażowaniem pomagał chorym. A ja nie miałam świadomości, że się poświęcam czy robię jakąś rzecz nadzwyczajną. Byłam tam dla mamy, ale też do dyspozycji wszystkich. Miałam wtedy z mamą kilka poważnych rozmów, bo bardzo świadomie umierała. W grudniu poddano ją operacji wycięcia nadnerczy, w celu eksperymentu medycznego. Mama zgodziła się na bycie królikiem doświadczalnym, choć wiedziała, że ta operacja nie uratuje jej życia. Jajniki wycięli jej już wcześniej. Wtedy podejrzewano, że hormony produkowane przez jajniki, nadnercza i przysadkę mózgową mają wpływ na rozwój raka. Operacja odbyła się 31 grudnia 1959 roku rano, w sylwestra. Siedziałam w szpitalu do jedenastej wieczorem. Pamiętam, że wracałam tramwajem do domu. Na ulicy i w tramwaju widziałam wesołych, roześmianych ludzi z balonikami, jadących na zabawę. Ulice były pełne ludzi. Tuż przed północą

przyjechałam do pustego domu. Zaprosiła mnie do siebie sąsiadka, która miała czterech synów. Posadziła mnie przy stole, nakarmiła, a jej synowie dali mi wódki. To była moja pierwsza wypita w życiu wódka. Wypiłam parę kieliszków i się upiłam. Nie wiedziałam, co było dalej, obudziłam się rano z potwornym kacem. Zaczęłam płakać, że mama już pewnie nie żyje, bo gdy wychodziłam ze szpitala, była nadal nieprzytomna, pod tlenem. Pamiętam taką wielką zardzewiałą, niepomalowaną butlę z tlenem przy łóżku, taką, jaką widuje się na budowie. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Ten tlen bardzo szumiał, trzeba było głośno mówić, żeby druga osoba mogła coś słyszeć przez ten szum.

Mama jeszcze nie umarła tego dnia, nie w Nowy Rok. A wiesz, co było w tym wszystkim tragicomiczne? Siostra mojego ojca, ciocia Henia, moja matka chrzestna, namawiała mamę na spowiedź, przyjęcie komunii i ostatniego namaszczenia. Mama się wahała, bo od lat nie była u spowiedzi ani komunii, ale ksiądz powiedział, że mu to nie przeszkadza, ważne, czy ona teraz tego chce. Ja zaczęłam wtedy strasznie płakać, pierwszy raz przy mamie się rozryczałam. Zrozumiałam, że ona naprawdę wkrótce umrze. Ciocia Henia wyprowadziła mnie z sali. Prosiła mnie ze łzami w oczach, bym użyła całego swojego autorytetu i namówiła mamę na spowiedź. A ja na to, że mama wierzy w Absolut. Krzyczałam o tym Absolutcie na cały korytarz, a ciocia na to: „Dobrze, to niech powie księdzu o Absolutcie”. Ciocia Henia zorganizowała moją Pierwszą Komunię, bo ja nie byłam u komunii razem z klasą – przebywałam wtedy w sanatorium. Do Pierwszej Komunii przystąpiłam później, w koś-

ciele św. Krzyża. Przygotowywał mnie wspaniały ksiądz Stefan Niedzielak¹. Chyba wtedy był tam już proboszczem, a może tylko zwykłym księdzem. Tę indywidualną Pierwszą Komunię zawdzięczałam właśnie cioci Heni, to był 1953 albo 1954 rok.

Ciocia Henia była uparta, więc poszłam taka zapłakana do mamy i poprosiłam, żeby przystąpiła do tych sakramentów ze względu na zmarłą babcię, żeby zrobiła to dla niej. „Co ci zależy? Najwyżej nie dostaniesz rozgrzeszenia”, powiedziała mamie. Mama się zgodziła. Nie wyszłam z sali, na każdym z ośmiu łóżek leżała chora, szumiał tlen, więc spowiedź musiała być głośna, niemal jak powszechna. Stałam przodem do umywalki, odwrócona tyłem do mamy, ale w lustrze wszystko widziałam. Mama zaczęła głośno mówić, żeby przekrzyczeć szum butli tlenowej. Zaczęła podawać fakty z życia, ksiądz jej przerwał, powiedział, że już je zna, wie od jej szwagierki. Potem przywołał pielęgniarkę, kazał zakręcić tlen i reszta spowiedzi odbyła się już szeptem do ucha. Usłyszałam tylko pytanie, czy mama jest komunistką. Odpowiedziała, że nie. Stałam i płakałam cicho do lustra. To był drugi raz, kiedy płakałam. Widziałam, jak po spowiedzi mama przyjmuje komunię. A potem

¹ Ksiądz Stefan Niedzielak był później proboszczem parafii św. Karola Boromeusza na warszawskich Powązkach (w latach 1956–1961 i ponownie od 1977 r.), inicjatorem wzniesienia Krzyża Katyńskiego na Cmentarzu Wojskowym w 1981 r. Zabiegał o ujawnienie prawdy o Katyniu. Został zamordowany przez „nieznanych sprawców” w swojej plebanii na Powązkach w styczniu 1989 r. Stwierdzono szereg zewnętrznych obrażeń twarzy i głowy oraz złamanie kręgosłupa szyjnego, mimo to wykluczono morderstwo. Początkowo przyjęto wersję o upadku z fotela. Sprawę umorzono w latach dziewięćdziesiątych z powodu niewykrycia sprawców.

ksiądz zajrzał do torby i powiedział, że zapomniał olejków do ostatniego namaszczenia. „Przyjdę jutro rano o szóstej”, obiecał. Mama na to: „Niech się ksiądz nie fatyguje. Mnie już nie będzie na tym świecie”. Pomyślałam, że gada bzdury, dlaczego ma jutro rano nie żyć, skoro dziś wieczorem żyje. Zmarła o 4.00 nad ranem. Był 18 stycznia 1960 roku, trzy miesiące po śmierci babci. Dowiedziałam się, że mama odeszła, już o 6.00. Przywiozła mi tę wiadomość pani Zosia Kędzia, koleżanka mamy z pracy, barmanka, która jako jedyna miała w domu telefon. Zadzwonili do niej ze szpitala, a ona od razu przyjechała do mnie taksówką. Wtedy rozplakałam się po raz trzeci w ciągu tych kilku miesięcy. Ryczałam i nie mogłam się uspokoić. Wpadłam w histerię, ale musiałam się w końcu opanować. Pani Zosia spokojnie tłumaczyła mi, jakie mam teraz obowiązki i że muszę odpowiadać sama za siebie. Wygłosiła mowę, która zrobiła na mnie wrażenie. Powiedziała: „Możesz na nas liczyć, ale przede wszystkim licz na siebie. Pamiętaj, że zostałam sama na tym świecie”. Nie wiadomo było, gdzie jest mój ojciec, więc nikt go nie powiadomił. Mama przed śmiercią mówiła o nim bardzo dobrze, w ciepłych słowach. Myślę, że chciała mnie pozytywnie nastawić, gdyby nagle zjawił się w moim życiu.

W krótkim czasie musiałaś zajmować się organizacją drugiego pogrzebu...

Uparłam się, że sama zaniosę ubranie dla mamy i że sama ją ubiorę. Gdy pokazano mi ciało mamy w prosektorium, było już po sekcji, całe pozszywane wzdłuż i już umyte. Przyszłam

nie tylko z ubraniem, ale i z kosmetykami. Uczesałam mamę i umalowałam. Pracownicy chyba uznali mnie za wariatkę. Mama bardzo dbała o siebie, zrobiłam więc wszystko tak, jak lubiła. Zawsze pracowała wśród ludzi i bardzo dbała o wygląd. Co dwa tygodnie chodziła do fryzjera, robiła manikiur, codziennie rano się malowała. Nie miała wielkiej urody, ale była elegancka i zadbana. Była brunetką. Mogła się podobać. Koleżanki mówiły o mojej mamie: przystojna. Uczyła mnie, że należy dbać o strój i codziennie robić delikatny makijaż. Ja jednak byłam pod wpływem babci, która mówiła: „Zobacz, jakie piękne są zakonnice, a mają tylko mydło i wodę”. Mama poza mydłem i wodą używała jeszcze szminek, pudru, tuszu i ołówka do powiek. Włosy czesała dobre piętnaście minut, szczotkowała, układała i układała. Tak jak już mówiłam, babcia i mama to były dwa różne światy. Gdy przyszłam wtedy z tymi kosmetykami do pro-sektorium, to człowiek, który tam pracował, uciekł i poszedł na mnie naskarżyć, że przyszła córka i maluje matkę. Tak mi później powtórzyły pielęgniarki. W tamtym czasie jeszcze otwierano trumnę podczas pogrzebu. Mama w trumnie wyglądała bardzo ładnie. Miałam w tym swój udział. Zmarła w wieku 48 lat, wyglądała na 40. Samym pogrzebem zajęły się przyjaciółki mamy: pani Henryka, kierowniczka kawiarni Roksana, i pani Zosia, barmanka, o których już wspomniałam. Bardzo pomagały mamie w czasie choroby. Pamiętam, że dostałam od pani Henryki pieniądze, żebym jeździła taksówkami i załatwiała różne urzędowe sprawy związane z pogrzebem. Pierwszy raz jeździłam wtedy taksówką po Warszawie.

Pamiętam, że na pierwszą Wielkanoc po śmierci mamy zaprosiła mnie do siebie ciocia Henia. Mieszkała w Alejach Jerozolimskich w kołchozowym mieszkaniu w secesyjnej kamienicy, która przetrwała wojnę. W tym domu znajdowała się znana warszawska restauracja Kopciuszek. Powiedziałam wtedy cioci, że chcę utrzymać rentę po mamie, którą błyskawicznie załatwiła mi pani Petryka. Chcę się uczyć i w planach mam studia. Ciotka oniemiała, a potem oznajmiła, że na pewno sobie nie poradzę, nie utrzymam mieszkania i siebie. Muszę mieć opiekuna prawnego, ale ona nie może się tego podjąć, bo dopiero wyszła za męża, ma małe dziecko i musi zadbać o własną rodzinę. Muszę iść do pracy albo mam drugą możliwość: ona załatwi mi miejsce w szkole siostr niepokalanek w Szymanowie, zakonnice się mną zaopiekują. Jak to usłyszałam, odezwał się we mnie głos mamy. Nie ma mowy! Żadne siostry niepokalanki w Szymanowie! Powiedziałam cioci Heni, żeby w takim razie zajęła się swoją rodziną, a o mnie zapomniała, tak jak ojciec o mnie zapomniał. „Dziękuję cioci za wszystko, do widzenia”, zakończyłam i wyszłam. Wiesz, że ona potraktowała moje słowa poważnie? Nie przyszła do mnie ani razu. Nie interesowała się moim losem. Pojawiła się dopiero siedem lat później – przyniosła mi kartkę z wiadomością o pogrzebie mojego ojca. Nie zastała mnie w domu, więc zostawiła kartkę u sąsiadki. Dwa dni później, już ci o tym mówiłam, wyszłam ze szpitala, kartkę przeczytałam, ani jednej łzy nie uroniłam i na pogrzeb ojca nie poszłam. Dziś, gdy to wspominam, bardzo żałuję tej mojej ówczesnej zatwardziałości. Gdybym poszła na ten pogrzeb, może obie z ciocią Henią

miałybyśmy szansę sobie wybaczyć te siedem lat milczenia? I może bym odzyskała chociaż kawałek rodziny ojca?

Powiedziałaś na pogrzebie Jerzego, że miałaś w życiu trzy skarby. Jednym z nich był Emil, drugim mama, która odeszła tak wcześnie...

No i trzeci skarb – Jerzy, z którym byłam w życiu najdłużej, bo aż 48 lat. Z synem tylko 17 lat, ale z mamą najkrócej, bo tylko 16. Wiesz, ja z mamą miałam kumpelskie relacje, bardziej jak z bliską przyjaciółką niż jak matka z córką. Ona bardzo szybko zaczęła mnie traktować jak swoją dorosłą partnerkę w życiu. Nie chodziło tylko o to, że zabierała mnie na filmy dla dorosłych, a ja miałam czternaście czy piętnaście lat. Chodziłam z nią do kina od dwunastego roku życia. Wtedy wyglądałam na starszą, niż byłam w rzeczywistości. Babcia mówiła o mnie: „Krysia to taka stara malutka”. I chyba nie był to komplement. Mając szesnaście lat, mogłam spokojnie udawać osiemnastolatkę, zwłaszcza gdy się umalowałam. Gdy poznałam swojego przyszłego pierwszego męża, to on był przekonany, że jestem studentką, a ja miałam szesnaście i pół roku i uczyłam się w liceum.

Teraz, z perspektywy czasu, który upłynął od śmierci mamy, kiedy wspominam te kilkanaście lat przeżytych z nią, to nie tylko pamiętam te nasze wspólne wyprawy do kina, opery czy kawiarni, ale zupełnie inne obrazki pojawiają mi się przed oczyma. Mama siedzi przy stole i szyje sukienkę dla mnie. Uszyła mi śliczną sukienkę, której mi zazdrościły koleżanki w podstawówce. Druga scenka. Mama siedzi obok mnie, ja odrabiam lekcje, a ona ozdabia rysun-

kami mój zeszyt do religii, wkleja różne święte obrazki, a w zeszycie do biologii rysuje piękne kolorowe kwiaty, ogromne liście i długie na całą kartkę zielone łodygi. Moje zeszyty są zawsze oceniane na piątkę. Mama cierpliwie, godzinami uczy mnie kaligrafii. Mówi: „Powinnaś nie tylko mądrze, ale i ładnie pisać. Musisz mieć ambicję, aby twój charakter pisma był elegancki i dobrze o tobie świadczył”. Później w szkole nauczyciele ciągle mnie chwalili za pięknie wykaligrafowane wypracowania i czyściutko prowadzone zeszyty. Te wspomnienia powodują, że uświadamiam sobie, że miałam bardzo kochającą matkę, mimo że nigdy nie powiedziała, że mnie kocha, nigdy nie wzięta na kolana, nie pocałowała, nie przytuliła i zawsze mówiła: „Krystyno”...

Niestety, na kilka dni przed jej śmiercią zebrałam się na odwagę i zniemacka zapytałam, dlaczego mnie nigdy nie pieściła, tak jak inne matki to robią. Nie wiem, co mnie wtedy napadło. Dlaczego zadałam jej to pytanie. Gdy zobaczyłam, że płacze, zrobiło mi się strasznie głupio i zaczęłam ją przeproszać, a ona tylko wyszeptwała: „Wybacz, nie umiałam, mnie też nikt nie całował, gdy byłam dzieckiem, chyba nie wiem, jak to się robi...”. Zapamiętałam to sobie i już wówczas postanowiłam, że jeśli będę miała dziecko, to na pewno będę je całować i przytulać, a przecież też nie wiedziałam, jak to się robi. Na szczęście Emilek był dopieszczany, zresztą może nawet nie tyle przeze mnie, co przez babcię Gabrielę Barchańską i przez panią Irenę Pawłowską, która była bardzo czułą matką nie tylko dla swoich czworga dzieci, ale też dla małego Emilka. To naprawdę była kochająca go opiekunka. On ją też pokochał i dlatego mówił

o niej: „mama Irenka”, a ja wcale nie byłam o nią zazdrosna, bardzo się cieszyłam, że oni się pokochali. W końcu mój mały synek więcej godzin w ciągu dnia spędzał z nią niż ze mną. Moja mama miała dla mnie więcej czasu, bo pracowała w kawiarni co drugi dzień, ale za to od rana do nocy. W dni wolne od pracy uczyła mnie samodzielności i zaradności. Kazała pomagać babci w robieniu zakupów, w sprzątaniu mieszkania, a także w praniu i prasowaniu. Natomiast babcia mnie oszczędzała, mówiła mamie: „Daj spokój, Krysia jeszcze zdąży w życiu się narobić. Przecież to jeszcze dziecko!”. A mama na to: „Jakie dziecko?! To już duża pannica i powinna ci pomagać!”. Jak zwykle u nas w domu: „Golono, strzyżono”! (śmiech).

Jednak szybko stałaś się samodzielną, niezależną finansowo. Czy myślałaś o tym, że częściowo powtórzyłaś sposób życia mamy? Dużo pracowałaś i zarabiałaś na rodzinę.

Otrzymałam kiedyś dokładnie taką wróżbę. Mustafa, znany w Warszawie lat sześćdziesiątych jasnowidz, powiedział mi wprost: „Czeka panią los pani matki. Nigdy nie będzie pani miała wsparcia u żadnego mężczyzny. Proszę liczyć tylko na siebie bez względu na to, z kim pani będzie”. Sprawdziło się. Mój pierwszy mąż – Emil Franciszek Barchański – umiał zarabiać pieniądze, ale ja nie chciałam być na jego utrzymaniu na jego warunkach. A mój drugi mąż – Jerzy Wardęcki – nie był artystą życia jak mój ojciec, był prawdziwym artystą i próbował zarobić na życie prawdziwą sztuką, co różnie mu się udawało, więc o nasz byt rzeczywiście musiałam stale dbać ja.

JERZY. TATA EMILA. ARTYSTA MALARZ

„Každy zobaczy to, co moze i umie sobie wyobrazic”

Mówiłaś, że Jerzy był dla Emila jak ojciec. Wychował go, kochał. Mieli bardzo dobre relacje. Chcę cię zapytać o pewien szczegół. We wszystkich opracowaniach historycznych, jakie czytałam, jest napisane: „Emil, syn Jerzego”... Tak właśnie podawał Emil. Tak powiedział esbekom na przesłuchaniach i potem tak to zostało zapisane w aktach sądowych z 1982 roku i wszelkich dokumentach sporządzanych na ich podstawie, nawet w ostatnich miesiącach jego życia, a więc także w opracowaniach historyków. W dokumentach pisanych na podstawie metryki czy informacji podawanych przeze mnie, na przykład w akcie zgonu Emila, jest napisane: „syn Emila”. Jeśli gdzieś pojawia się „syn Jerzego”, to znaczy, że tak podał czy napisał Emil. To, że uważał Jerzego za ojca, było dla mojego męża wielkim wyróżnieniem, wspaniałym darem.

Jerzy o niego dbał. Opiekował się nim, gotował mu. Co Emil szczególnie lubił?

Emil był szczupły, ale miał wilczy apetyt. Uwielbiał tak zwane kanapki Taty. To były kanapki artystyczne, bardzo kolo-

rowe, nawet z surową marchewką, jeżeli trzeba było dodać czerwieni (uśmiech). Emil potrafił zjeść cały duży talerz tych kanapek. Jerzy cieszył się i mówił: „Zmiata jak odkurzacz”. Te kanapki naprawdę ślicznie wyglądały na talerzu, można je było jeść oczami.

Emil od małego kupował nam książki w prezencie na Gwiazdkę. Rewanżował się za książki, które od nas zawsze otrzymywał. Któregoś roku Jerzy jak zwykle dostał od niego książkę, ale w środku była własnoręcznie przez małego Emila zrobiona ozdobna zakładka z dedykacją: „Dla Taty Jerzego, który jest poeta wierszokleta, artysta kucharz i artysta malarz”. Jerzy był zachwycony tym prezentem. Przyjął to podsumowanie, to, kim jest, jak największą pochwałą, zwłaszcza ten artysta kucharz bardzo go ucieszył.

Chcę zapytać o artystę malarza. Skąd Jerzy wiedział, że ma talent? Urodził się w Gąbinie, małym miasteczku na Mazowszu, dzieciństwo i lata szkolne spędził w Węgorzewie na Mazurach. Nigdy nie uczył się w liceum plastycznym. Od dzieciństwa lubił rysować, malować. W szkole zawsze wykonywał rysunki do gazetek, robił oprawę plastyczną różnych imprez, scenografię na bale szkolne. Nawet malował i odnawiał figury świętych w kościele, na prośbę proboszcza. Miał uzdolnienia plastyczne, które zostały zauważone w szkole. Gdy uczył się w liceum w Węgorzewie, odkryła go pani profesor Danuta Szutkowska. Była malarką, absolwentką warszawskiej ASP, przyjaciółką Jana Cybisa. Zaproponowała mu prywatne lekcje rysunku, uczyła go za darmo. To ona go namówiła, żeby się kształcił w tym kierunku. Pomogła mu

przygotować teczkę prac na egzamin. Ani matka, ani ojciec nigdy by go nie posłali na żadne studia artystyczne, przeciwnie – zdawał na ASP wbrew ich woli. Niestety, nie dostał się na Akademię Sztuk Pięknych za pierwszym razem. Wrócił do Węgorzewa, gdzie mama załatwiła mu pracę w banku. Bardzo się tam wszystkim spodobał jako obiecujący młody bankowiec. Jednak profesor Szutkowska miała na niego większy wpływ niż rodzice. Nalegała, żeby w kolejnym roku przygotował nowe prace na egzamin wstępny i znowu spróbował zdać na ASP. Tym razem Jerzy się dostał na Wydział Malarstwa i Grafiki, ale złożył też papiery na drugi kierunek, na architekturę – poszedł na kompromis z ojcem. I na szczęście na architekturę się nie dostał. Mówił, że nie dałby sobie rady z matematyką. Nie był zbyt dobry z tego przedmiotu.

Profesor Szutkowską na zawsze zachował w pamięci, bo rzeczywiście wiele jej zawdzięczał. Dzwonił do niej, odwiedzał, gdy był na Mazurach, cały czas podtrzymywał z nią kontakt, parę lat temu jeszcze żyła, choć była już dobrze po dziewięćdziesiątce. W zeszłym roku, gdy kilkakrotnie dzwonił z życzeniami na Wielkanoc, nikt nie odbierał telefonu. Martwił się, że nie wie, jak się dowiedzieć, czy Danusia żyje. Od lat byli na ty.

W rodzinie Jerzego nie było tradycji artystycznych. Czym zajmowali się rodzice?

Ojciec pracował jako inkasent w elektrowni, ale zachorował na płuca (ciężka rozedma) i wcześniej przeszedł na rentę. Mama była ekspedientką. Ostatnio, dwa lata przed emeryturą, pracowała w sklepie obuwniczym, a wcześniej,

przez wiele lat, była zastępcą kierowniczką w dużym sklepie z ubraniami. Rodzice Jerzego mieli letni domek nad jeziorem Świącajty w Kalu. Tam prowadzili gospodarstwo agroturystyczne w sezonie letnim, od maja do września. Ojciec pobudował kilka drewnianych domków i wynajmowali je turystom, z tego głównie utrzymywała się cała pięcioosobowa rodzina, bo Jerzy miał jeszcze dwóch młodszych braci – Stanisława i Józefa.

A czym zajmowali się bracia Jerzego?

Stanisław też był uzdolniony plastycznie. Całe życie amatorsko malował pejzaże, krajobrazy, wnętrza. Jerzy chwalił obrazy brata i namawiał go na studia. Ale Stacho wcześniej się ożenił, już po roku został ojcem i musiał pracować, żeby utrzymać rodzinę. Najmłodszy brat, Józef, chciał być muzykiem. Dobrze grał na fortepianie. Często z Jerzym grywali na cztery ręce, bo Jerzy też grał na fortepianie, a także na okarynie i na harmonijce ustnej. Wszyscy trzej bracia byli uzdolnieni artystycznie – ku rozpaczy rodziców. Ojciec zmusił Józia, by studiował fizykę. Józio nie skończył studiów, zachorował na nerki, był dializowany. Zmarł bardzo młodo, miał 33 lata. Osierocił malutką córeczkę Anię, chrześnicę Jerzego. To był wielki dramat dla Jerzego, bo bardzo kochał tego najmłodszego brata. Drugi brat, Stacho, też zmarł przedwcześnie, na raka płuc, miał 48 lat. Osierocił troje dzieci.

Studia spełniły oczekiwania Jerzego?

Tak. To był inny, wielki świat. Jerzy przyjechał na studia do Warszawy z głębokiej prowincji, wcześniej nigdzie się nie

ruszał z Węgorzewa. Zamieszkał w centrum miasta, w Dziekance na Krakowskim Przedmieściu, na tak zwanym Królewskim Szlaku. Poznał mnóstwo kolegów, których pasjonowało to samo co jego: sztuka. Po zajęciach spotykali się w okolicznych kawiarniach, od Harendy do Starego Miasta. Wszyscy tworzyli. Przesiadawali U Hopfera, Pod Kominikiem, w Largactilu, urządzali tam wystawy. Jerzy podziwiał prace kolegów, byli wśród nich Jan Dobkowski „Dobson”, Jerzy Zieliński „Jurry”, Jerzy Świątkowski, Marek Kwaskiewicz, Marian Bogusz, Wiesław Sokołowski i wielu innych. Wspominał po latach, że te lokale przy Krakowskim Przedmieściu to był jeden wielki salon przekory i niezależności. Szkoła życia i artystyczny salon niezależnych. Wtedy Jerzy bardzo cenił twórczość Fangora i Cybisa. Podobało mu się też to, co robi Andy Warhol.

Jerzy studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w latach 1963–1971. Długo.

Przedłużył sobie studia, uciekał przed wojskiem, wziął urlop dziekański, wcześniej jeszcze pojechał na dwa lata do Francji, by tam studiować. Nie spieszył się ze zrobieniem dyplomu.

Jak wspominał studia we Francji?

Studiował w École Nationale Supérieure des Beaux-Arts w Paryżu w pracowni profesora Pierre’a Chastela. To były lata 1966–1967. Jerzego poznałam rok później. Ten wyjazd to było ciekawe doświadczenie w jego życiu, ale niełatwe. Myślał, że jakoś sobie tam poradzi finansowo, niestety, nie

mógł liczyć na pomoc rodziny, tylko na siebie. Ciężko pracował fizycznie, żeby się utrzymać: opłacić mieszkanie, jedzenie i studia. Pracował na budowie, wchodził na ósme piętro, dźwigając worki z cementem. Roznosił ulotki po całym Paryżu. Potem rysował jakieś kartki świąteczne. Był tam rok, potem wrócił i pojechał jeszcze na rok. Za drugim razem było już lepiej, bo poznał realia, miał grupę przyjaciół, również francuskich. Spotkał dziewczynę, Florence, o urodzie Sophii Loren. Miał z nią romans. Pochodziła z typowej francuskiej drobnomieszczańskiej rodziny, *petit bourgeois*. Jerzy mówił, że gdyby chciał, to mógłby z nią zostać. Prawdopodobnie skończyłoby się ślubem, ale na warunkach tej rodziny. Musiałby rzucić malarstwo, podjąć inne studia i ogólnie zmienić styl życia. Jerzy wtedy swoim wyglądem bardzo się wyróżniał, rzucał się w oczy. Miał blond włosy długie do ramion, bujną kasztanową brodę z rudawym połyskiem, był bardzo szczupły. Nosił sztruksy i bluzy, a oni woleliby kogoś w garniturze i krawacie. Nie nadawał się do takiej zmiany. No i w żadnym wypadku nie zrezygnowałby ze sztuki dla Florence ani dla żadnej innej kobiety, tak mi powiedział.

Bardzo dobrze wspominał pracownię profesora Chastela, opowiadał, jak dużo mu zawdzięcza. Niestety profesor wkrótce zmarł. Jerzy uważał, że brakowało mu szczęścia, bo wszyscy profesorowie, których cenił, którzy go uczyli i wspierali, szybko odchodzili: profesor Andrzej Jurkiewicz, profesor Aleksander Kobzdej – w ich pracowni zrobił dyplom, za który otrzymał wyróżnienie. Niestety, obrazy dyplomowe nie zachowały się, uległy zniszczeniu w Kalu, na Mazurach, gdzie Jerzy przez jakiś czas miał magazyn

swoich prac. Był ulubionym studentem profesora Kobzdeja, który wiele w niego inwestował i na pewno by go lansował. Niestety, zmarli obaj jego profesorowie, i Kobzdej, i Jurkiewicz, a Jerzy został bez mentorów, którzy by go prowadzili. Bardzo bolał nad tym, że tak szybko stracił mistrzów, którzy go uczyli, wierzyli w jego talent i dużo się po nim spodziewali. Mówił, że dzięki tym trzem profesorom uparł się, że będzie się zajmował czystą sztuką. Tak go ukształtowali, że chciał malować po swojemu, odkrywać własne przestrzenie, realizować własne wizje i pomysły. Już na studiach wymyślił, że będzie malował „koła życia”, „koła świetliste”. Koło fascynowało go jako ideał linearny. Mówił: „Kwadrat jest banalny, a koło to boski twór”.

Czy to pod wpływem buddyzmu?

Nie, buddyzmem zainteresował się dużo później. „Koła życia” zaczął malować w pracowni profesora Kobzdeja. Taki miał artystyczny pomysł na kontestowanie socrealizmu i realizmu, o którym mówił: „Drzewko w lewo, drzewko w prawo/dupka w lewo, dupka w prawo”. Oczywiście musiał na studiach obowiązkowo malować akty, wnętrza i pejzaże. W malowaniu pejzaży był naprawdę dobry. Profesor Kobzdej radził mu, że powinien obok jego oryginalnych „kół życia” malować pejzaże – tak jak Manet i Monet. Jerzy go posłuchał i malował oprócz kół wiele pejzaży. Najczęściej były to pastele lub rysunki węglem. Jednak nadal szukał swojej drogi, własnego stylu. Te „koła życia” to była jego wizytówka. Wiadomo było, że to dzieło Wardęckiego. Jak „koła życia” to Wardęcki. „Koła” malował też Wojciech

Fangor, ale tylko Jerzy wkręcał w nie żarówkę, nikt inny (śmiej). Koło z kolorową żarówką to był jego oryginalny pomysł – niepowtarzalny.

Jerzy mówił, że interesowało go działanie światła na kolor. Lubił eksperymentować ze światłem.

Dlatego jego koła mają całą płaszczyznę zamalowaną gąszczem splątanych, cienkich, kolorowych linii, które w zależności od tego, jakiego koloru żarówkę wkręci się w ich środek, zmieniają swoje kolory. Inaczej wygląda płaszczyzna koła z żółtą żarówką, a zupełnie inaczej z czerwoną. Kiedyś jakaś recenzentka jego pierwszej wystawy indywidualnej – zorganizowanej w 1972 roku w warszawskiej galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych – napisała w ówczesnym „Expressie Wieczornym”: „Koła Wardęckiego są bardzo dekoracyjne, mogłyby służyć jako ozdobne kinkiety wiszące nad łóżkiem”. Jerzy się wtedy wprost załamał. Nie mógł się pogodzić z takim utylitarnym odbiorem jego sztuki. Kinkiety! Też coś! Prawdziwa sztuka według niego powinna służyć wyłącznie celom niepraktycznym. Może wzbudzać emocje, wzruszać, zachwycać, ewentualnie zmuszać do głębszych refleksji, ale w żadnym wypadku nie może być ozdobną lampką nocną!

Po tej okropnej recenzji w „Expressie Wieczornym” Jerzy poddał swoje „światliste koła” pod osąd profesora Henryka Andersa, historyka i krytyka sztuki. Poprosił go o wstęp do katalogu swojej kolejnej wystawy. Pozwól, że przytoczę krótki fragment tego wstępu pióra Henryka Andersa, bo pamiętam, jak bardzo Jerzego ucieszyła i pod-

niosła na duchu taka interpretacja jego sztuki: „Koła, układy kół – figur idealnie regularnych – to powszechne i oczywiste symbole matematycznej, abstrakcyjnej doskonałości, kosmicznego ładu, pierwotnej, »wprzód ustanowionej« harmonii. [...] Przemysłanym efektem światła, wmontowanych w kompozycję, przeciwstawia się przewidywane, lecz nieuchwytnie działanie oświetlenia wnętrza. Podobnie jak w życiu: nie wiemy, co przyniesie nadchodząca chwila. Rytm świtów i zmierzchów jest wprawdzie stały, ale jasność południa i mrok nocy odsłaniają i zakrywają na przemian radości i troski, sukcesy i dramaty, doznania zwykle i niezwykle”. W tym samym katalogu Jerzy napisał w słowie od autora: „Prace moje, które nazwałem »światliste koła« lub »koła życia« prezentują odwieczną ideę konfliktu między jasnością a ciemnością, a w kategoriach metafizycznych: konfliktu między dobrem a złem. Forma linearnego impresjonizmu służy wydobyciu i ukazaniu wielości dróg, wyborów, decyzji chaotycznych lub harmonijnych. Kolor i kształt linii emanują swoją własną energią i oddziałują na wyobraźnię odbiorcy, wywołując jedyne, niepowtarzalne skojarzenia i wizje bardzo osobiste, bardzo indywidualne, każdy zobaczy to, co może i umie sobie wyobrazić”.

Jerzy na pewno mentalnie był urodzonym artystą. Sztuka była u niego na pierwszym miejscu. Lubił eksperymentować. Prezentował też taki artystyczny luz życiowy. Ci, co go nie lubili lub mieli do niego jakieś pretensje i chcieli go koniecznie zdyscyplinować, mówili o nim: „luzak”. W domyśle: jest nieodpowiedzialny, nie nadaje się na męża, ojca. Bardzo się mylili. To był bardzo krzywdzący, niesprawied-

liwy osąd. Mówię to z perspektywy czterdziestu ośmiu lat, które z nim przeżyłam. Całe życie szedł na kompromisy ze swoją pasją, którą była sztuka. Kochał to, co robił. Uwielbiał malować – nie dla kariery, nie dla sławy, nie po to, żeby mieć pieniądze, ale po prostu chciał to robić. Nie potrafił żyć bez malowania. A jak już nie mógł malować z powodu choroby – w wieku 55 lat ciężko zachorował na płuca, prawie rok leżał w szpitalu, a potem przez cztery lata był leczony domową tlenoterapią, oddychał tlenem, bo dusił się od zapachu farby, werniksów, terpentyny – to wtedy zaczął rysować kolorowymi kredkami na papierze swoje ukochane „koła życia”. Stworzył setki rysunków, wiele z nich sprzedał, a jeszcze więcej rozdał.

Pamiętasz jego pierwszą indywidualną wystawę?

Tak. To było w 1972 roku. Wystawa „Świetliste koła” w Galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. To po tej wystawie otrzymał tę okropną recenzję w „Expressie Wieczornym”. Każdej kolejnej wystawie towarzyszył duży stres, duży wysiłek organizacyjno-finansowy. Przyznam się, że ja odchorowywałam wszystkie jego wystawy. Być może podchodziłam do tego za bardzo ambicjonalnie. Wiązałam z wystawami zbyt duże nadzieje. Za każdym razem byłam rozczarowana, bo wydarzenie się odbyło, Jerzy sprzedał mniej lub więcej obrazów i nic z tego dalej nie wynikało. Nie zrobił się po kolejnych wystawach sławny, nie sypały się propozycje, nie miał zamówień. W domu był wieczny problem finansowy. Dopiero gdy się pobraliśmy, podjął się – pierwszy i ostatni raz w życiu – pracy etatowej.

Gdzie się zatrudnił?

Zaproponowano mu pracę w Centralnym Biurze Wzornictwa Przemysłowego na ulicy Świętojerskiej. Miał projektować torebki, guziki, klamerki, paski, buty. Jeździł do różnych fabryk, gdzie te rzeczy produkowano, i tam się wymądrzał na temat wzornictwa. Dostał dobrą pensję, miał tam miłe, życzliwe środowisko, niezłe warunki dla artysty, bo dwa miesiące w roku płatnego urlopu, żeby mógł brać udział w plenerach malarskich. Jednak na co dzień musiał być w pracy i siedzieć przy biurku codziennie od 8.00 do 16.00, bez względu na to, czy miał coś do zaprojektowania czy nie, tak jak w biurze. Nie przemęczał się, miał tam dużo luzu. Nudził się, trochę rysował, trochę czytał. Sporo pisał wtedy różnych wierszyków – jak to poeta wierszokleta.

Wiesz, gdybym ja wtedy była rozsądniejsza albo mniej rozumiała jego potrzebę bycia prawdziwym artystą malarzem, tobym wtedy nalegała, by pozostał w tej pracy. Jednak gdy po roku tak strasznie narzekał, że jest znudzony, znużony, że tak nie lubi tego zajęcia, że dłużej nie da rady, to niestety odpowiednio nie zareagowałam. Pewnego razu któryś z kolegów zaproponował mu wiosną wyjazd na plener malarski, jeden z wielu, jakie organizował Związek Polskich Artystów Plastyków. I Jerzy poszedł jak zwykle na 8.00 do pracy, usiadł przy biurku, wziął kartkę i napisał podanie o zwolnienie: „Bardzo proszę o natychmiastowe zwolnienie mnie z pracy z powodu wstrętu psychicznego do pracy. Nie mogę już dłużej projektować klamerki, guzików i bucików...” – tak to dosłownie brzmiało. Zaniósł podanie dyrektorowi. W biurze wybuchła wielka afera. Można sobie wyobrazić!

Takiego podania nikt tam jeszcze nie widział (śmiej). Prosił go, żeby zmienił zdanie. Jerzy napisał to podanie *ad hoc*. Nie uzgodnił nic ze mną ani z nikim. Okazało się, że był w pracy bardzo lubiany. Chcieli go tam zatrzymać. Dyrektor przypuszczał, że Jerzy ma chwilowe załamanie nerwowe, no bo kto pisze takie podanie o zwolnienie? Dali mu miesiąc bezpłatnego urlopu – na zastanowienie, dali premię jako zachętę, żeby został. Niestety, nie zmienił zdania. Dopiero po wielu, wielu latach, już po śmierci Emila, przyszedł do mnie z taką refleksją: „Wiesz, czego w życiu najbardziej żałuję? Że wtedy rzuciłem tę pracę. Gdybym był mądrzejszy, tobym pogodził i malowanie, i projektowanie, i prowadzenie domu i wszystko by się inaczej ułożyło. Ty byś miała lżej, nie musiałabyś tyle pracować”. Miał wyrzuty sumienia, że ja się zmuszałam do pracy w „Tygodniku Przemysłowo-Handlowym”, której nie lubiłam, a on nie był w stanie zmusić się do swojej etatowej pracy, żeby utrzymać żonę i dziecko. Miał sobie to za złe. Z biegiem lat to olbrzymiało, zamiast się wyciszyć, stawało się problemem. Wracał do tej sprawy. Kojarzył to też ze śmiercią syna. Uważał, że gdyby pracował w biurze, wracał do domu o stałych porach, toby też mógł dopilnować Emila. Nie stałoby się to, co się stało, bo on byłby w domu, a nie parę miesięcy na Mazurach, wykonując prace zleczone. Nie chałturzyłby dla pieniędzy. A tak łapał każde zlecenie, żeby zarobić. Kosztowało go to o wiele więcej stresu niż te „klamki, guziki, buciki”, które musiał projektować. I mówił to już po swoich wystawach zagranicznych we Włoszech, we Francji i w Szwecji, które przyniosły mu satysfakcję i pieniądze, albo tylko satysfakcję...

Pierwsza wystawa zagraniczna była we Włoszech?

Tak, cztery lata po śmierci Emila, w 1986 roku. To było pierwsze, od dawna, dobre wydarzenie w naszym życiu, które miało zresztą ścisły związek z Emilem. Znaleźliśmy się na liście rodzin Ofiar Stanu Wojennego, która krążyła poza Polską: we Włoszech, Francji, w Niemczech, w Szwajcarii. Dostawaliśmy paczki z zagranicy jako rodzice Emila. Jego sprawa była nagłośniona przez Radio Wolna Europa, Głos Ameryki i Radio Liberation. Więcej było o niej słyhać na Zachodzie niż w Polsce. U nas to było wyciszzone, co najwyżej podziemne biuletyny drukowały jakieś informacje o Emilu. Okazało się, że jesteśmy na takiej liście i ta wielka pomoc, która płynęła z Zachodu dla rodzin internowanych, dotarła też do nas. Emil był na liście podopiecznych Komitetu Prymasowskiego na Pivnej od chwili, gdy został aresztowany w marcu 1982 roku. Miał w komitecie swoją opiekunkę, panią Janinę Hyciek-Brzozowską. To właśnie ona podała zachodnim ośrodkom pomocy nasz adres, jako rodziców Emila – zamordowanego w stanie wojennym. Od tamtej pory dostawaliśmy paczki z różnościami, ubraniami, środkami czystości.

Pewnego dnia w naszym domu zjawiła się pani Zofia Burakowska ze Szczecina, zupełnie nam nieznana osoba. Powiedziała, że jej córka Joanna mieszka w Turynie i działa tam z ramienia „Solidarności”. Proponuje zorganizowanie we Włoszech wystawy obrazów Jerzego. Byliśmy bardzo zaskoczeni. Pani Zofia namawiała nas kilka miesięcy. W końcu w lutym 1986 roku pojechaliliśmy – z wielkim niepokojem, czy zdołamy wrócić. Cały czas byliśmy na cenzurowanym. Mieliśmy świadomość, że esbecja nas pilnuje. Wiem, że do

1990 roku nas obserwowano. Sprawa Emila była badana przez prokuraturę, a jedną z możliwych wersji był mord polityczny, i również pod tym kątem rzekomo prowadzono śledztwo. W naszym środowisku znajdowali się też agenci, którzy mieli do nas bezpośredni dostęp. Obserwowali, czy działamy politycznie przeciwko państwu czy ustrojowi jako rodzice Emila.

Trudno było zorganizować ten wyjazd, nawet finansowo, ale udało się. Jerzy spakował kilka dużych „kół życia” i kilkadziesiąt rysunków. Uparł się: żadnych pejzaży, żadnych wnętrz, tylko „koła życia” i rysunki z cyklu „Droga krzyża i serca”. Chciał je promować. We dwoje taszczyliśmy te strasznie ciężkie paczki. Mieliśmy wtedy jeszcze sporo sił, byliśmy tuż po czterdziestce, czyli w kwiecie wieku. Na lotnisku w Warszawie stoczyliśmy wojnę, żeby uzyskać pozwolenie na wywiezienie prac i otrzymać odpowiednie stemple i papiery. Włosi też robili problemy z przyjęciem tych obrazów na lotnisku w Mediolanie. Siedzieliśmy tam chyba dwanaście godzin, zanim wszystko obejrzel i nas wpuścili. Sami to wszystko dźwigaliśmy z lotniska do autobusu, a potem dalej. Jerzy często wspominał, że wtedy się przekonał, że jest silnym młodym mężczyzną – bo na własnych plecach przeniósł pięćdziesiąt kilo swoich obrazów. Tachaliśmy to przez wielki i długi dworzec w Mediolanie do pociągu, a później dalej.

We Włoszech poznaliśmy Joannę Burakowską, córkę pani Zofii. Joanna okazała się wspaniałą dziewczyną, absolutnie fantastyczną. Była świetną tłumaczką. Zaopiekowała się nami, wszystko nam ułatwiła. Wylądowaliśmy najpierw w Turynie, w jej maleńkim mieszkanku. Cudem pomieściło jeszcze nas dwoje i te paczki z obrazami. To było wielkie

poświęcenie ze strony Joanny. Wielkie! Widzę to z perspektywy lat i doświadczeń. Wtedy tak na to nie patrzyłam, działałam euforycznie. To był mój pierwszy wyjazd na Zachód. Jeździłam do krajów demokracji ludowej, ale we Włoszech byłam pierwszy raz. Przeżyłam szok kulturowy. Po tej biednej, szarej rzeczywistości stanu wojennego, pustych półkach, braku prawie wszystkiego, kartkach na różne produkty, tam zobaczyłam niesamowity kontrast: dobrobyt, obfitość, kolory... Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie bazar w Turynie, pełen warzyw i owoców. I wiesz, że bardziej od wrażeń artystycznych z wystawy Jerzego zapamiętałam wystawy sklepów i wygląd targowiska? (uśmiech) Obfitość wszystkiego i szaleństwo barw na straganach. Poza tym jedzenie. Przepyszne. Ja tam cały czas jadłam, wszystko mi smakowało. Byliśmy nienasyceń. Natomiast Jerzy cały czas był w stresie, bo ciągle zmieniało się miejsce, gdzie miała się odbyć wystawa. To było organizowane *ad hoc*. Mogło się udać albo nie udać. Ale Jerzemu towarzyszyła myśl, że Emil nam w tym pomaga, że to z jego powodu tam jesteśmy, że to taki „prezent” od Emila dla taty. Faktem jest, że Jerzy po 1982 roku nie funkcjonował jako „Jerzy Wardęcki, artysta malarz”, tylko jako „tata Emila”. W tej roli również znalazł się we Włoszech. Zauważył, że ludzi interesuje nie tyle on i jego sztuka, ile opowieści ojca o Emilu. Wszyscy wokół mieli mnóstwo pytań na temat Emila i całej sprawy. Joasia tłumaczyła na włoski i tłumaczyła, do utraty tchu. A ja i Jerzy opowiadaliśmy, co się zdarzyło. Chcieliśmy, by ci sympatyczni Włosi dowiedzieli się jak najwięcej o tym, co się stało w Polsce, nie propagandy, ale prawdy. Nie tylko o Emilu, ale w ogóle o stanie wojennym.

Wracając do wystawy Jerzego, udała się nad wyraz. Ostatecznie odbyła się w Castelfranco Veneto, gdzie zrobili mu przepiękne afisze. Jerzy sprzedał wszystkie rysunki, odniósł sukces finansowy. Włosi kupowali te prace jak świeże bułeczki. To właśnie wtedy Jerzy zarobił tyle, że po powrocie mogliśmy się starać o większe mieszkanie, o jeden pokój więcej – już o tym wspominałam. To były duże pieniądze. Pierwszy raz w życiu zarobił aż tyle na swojej sztuce, czystej sztuce, nie na chałturach. Za projekt i malowanie kościoła na Mazurach dostał 80 000 złotych, ale to była praca, którą wykonywał z przerwami prawie rok.

We Włoszech spędziliśmy miesiąc. Joasia Burakowska pojechała z nami do Mediolanu, Bolonii i Wenecji, gdzie byliśmy najdłużej. Joasia wszędzie miała znajomych. Mieszkaliśmy u włoskiej rodziny Peron. Młody Włoch Cesare Peron był dobrym znajomym Joasi. Pamiętam, że jego matka miała na imię Arina. To byli przemili, serdeczni ludzie. Arina też straciła syna, który zginął w niejasnych okolicznościach, prawdopodobnie zabiła go włoska policja. Rodzina Peron czuła z nami więź, połączyła nas rodzinna tragedia. Pamiętam niezwykłą gościnność tych obcych ludzi, nieba by nam przychylili. Zaopiekowali się nami, karmili nas, byliśmy wprost rozpieszczani. Pierwszy raz doznałam za granicą takiej życzliwości. A Jerzy od początku uważał, że Włosi tak chętnie kupują jego rysunki, żeby nas wspomóc. Nie miał więc wielkiej satysfakcji jako artysta, że oni poznali się na jego rysunkach i obrazach. Kupiliby niemal wszystko. Nie miał złudzeń. Nie oszukiwał się, że zrobił wielką furorę swoją twórczością. To wszystko było w kontekście stanu

wojennego w Polsce i osobistej tragedii w naszym życiu. Byliśmy rodzicami zabitego syna. Otaczali nas ludzie dobrej woli, dobrego serca, którzy chcieli pomóc.

A gdzie były następne wystawy zagraniczne?

W 1992 roku Jerzy miał kolejną wystawę we Włoszech. Zorganizował ją Artur Nieszczerzewicz. Odbyła się wiosną w Latynie. Miesiąc mieszkaliśmy w domu teściowej Artura – pani Marii Sperduti. Też bardzo serdecznie się nami opiekowali, ale to już nie był tak wielki sukces finansowy jak poprzednio. Tego samego roku, jesienią, znowu byliśmy we Włoszech, tym razem na prywatnej audyencji u Ojca Świętego Jana Pawła II. Jerzy wręczył papieżowi obraz i rysunek. Później dostał list z podziękowaniem i informacją, że jego prace znajdują się w zbiorach Muzeum Watykańskiego – i z tego miał ogromną satysfakcję: „Mój obraz i mój rysunek są w Muzeum Watykańskim!” – mówił i naprawdę bardzo się tym cieszył. Wcześniej były też dwie wystawy we Francji, ale dla Jerzego okazały się rozczarowaniem. Trudno było mu się dogadać z Francuzami, zaprzyjaźnić, chociaż znał francuski. Byli mentalnie i światopoglądowo bardzo odlegli – świat ateistów i lewaków. Przynajmniej on na takich trafił.

Częstym motywem rysunków Jerzego były: krzyż i serce. Symbolika chrześcijańska. Mówił, że obrazy, które maluje, płyną z podświadomości.

W stanie wojennym miał wystawę w najstarszym warszawskim kościele pw. Najświętszej Marii Panny na Przyryńku.

W tamtym czasie wystawiali tam też swoje rysunki Jacek Fedorowicz i Andrzej Wajda. Przygotowano Jerzemu folder „Droga krzyża i serca” – tylko same rysunki. Na jego prace zwrócił wtedy uwagę ksiądz Wiesław Niewęglowski, duszpasterz środowisk twórczych, z którym zawarliśmy bliższą znajomość. Marzyliśmy, by pojechać do Rzymu, do naszego papieża. Ksiądz Niewęglowski dał nam list polecający do ojca Konrada Hejmo w Watykanie. Dzięki temu znaleźliśmy się w Rzymie w listopadzie 1992 roku, mając w kieszeni 200 dolarów. To był prezent przedślubny od naszej przyjaciółki, mecenas Magdaleny Gajdeczki. Mieszkaliśmy w Domu Pielgrzyma, tuż obok placu Świętego Piotra, i zostaliśmy zaproszeni przez ojca Konrada Hejmo na audiencję prywatną u Ojca Świętego. To było dla nas wielkie duchowe przeżycie. Ojciec Święty Jan Paweł II nie tylko rozmawiał z nami i przyjął z naszych rąk prezenty, ale też odchodząc, uczynił znak krzyża i powiedział: „Błogosławię wasze małżeństwo”. Dwa i pół roku później, 23 kwietnia 1995 roku, wzięliśmy z Jerzym ślub kościelny.

Jerzy po tych zagranicznych wystawach poczuł się bardzo dobrze, w pełni niezależny jako artysta. Zrobił swoje, pokazał, co chciał pokazać, a że nie przyniosło mu to dużych pieniędzy i nie zrobił wielkiej kariery, to nie szkodzi. Uważał, że jego „światliste koła” zostały zauważone i przejdą do historii sztuki. Na wszystkich wystawach zbiorowych, w jakich brał udział, były odnotowane przez krytyków. Był rozpoznawalny, jego nazwisko było znane w pewnych kręgach, czemu zresztą trochę się dziwił. A już bardzo się dziwił w ostatnich latach, że trafił do Interne-

tu. Tak więc Jerzy i kilka jego prac znalazło się w sieci. Sam nie wiedział, jak i kiedy, bo nie umiał się promować. Nigdy o to nie zabiegał, nie starał się. Nie potrafił. Ja, gdybym znalazła trochę czasu i mniej pracowała, mogłabym się tym zająć i zostać jego menedżerką. Miałam talent w tym kierunku. Bywałam na jego wystawach, wernisażach, mogłabym dotrzeć do krytyka, porozmawiać, zaprosić do domu opiniotwórcze osoby. Miałam też spore rozpoznanie w środowisku, bo przez osiemnaście lat pracowałam na pół etatu w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Redagowałam tam katalogi prezentowanych w galerii TPSP wystaw, poznałam wielu artystów malarzy, rzeźbiarzy, grafików. Jerzy liczył się z moim zdaniem. Próbowалаłam go namówić, żeby malował komercyjnie, choćby pejzaże, które w galeriach szły jak woda. Bardzo chętnie przyjmowali je w komis. Jednak pejzaże malował niechętnie, z przymusu – i tu mieliśmy konflikt. „Koła” sprzedawały się trudniej. Miesiącami wisały w galerii.

Jerzy miał dużo takich okresów w życiu, w których nie zarabiał, mimo że bardzo chciał. Szedł wtedy na kompromis z życiem i wykonywał chałtury. Bardzo tego nie lubił. Dużo go to kosztowało, mnie również. To były trudne momenty w naszym wspólnym życiu, kiedy upierał się przy swojej sztuce, mimo braku powodzenia i pieniędzy. Działo się to także często moim kosztem. Ktoś musiał przecież myśleć o zapewnieniu nam bytu, kupnie płaszcza na zimę czy drugiej pary spodni, bo Jerzy był ponad to. Czasami tylko nieśmiało mi zameldował, że czegoś tam nie ma, na przykład... „kapci, bo przed chwilą właśnie się rozleciały”. Ale za to

bardzo głośno i bez skrupułów upominał się o pieniądze na farby, pędzle, sztalugi, werniksy, płótno, na to wszystko, co stanowiło jego drogi warsztat pracy.

Jeden obraz powstawał nawet parę miesięcy.

Tak się zdarzało. Malował godzinami, stojąc przy sztalugach. Najczęściej malował w małym pokoju, który przeznaczył na pracownię. Pracownia miała dziewięć metrów kwadratowych, trzy na trzy, i tak właśnie ją żartobliwie nazywał: „ci na ci”. „A oto moja cinacia”, mówił, wprowadzając kolegów do pracowni. I wtedy często słyszał: „Ojej! Ale dziupla!”. Na ten trzeci malutki pokój zarobił swoimi obrazami, stojąc godzinami przy sztalugach i z benedyktyńską cierpliwością malując małym pędzelkiem dziesiątki cienkich, kolorowych linii. Gdy byłam na niego zła, myślałam: „Ach, znowu te jego esy-floresy! Tyle godzin stoi, a potem nie ma siły, żeby pozmywać”. Ale nigdy głośno mu tego nie powiedziałam. Rysunki zwykle powstawały przy stole, na szczęście rysował na siedząco. Nie miał stałych pór pracy. To zależało od nastroju, samopoczucia i od innych obowiązków, bo przecież Jerzy prowadził dom. Wracam do tego, o czym mówiłam wcześniej, że Jerzy wcale nie był takim „luzakiem”, który myślał tylko o swojej twórczości. Nic podobnego. Owszem, ja zarabiałam pieniądze na dom, ale on ten dom prowadził. Sprzątał, robił zakupy, gotował, zmywał naczynia, prał, prasował, opiekował się Emilem, zwłaszcza we wczesnym dzieciństwie, gdy syn chorował na astmę. Jerzy zawsze był przy nim, gdy Emilek miał atak duszności. W dzień i w nocy, był na każde zawo-

łanie. Dopiero teraz widzę, gdy go już nie ma, jak bardzo mnie rozpieścił. O wielu rzeczach nie musiałam myśleć, nie zajmowałam się tyloma sprawami. Nie umiem zrobić mnóstwa rzeczy, bo nigdy nie musiałam ich robić. Dom był zawsze wysprzątny, obiad ugotowany, zakupy zrobione – dzięki pracy męża. Oczywiście w ostatnich latach, gdy Jerzy poważnie chorował, mieliśmy pomoc, ale jednak to on nadal panował nad naszym codziennym domowym życiem, nie ja. Takie przyjęliśmy role, tak się podzieliliśmy obowiązkami. I wydawało nam się to bardzo naturalne i w pełni uzasadnione. Nie mieliśmy z tego powodu żadnych kompleksów. Ja nigdy nie czułam się feministką, a on pantoflarzem.

I taki tandem się sprawdził.

Jerzy nigdy nie narzekał. Gdy ja w ostatnich pięciu latach bardzo chorowałam, on oczywiście prowadził dom i troskliwie się mną opiekował. Ledwo chodził, ale szedł po zakupy. Ledwo stał nad garnkiem, ale ugotował obiad. Robił mi śniadanie i codziennie podawał kawę do łóżka. Nadal przygotowywał te swoje śliczne, smaczne kanapeczki jak wtedy, gdy był młody. To właśnie cały Jerzy. Całe życie taki był. Dlatego robili mu krzywdę ci, którzy uważali, że nie nadawał się do życia rodzinnego. Było zupełnie inaczej. Bardzo opiekował się Emilem. Pamiętam, jak robił mu w łazience takie lecznicze masaże szczotką – na astmę. Godzinami tam z nim siedział. Rozmawiał z nim o wiele częściej niż ja. Emil był do niego szalenie przywiązany. Nie mogłam się synowi na Jerzego poskarżyć. Natychmiast stawał w jego

obronie. Natychmiast go tłumaczył. Zresztą od Jerzego się dowiedziałam, że w odwrotnej sytuacji było podobnie – Emil od razu brał mnie w obronę. Stawał się adwokatem jednej i drugiej strony. Strasznie nie lubił, jak się kłóciliśmy czy mieliśmy do siebie jakieś pretensje. Chciał nas szybko pogodzić. Mówił mi, jaki tata jest wspaniały, dobry i jak mnie kocha, a potem Jerzy powtarzał mi, że to samo Emil mówił o mnie: „Takiej drugiej żony to tata nigdy nie będzie miał. Masz, tato, taką dobrą, kochającą żonę”. Deklarował mi miłość w moim imieniu – i odwrotnie. Pod tym względem bardzo cementował nasz związek. Nie sposób było się przy Emilu długo gniewać albo do siebie nie odzywać. Myślę, że tę cechę charakteru miał po mnie, ja przecież też zawsze godziłam mamę z babcią.

A co Emil myślał o obrazach Jerzego? Miał jakiś ulubiony?
Emil bardzo wierzył, że Jerzemu uda się odnieść sukces jako malarzowi. A gdy Jerzy wziął udział w kilku wystawach i czasami wracał do domu z nosem zwieszonym na kwintę i narzekał: „No i co mi z tego? Po co mi prestiż, jak nie ma z tego pieniędzy?”, to Emil – już wtedy nastolatek – ze śmiechem mówił: „Tata, pomyśl, że pracujesz dla mnie. Każdy prawdziwy wielki malarz dopiero po śmierci jest bogaty i sławny. Ja będę bogaty dzięki tobie. To wszystko dla mnie. Musisz umrzeć, żeby być sławny, a ja będę bogaty i dumny”. Tak sobie żartował i podawał przykłady, a to van Gogha, a to Modiglianiego. Mówił: „Tato, ja cię wezmę na utrzymanie, tylko maluj. Nie martw się. Ja i tak będę z tego korzystał, jak umrzesz”. Tak to dowcipnie komento-

wał, oczywiście nie na poważnie, ale widziałam, że Jerzego to bardzo podnosiło na duchu. I naprawdę w to wierzył, że będzie tak, jak przepowiada Emil. A po śmierci Emila Jerzy się załamał. Często powtarzał: „Po co? Dla kogo mam teraz malować?”. Potem zaczął trochę wierzyć w Artura, że zaopiekuje się jego spuścizną. Zadbaj o nią, będzie wiedział, co z tym zrobić. Śmierć Emila podcięła Jerzemu skrzydła. Gdyby Emil żył, Jerzy na pewno więcej by malował, bardziej by się starał. A tak, coraz rzadziej stawał przy sztalugach. Robił więcej rysunków, bo musiał, potrzebował tego. W ostatnich latach rysował koła z cyferkek. Śmiał się, że wszędzie jest cyfryzacja, więc on też musi iść z duchem czasu: „Będę teraz malował cyferkami”. Rozdawał te rysunki w prezencie kolegom. Czasem nie mógł spać w nocy, wstawał i rysował. Niestety nie szanował swojego zdrowia. Był trudnym, niezdyscyplinowanym pacjentem. Miał coraz mniej sił. Jak już nie miał siły, żeby pojechać ze mną na cmentarz do Emila, to już było z nim naprawdę kiepsko.

Mówiłaś, że Jerzy w swojej twórczości najbardziej cenił „koła życia”. Jakież szczególnie wyróżniał?

Wymieniał czasem koło inspirowane Powstaniem Warszawskim. Niektóre z tych kół odnoszą się do konkretnych wydarzeń: śmierci Emila, wydarzeń w kopalni „Wujek”, śmierci Grzegorza Przemyka, śmierci księdza Popiełuszki. Ale nie miał jednego koła, które by lubił najbardziej. Swoje ostatnie prace pokazał na wystawie w galerii autorskiej ZA w Rawce, którą prowadzi poeta i pisarz Wiesław Sokołowski, czyli „Sokół”. Te właśnie prace Jerzy traktował jako swoją wizy-

tówkę, można je zresztą zobaczyć w Internecie na krótkim filmiku *Koła życia Jerzego Wardęckiego*. „Sokół” od lat lansował Jerzego. W Internecie i w swoich książkach zamieszczał o nim różne informacje i co roku organizował wystawy artystów z ich pokolenia, tak zwanych Niepokornych Szlaku Królewskiego, artystów, którzy debiutowali na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dzięki Sokołowskiemu i jego bezinteresownej i pełnej pasji działalności jako animatora sztuki, ci artyści ponownie zaczęli się spotykać w ostatnich latach. Inspiratorem, organizatorem i dobrą duszą tych wydarzeń był zawsze Wiesław Sokołowski, założyciel strony internetowej „Trwanie”. Ostatni wierny przyjaciel Jerzego.

Wiesław Sokołowski napisał o malarstwie Jerzego: „Niezauważone mignęło ono, było na tyle proste i prawe, że wymazano je, wymazano doszczętnie w sposób wręcz chirurgiczny z obiegu”¹. O co chodziło?

W połowie lat dziewięćdziesiątych, za czasów rządów SLD, Związek Polskich Artystów Plastyków i Ministerstwo Kultury organizowali dużą zbiorową wystawę malarzy z pokolenia Jerzego. Wystawa miała się odbywać w Zachęcie. O Jerzym nikt nie chciał pamiętać. Nikt go nie zaprosił, został pominięty. Bardzo boleśnie to przeżył. Tłumaczył to tak: nie zadawał się z decydentami, nie spotykał się na wódce z kolegami w lokalu ZPAP, nie chodził na zebrania

¹ W. Sokołowski, *Przecież milczę. Niepokorni Szlaku Królewskiego*, Skierniewice-Rawka 2008, s. 75.

związkowe, na wernisaże w galerii ZPAP, nie funkcjonował w żadnej grupie wpływu. Właściwie czego miał się spodziewać? W środowisku artystów malarzy miał dwóch, trzech przyjaciół, z którymi spotykał się prywatnie, to wszystko. Zresztą każdy z nich starał się lansować raczej siebie, a nie kolegów. Wyjątkiem był „Sokół”.

Poza tym, patrząc na rozwój kariery artystycznej Jerzego z perspektywy ostatnich 25 lat, widzę wyraźnie, że „Sokół” nie miał szans na lansowanie go ani przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, ani przez władze Związku. Jerzy był zawsze artystą niepoprawnym politycznie, chociażby jako autor wystaw z cyklu „Droga krzyża i serca” lub prac tematycznie poświęconych takim wydarzeniom jak Powstanie Warszawskie czy śmierć górników z kopalni „Wujek”. Poza tym w środowisku zawodowym sporo osób znało historię Emila dzięki Jerzemu, który często o nim opowiadał. I z tego też powodu bywał dla wielu dość kłopotliwym kolegą, szczególnie w latach, gdy w Polsce rządzili postkomuniści lub lewicujący liberałowie. Jako ojciec „najmłodszej ofiary stanu wojennego” nie pasował do ludzi, którzy w ogóle najchętniej by zapomnieli, że kiedykolwiek w Polsce był jakiś stan wojenny.

Jerzy od końca lat dziewięćdziesiątych już nie malował „kół”, nie miał siły na wykonywanie tak dużych obrazów, fizycznie nie dawał rady. Jak już wspominałam, poważnie zachorował na płuca, leżał prawie rok w szpitalu, od stycznia do listopada 1998 roku. Lekarz zabronił mu kontaktu z farbami, z werniksem. Mógł używać wyłącznie pasteli, wykonywać tylko rysunki. Jerzy nigdy już nie odzyskał

dawnej formy. Kolejne choroby uniemożliwiły mu pracę. Sporadycznie malował coś zarobkowo, na przykład portrety. Zaczął rozdawać starsze obrazy, kilka sprzedał, kilka przekazał kolegom w depozyt. Marzył o tym, żeby zrobić wystawę całego dorobku, z różnych okresów życia, ale nie miał już na to sił. Skupił się więc na rysunkach. Czasem wysyłał je na różne wystawy, ale indywidualnej wystawy nie planował. Raz na jakiś czas, gdy lepiej się poczuł, miał takie zrywy i mówił: „Jednak zrobię wystawę!”, a potem przychodził kryzys zdrowotny, u mnie lub u niego, i pomysł pozostawał tylko w marzeniach.

Ostatnia wystawa indywidualna odbyła się w Szwecji?

Zagraniczna tak. W 1996 roku, w Galerii Instytutu Polskiego w Sztokholmie. Jerzy miał sporą satysfakcję z tej wystawy, odniósł też sukces finansowy. Wystawę zatytułował „Świetliste koła – koła życia”; była połączona z targami sztuki, a na wernisażu zagrał pan Leszek Możdżer – wtedy muzyk na początku kariery. Ta wystawa też była darem losu, a to, w jaki sposób doszła do skutku, jest bardzo ciekawe. Kiedyś dziesięcioletni Emil znalazł na naszym podwórku portfel z plikiem banknotów. Były tam również dokumenty właściciela. Okazało się, że portfel zgubił nasz sąsiad, pan Bogdan Michalski. Emil odniósł mu zgubę do domu. Pan Michalski był mu bardzo wdzięczny, przyszedł do nas z podziękowaniami – i tak się bliżej poznaliśmy. Podobały mu się obrazy Jerzego, cenił je wysoko. Po kilkunastu latach został dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie. Pewnego razu nas odwiedził i zaoferował, że zorganizuje Jerzemu wystawę.

Jerzy oczywiście bardzo się ucieszył z propozycji. W jakimś sensie to też był „prezent” od Emila, w końcu poznaliśmy tego człowieka z powodu dobrego uczynku syna. Podczas tej szwedzkiej wystawy Jerzy już nie funkcjonował jako „tata Emila”, ale jako „artysta malarz”.

Natomiast ostatnia duża indywidualna wystawa prac Jerzego odbyła się również w 1996 roku w Polsce, w Związku Polskich Artystów Plastyków przy Mazowieckiej. Prezentował na niej oczywiście „koła życia” i rysunki. To były jego dwie ostatnie duże wystawy, które dały mu dużo satysfakcji. Mówił o nich w ten sposób: „Miałem swoje pięć minut. Wiem, jak to smakuje. To musi mi wystarczyć”. Jedenaście lat później, w grudniu 2007 roku miał jeszcze jedną indywidualną wystawę malarstwa i rysunku w galerii Młynek w Domu Kultury „Działdowska” na warszawskiej Woli. Była to niewielka, skromna wystawa, ale odbywała się w życzliwej, ciepłej atmosferze dzięki kierowniczce tej galerii, która zawsze umiała dopieścić swoich artystów. Jerzy zawsze z wdzięcznością wspominał panią Anitę Nagrabiecką. Ta wystawa dała mu przeżyć chyba najmiłsze pięć minut.

Takie pięć minut zdarzyło się kilka razy.

Tak określał uznanie, dobre recenzje i sprzedaż. A kiedy przychodzili do niego obcy ludzie i chcieli kupić pracę z cyklu „świetliste koła”, to wtedy był najszczęśliwszy. To go cieszyło o wiele bardziej niż pozytywne recenzje i pochlebne opinie kolegów. Ze szczęścia gotów był sprzedać za pół ceny. Nigdy się wtedy nie targował.

Chciałam jeszcze zapytać o dwie nagrody, które otrzymał we Francji: Złoty Medal na II Biennale Internationale d’Auvergne w 1989 roku i Grand Prix Leonard na III Biennale w 1991. Miał po tych wystawach mieszane uczucia. Dostał nagrodę, cieszył się, że został doceniony, ale nie sprzedał prac. Nikt nie kupił ani jednego obrazu. Liczył, że je sprzeda, dlatego w ogóle tam pojechał. Finansowo był stratny, nie zwróciły się nawet koszty podróży.

Czy był obraz, którego by nigdy nie sprzedał ze względów emocjonalnych?

Było kilka, do których był bardzo przywiązany. Właśnie te, które wiszą w tym pokoju. Jeden to *Wieża ciśnień* – widok, jaki miał na Mazurach z okna swojej letniej pracowni w Kalu nad jeziorem Świącajty, pół godziny spacerkiem z Węgorze-wa. Wielokrotnie malował ten pejzaż z wieżą i chałupkami. Tam też zwykle malował zarobkowo w stylu „drzewko w lewo, drzewko w prawo”, same niebieskie jeziora, zielone łąki nad wodą, zielononiebieskie kępy krzewów, bo takie obrazy świetnie się sprzedawały. Poza tym lubił to miejsce, chociaż narzekał na monotonię kolorów. Mówił: „Pejzaż na Mazurach jest nudny, bo ma tylko dwa kolory: zielony i niebieski. Gdzie spojrzysz: zielono, wszędzie zielono albo niebiesko – woda i niebo to czysty błękit”. Pytałaś o obrazy, których pewnie by nie sprzedał. Myślę, że to są portrety Emila i moje.

Co myślał o interpretacjach swoich „kół”, które mógł usłyszeć albo przeczytać?

„Koła” były różnie interpretowane. Raz jako mandale życia,

jako linie papilarne, innym razem jako kompozycje muzyczne, a nawet jako pejzaże z kosmosu. Interpretacje były tak rozmaite i zaskakujące, że czasami Jerzy aż się dziwił. Ale cieszył się, gdy ludzie widzieli to, czego on nie zauważył. Miał trochę przewrócone w głowie przez swoich profesorów. Oni bardzo krytykowali malarstwo odtwórcze, akademickie, realistyczne, więc Jerzy również. Jednak z biegiem lat zaczynał zmieniać zdanie. Czytał wiele książek z historii sztuki, również pamiętników malarzy. Na pierwszym roku studiów poznał Włodzimierza Iwanka. Zaprzyjaźnili się. Włodek zaczął od abstrakcjonizmu, a później nastąpił przełom: poszedł w zupełnie innym kierunku niż Jerzy, zaczął kopiować obrazy holenderskich mistrzów. Malował martwe natury zupełnie jak Holendrzy. Jerzemu bardzo się to nie podobało, krytykował Włodka, że się nie rozwija, że tylko naśladuje, powiedział mu parę przykrych słów, w końcu się pokłócili i w ogóle przestali spotykać. Po latach Jerzy nadal o tym myślał. W 2016 roku, kilka tygodni przed śmiercią, obejrzał jakiś film dokumentalny o siedemnastowiecznych malarzach holenderskich. O tym, jak ich obrazy powstawały od strony technicznej, warsztatowej. Powiedział wtedy do mnie dziwną rzecz: „Muszę zadzwonić do Włodka i go przeprosić. On miał rację, nie ja. Dobrze zrobił, wybierając tę drogę. To jest prawdziwe malarstwo. Kto teraz tak potrafi malować? Nieliczni. Nie uczą tego w akademiach. Ja nie umiem tak malować. Nie mam takiego warsztatu. Włodek ma, ale jest samoukiem, nauczył się tego poza studiami”. Uważał, że trzeba było obowiązkowo przejść ten etap, drogę Holendrów, żeby iść dalej. Uznał, że nie

miał racji w tych sporach sprzed lat. Uświadomił sobie, że nie byłby w stanie wykonać takiej kopii, bo po prostu nie potrafi. Nie zdążył zadzwonić do dawnego przyjaciela, żeby mu to powiedzieć. Ja to zrobiłam w jego imieniu. Przeprosiłam Włodka zaraz po pogrzebie Jerzego. Musiałam mu to przekazać. Zauważyłam, że Włodek był zakłopotany. Mruknął tylko: „Szkoda, że tak późno”.

Czy było coś, co Jerzy malował szczególnie niechętnie, chociaż miał takie zlecenie?

Nie lubił malować portretów, męczył się przy tym. Namalować człowieka z natury, to jeszcze pół biedy, jakoś wykonał, ale czasem dawali mu zdjęcie – wtedy był bardzo nieszczęśliwy. Nie lubił też kopiować obrazów. Miał parę razy takie zamówienie. Kiedyś dostał ze Szwajcarii obraz, który miał skopiować: jakiś morski wąż w zielonych odmętach oceanu. O, jak wtedy strasznie cierpiał! Inny malarz zrobiłby to w miesiąc, Jerzy malował to chyba rok. Niektóre portrety jego autorstwa były bardzo udane, dostawał za nie podziękowania, ale jego żywiołem były „wariacje na temat”. Kiedyś pozował mu do portretu Michał, syn Wojtka Kownasa (Wojtek, jak już wspominałam, jest starszym bratem Krzysztofa, przyjaciela Szymona Pochwalskiego). Michał przychodził do Jerzego do „ci na ci” na sesje malarskie, miał wtedy dziesięć lat. Jerzy malował go chyba ze dwa miesiące. Gdy wszyscy zobaczyli efekt, mówili: „Boże! To przecież portret dwudziestoletniego faceta!” (śmiech). Mały Michał urósł, a po dziesięciu latach okazało się, że portret był „proroczco perspektywiczny”. Idealny, wypisz wymaluj on! Uważam

też, że Jerzy pastelami robił bardzo dobre portrety kobiet, a także akty. Niestety, nie miał modelki, rysował najczęściej ze zdjęć lub po prostu z pamięci. Zawsze go namawiałam, żeby więcej rysował pastelami, naprawdę był w tym świetny, wszystko mu wychodziło: portrety, wnętrza, pejzaże, drzewa i kwiaty. Te obrazki były chętnie kupowane. Mógłby mieć z tego niezłe pieniądze, ale on wolał malować swoje „koła”.

Lubiłaś, jak malował ciebie?

Nie. Tylko jeden mój portret mi się podobał, ale został skradziony w czasie remontu mieszkania. Na innych obrazach zawsze wydawałam się sobie albo brzydka, albo zupełnie niepodobna. Jerzy twierdził, że to dobre portrety, wartościowe, ale ja nigdy nie byłam zadowolona. Na tych obrazach, które widzisz w tym pokoju, podobno też jestem ja. Natomiast bardzo lubię i cenię tego *Złamanego tulipana*. To pastel i akwarela razem. Dostałam ten obrazek od Jerzego w prezencie. Najpierw kwiat, a potem ten pastel. Mam do tej akwarelki sentymentalny stosunek. W niej jest cały „pastelowy Jerzy”. Charakterystyczna kompozycja, przygaszone barwy, poza tym ten złamany tulipan rzeczywiście tak wyglądał, gdy mi go wręczał z okazji rocznicy ślubu cywilnego, jakieś trzydzieści kilka lat temu.

Bardzo żałuję, że Jerzy nie dbał o swoje archiwum, nie dokumentował prac, nie katalogował, ale zawsze hojnie je rozdawał. Wiele poginęło, choćby te, które namalował w Węgorzewie. Gdy czasem mówiłam, żeby zadbał o obrazy, o swoją spuściznę, miał jeden argument: „Dla kogo? Nie ma

Emila, nie ma wnuków. Kogo to będzie obchodzić?”. Ostatnio zmienił zdanie. Zaczął liczyć na Artura Nieszczerzewicza. Miał nadzieję, że nasz przybrany syn zadba o naszą spuściznę. Postanowił wszystkie swoje prace zostawić mu w spadku.

Jerzy uważał, że nie wykorzystał w pełni swojego talentu. Tak jak w biblijnej przypowieści: nie pomnożył daru, który dostał, albo zrobił to w niewielkim stopniu.

Był niespełniony, to na pewno, ale te refleksje w ostatnich tygodniach życia o malarzach holenderskich i własnych złych wyborach artystycznych bardzo mnie zaskoczyły. Z drugiej strony uważał, że te „światliste koła”, które malował z taką pasją, mają wartość ponadczasową. I ma prawo oczekiwać, że kiedyś zostanie odkryty na nowo przez historyków sztuki i zaliczony do malarzy, którzy coś wnieśli do polskiego malarstwa lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Uważał, że tu ma swoje zasługi i powinien być doceniony, ale tylko dzięki „kołom życia”. Jednak nie miał złudzeń. Mówił, że nie zdziwiłby się, gdyby pozostało tak, jak jest. Brakowało kogoś, kto by mu pomógł.

Jerzy mówił, że tragedia spowodowana śmiercią Emila, że wszystkie straszne przeżycia odebrały nam obojgu zdrowie i na pewno skrócą życie. Jerzy poważnie zachorował już dwadzieścia lat temu. Potem pojawiały się kolejne groźne choroby, które uniemożliwiały mu pracę. Ale żadna z nich nie była bezpośrednią przyczyną śmierci. Zmarł nagle na udar, 5 grudnia 2016 roku, gdy ja leżałam w szpitalu. Miał 73 lata.



Krystyna, 1946 r.



Janina Pęczkowska,
mama Krystyny,
w Zakopanem, lata 30.



Krystyna, początek lat 60.



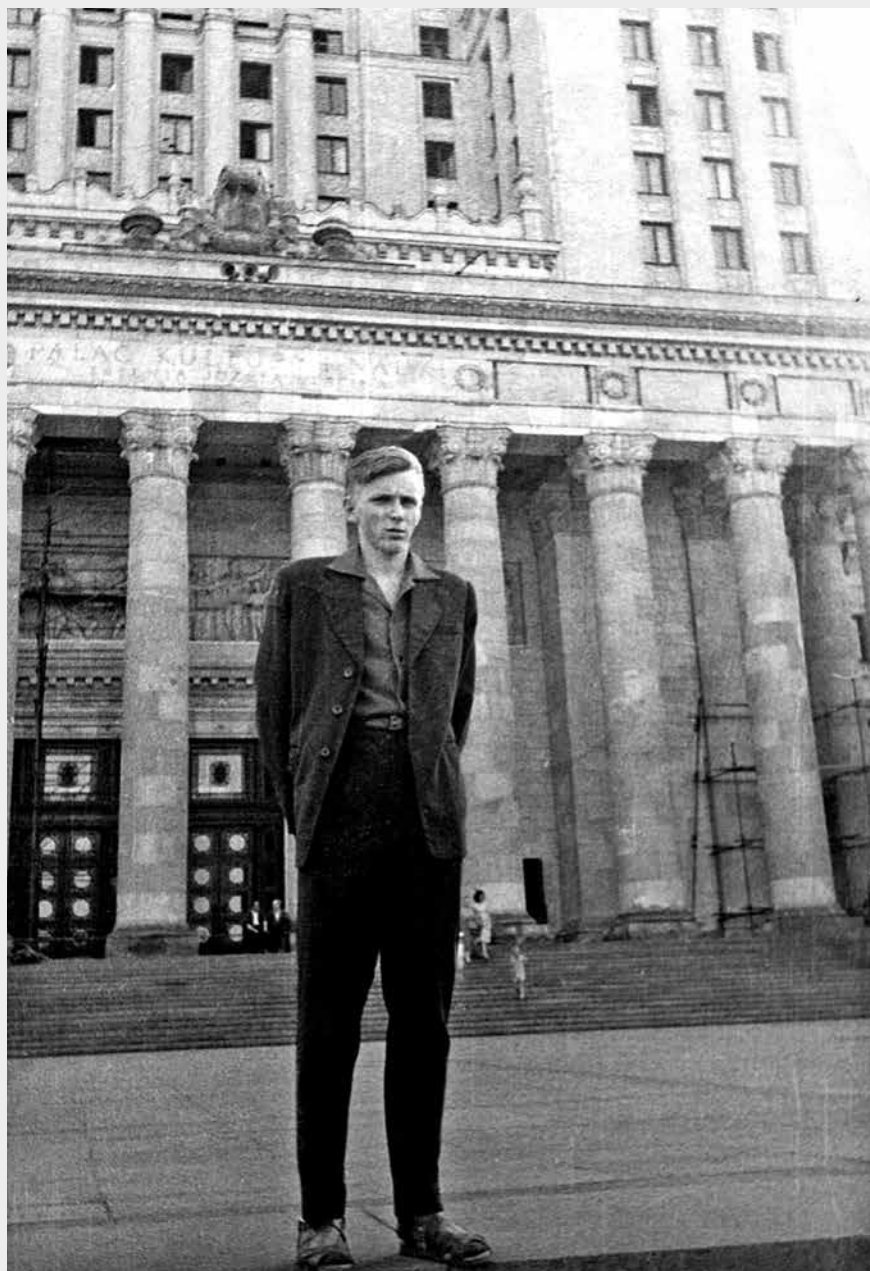
Janina Pęczkowska, lato 1959 r.



Krystyna, próba relaksu podczas pisania pracy magisterskiej, 1966 r.



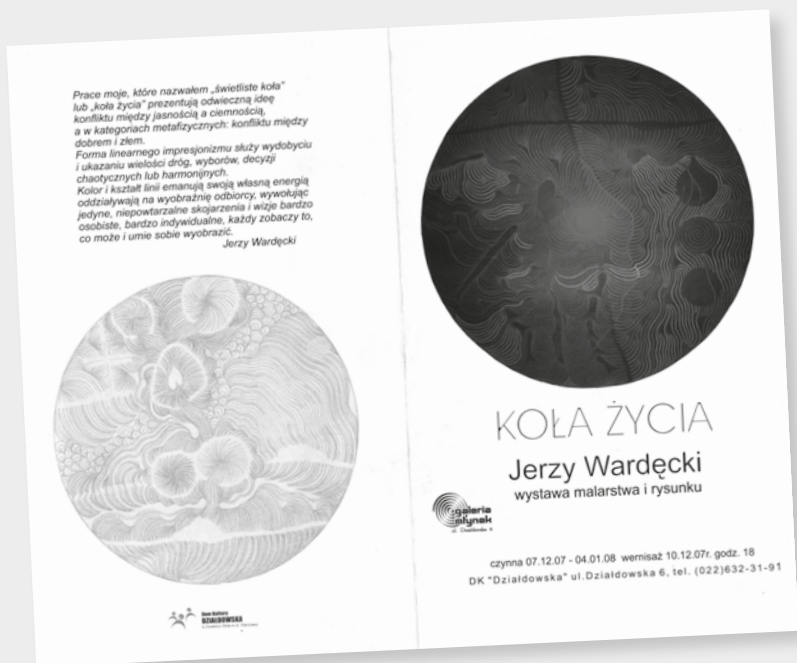
Krystyna Barchańska na Skwerze Hoovera, 1968 r.



Jerzy Wardęcki w Warszawie podczas egzaminów wstępnych na studia, 1961 r.



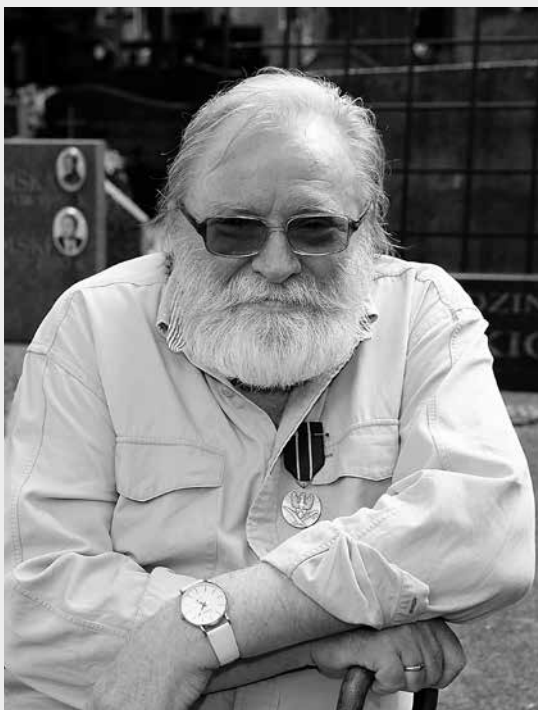
Prace Jerzego Wardęckiego na wystawie w Sztokholmie, 1996 r.



Folder z wystawy w 2007 r.



Krystyna i Jerzy Wardęccy
z portretem Emila, 2015 r.
Fot. J. Dąbrowski



Jerzy Wardęcki z medalem
Pro Patria po uroczystości
na cmentarzu przy grobie Emila,
5 czerwca 2016 r.
Fot. J. Dąbrowski

PRZYJACIELE

Jak to możliwe, że po tylu dramatycznych doświadczeniach w życiu nadal ufasz ludziom i naprawdę ich lubisz? Jesteś otwartą, serdeczną osobą, a przecież zawiodło cię wiele osób, nawet przyjaciół, którzy okazali się fałszywi, kłamali, donosili.

Byli też ludzie, którzy okazali się wspianiali. Bardzo mi pomagali, z dobrego serca, bezinteresownie. Otaczali mnie opieką, gdy zostałam całkiem sama po śmierci mamy i babci. Opiekowały się mną przyjaciółki zmarłej mamusi. Miałam też jedną daleką kuzynkę, którą nazywałam ciocią, jedyny „kawalek rodziny”. Dużo jej zawdzięczam, dlatego nie mogę powiedzieć, że zostałam całkiem bez pomocy. Bóg stawiał na mojej drodze wielu dobrych ludzi, którzy mnie, sierocie, młodej dziewczynie, wówczas pomagali. Zaznałam od ludzi wiele dobrego i o tym zawsze staram się pamiętać. Obcy ludzie stawali się moją rodziną. Spotykałam ich na każdym etapie życia – w szkole, w każdej kolejnej pracy. O niektórych już opowiadałam. Wielkie rozczarowania i zdrady oczywiście też się zdarzały. Nasza tragedia po śmierci Emila sprawiła, że zyskaliśmy z Jerzym nowych przyjaciół, którzy byli przyjaciółmi Emila.

To naprawdę niezwykle, że przyjaciele Emila stali się waszymi przyjaciółmi na całe życie. Jednym z nich jest Stefan Antosiewicz.

Tak, przyjaciel Emila od pierwszej klasy podstawówki. Wzór do naśladowania – według słów syna. Bardzo dobry, zdolny uczeń. Stefan skończył medycynę. Wiele lat był dyrektorem Szpitala Klinicznego MON przy ulicy Szaserów. Ma stopień pułkownika. Był wysyłany na różne placówki, m.in. do Brukseli. On i Artur byli kolegami z podwórka. Ta historia z Emilem jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyła. Przyjaźnią się do dziś. Stefan nie zapomniał o nas przez te wszystkie lata. Dzwoni, spotykamy się co roku w czerwcu na mszy świętej odprawianej w kolejne rocznice śmierci Emila. A było ich już 35. Stefan jest jednym z tych przyjaciół Emila, o których mówiliśmy z Jerzym: „Emilowe dzieci”. Zostali z nami, zawsze można na nich liczyć, w każdej sprawie.

Przede wszystkim na Artura Nieszczerzewicza.

Tak, zawsze, przez te wszystkie lata. Emil porównywał mój los, moje sieroctwo, z losem Artura, który też od szesnastego roku życia mieszkał sam, bo jego mama wyemigrowała za granicę. Bardzo podziwiał Artura. Ja miałam szczęście do dobrych ludzi. Nie wiem, czy Artur ma podobne doświadczenia, podejrzewam, że też. Po stanie wojennym wyemigrował do Kanady, przez Szwecję i Włochy. Zawsze wiedziałam, co u niego słyhać, z listów, które do nas pisał. Pamiętam, że przyjaźń i bliskość zaoferował mi zaraz po śmierci Emila. Powiedział, że nigdy nas nie opuści. Obiecał to mnie i Jerzemu, i że nigdy o nas nie zapomni, nawet jak wyjedzie do

Australii czy Ameryki. I tak się stało. Opisywał w listach, co u niego. Nie było mu łatwo. Niestety przerwał edukację, musiał ciężko pracować na dwa etaty, bo bardzo młodo założył rodzinę. Ożenił się w Kanadzie z piękną Włoszką i już po roku zostali rodzicami. Urodził im się syn Michał, dziś to już trzydziestoletni Mike, który jest mężem Agnieszki i ojcem rocznego Leonarda. Syn Artura, Mike, od piątego roku życia też był z nami zaprzyjaźniony, tak jak i jego matka, Anna Sperduti. Artur poniósł konsekwencje decyzji o emigracji z Polski, ale dla niego bezpieczniej było stąd wyjechać. Ta jego zadeklarowana przyjaźń w pełni się sprawdziła. Jak tylko wrócił do Polski, natychmiast się u nas pojawił. Oferował pomoc. Potem wyjechał do Włoch, gdzie jego żona miała rodzinę. Podjął tam pracę. Zaprosił Jerzego i mnie wiosną 1992 roku do Latiny, gdzie zorganizował mężowi wystawę. Jerzy dzięki Arturowi dwukrotnie miał wystawę we Włoszech i chciał mu się jakoś zrewanżować. Poznał go z Andrzejem Chodakowskim, reżyserem filmu dokumentalnego *Robotnicy '80*. Spotkali się w Rzymie. Andrzej Chodakowski sprowadził Artura do Polski, zatrudnił go w swojej firmie. W ten sposób Artur zakończył los emigranta. Potem sam sobie doskonale radził. Zrobił karierę zawodową, ma bogate CV, mimo że nie skończył studiów. Pracował w Pepsi Co, w Orlenie, w różnych międzynarodowych firmach. Zna dobrze angielski, włoski i rosyjski, więc te umiejętności torowały mu drogę. Przez jakiś czas był nawet współwłaścicielem prestiżowego czasopisma „Machina”. Przez te 35 lat Artur nas nie opuścił, tak jak obiecał. Często dzwonił, choć ostatnio rzadziej do nas wpadał, bo ma wiele nowych

obowiązków. Założył drugą rodzinę, ma dwie małe córeczki, więc nie jest już tak dyspozycyjny jak kiedyś. Wiem, że zawsze miał i ma nas w pamięci. Wpadł też do nas ostatniego dnia życia Jerzego, zrobił mu zakupy, bo Jerzy leżał chory, a ja od tygodnia byłam w szpitalu. Zawsze opiekował się nami i tak jest do dziś. Nieraz z Jerzym mówiliśmy, że Emil nam go podarował. Mamy go od Emila. Dostaliśmy w prezencie jego przyjaciela. Basia, mama Artura, jest nadal emigrantką, mieszka w Kanadzie, skończyła już osiemdziesiąt lat i ciągle pracuje. Jest uosobieniem dzielności życiowej, nie dziwię się, że ma tak wspaniałego syna. Jestem pełna podziwu dla niej i pełna wdzięczności, że podzieliła się ze mną swoim synem, bo Artur ma dwie mamy. Pamięta o obu. Oczywiście nie nazywa mnie mamą, jesteśmy raczej na stopie przyjacielskiej, ale bardzo to sobie cenię. To jeden z niewielu ludzi, z którymi mogę wspominać tamte lata, tamte czasy i w ogóle rozmawiać na każdy temat. Jest bardzo, bardzo bliską mi osobą.

A Leszek Czajkowski, też bliski przyjaciel Emila?

Leszek chyba najciężej, najbardziej ze wszystkich bliskich kolegów Emila przeżył śmierć naszego syna. Przez pierwsze trzy lata po śmierci Emila bywał u nas w domu niemal codziennie. Opowiadał, czytał swoje wiersze, śpiewał, grał na gitarze. Później nasze kontakty się rozluźniły. Leszek skończył studia prawnicze, założył rodzinę, zaczął pracę w Urzędzie do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Rozwijał też swoją karierę jako bard, poeta, kompozytor. Jego żoną jest od lat Dominika Świątek, piosenkar-

ka. Leszek ostatnio koncertuje i nagrywa płyty z Pawłem Piekarczykiem, zajmując się w tekstach jak zawsze tematyką niepodległościową i najnowszą historią Polski. Jerzemu bardzo brakowało spotkań z Leszkiem. Zawsze zachwycał się tym, co Leszek pisze i w jaki sposób to prezentuje. Dzwonił do niego do pracy, planowali spotkanie. Jednak Leszek miał mnóstwo obowiązków: praca, rodzina, koncerty, twórczość artystyczna. W oczach Jerzego był w pełni usprawiedliwiony. Gdy otrzymaliśmy medal Pro Patria w czerwcu 2016 roku, Leszek nas odwiedził. Jerzy był bardzo szczęśliwy, że wreszcie mamy go w domu. To było bardzo serdeczne spotkanie po latach. Leszek nam obiecał, że przyjdzie do nas z Pawłem Piekarczykiem i dadzą nam prywatny koncert w domu. Jakoś się umówimy, znajdziemy czas. Niestety, Jerzy w grudniu zmarł. Leszek był na jego pogrzebie. Mówił mi, jak bardzo mu przykro, że ten koncert się nie odbył, że nie spełnił tej obietnicy. Wiem, że Jerzy po śmierci Emila pokochał Artura jak rodzony ojciec, ale podejrzewam, że kochał również Leszka, jakby miał jeszcze dwóch synów, przysposobionych. Z Leszkiem rozmawiali na tematy polityczne, zgadzali się światopoglądowo. Uważał go za wspaniałego, utalentowanego człowieka.

Z perspektywy lat widzę, jak bardzo poważny wpływ śmierć Emila miała na życie Leszka. Oprócz Marka Marciniaka Leszek to jest drugi z przyjaciół syna, na którym te tragiczne wydarzenia odcisnęły piętno. Leszek nie był karany, nie był prześladowany politycznie, ale otrzymał cios w sensie psychicznym. Miał dopiero 15 lat, kiedy zginął jego szkolny przyjaciel.

A Grzegorz Ziemiak, drugi kolega Emila ze szkoły?

Wspominam go jako niesłuchanie poważnego, skupionego i odpowiedzialnego młodego człowieka. Odwiedzał nas często w latach osiemdziesiątych, przynosił nam do domu stopy książek z drugiego obiegu. Bywał na mszach rocznicowych za Emila, przychodził z rodzicami, odwiedzał też grób Emila. Mijały lata, Grzegorz skończył handel zagraniczny. Tak jak inni koledzy syna założył rodzinę, zajął się karierą, został biznesmenem. Kontakty były coraz rzadsze, ale zawsze deklarował, że jest do dyspozycji, gdybyśmy czegoś potrzebowali. Wiedzieliśmy, że jest bardzo zajęty, więc nie zwracaliśmy mu głowy. Grzegorz też bardzo przeżył śmierć Emila. Był wtedy z nami w tych ciężkich dniach i latach, towarzyszył nam, pomagał, jak umiał. Za to jestem mu bardzo wdzięczna.

Smutna jest historia Marka Marciniaka. Artur Nieszczewicz poznał go na mieście i wciągnął do grupy „Piłsudczyków”.

Wyciągnął go z kolejki po lody na Nowym Świecie. Marek Marciniak po akcji na pomnik Dzierżyńskiego był przesłuchiwany w pałacu Mostowskich, przeszedł ciężkie śledztwo. Zachował się wspaniale, nikogo nie wydał. Potem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Stan wojenny złamał mu życie. Marek to mój ogromny wyrzut sumienia. Mam do siebie pretensje, że nie dopilnowałam, by dostatecznie nagłośnić sprawę Marka. Może dlatego, że od dawna nie ma go w Polsce. Gdy wypuścili go z aresztu we wrześniu 1982 roku, nie skończył szkoły, nie przystąpił do matury. Z nakazu sądu musiał

społecznie pracować w parkach miejskich. Jeszcze w stanie wojennym Marek trafił do wojska, do marynarki, na trzy lata. Pisał do nas wtedy rozpaczliwe listy. To był dla niego ciężki czas. Marek okazał się bardzo wrażliwym chłopcem, zresztą tak jak i jego mama. Poznałam Danutę Marciniak, mamę Marka, na rozprawie 17 maja 1982 roku. Pracowała w biurze architektonicznym. Była osobą głęboko wierzącą, opiekowała się umierającą matką staruszką. Bardzo przeżywała to wszystko, co się stało z Markiem. Później często się spotykałyśmy, do czasu kiedy poważnie zachorowała na serce. Ponieważ ja i Jerzy byliśmy palaczami, a Danuta nie znosiła dymu, nasze spotkania stały się rzadsze, aż w końcu się urwały.

Marek pisał do nas, a jak wrócił z wojska, to nas czasem odwiedzał. Poznał swoją ukochaną Ewę, ożenił się, urodziło im się dziecko. Zaczął ciężko pracować, zarabiać na życie. Zupełnie nie mógł się odnaleźć, nie miał zawodu. Przeżycia w stanie wojennym i później – w wojsku, zostawiły głęboki ślad na jego psychice. Próbował zajmować się handlem, w końcu wyjechał do pracy do Anglii, kilkanaście lat temu. Żona i córka zostały w Polsce. Jego córka już wyszła za męża, Marek został dziadkiem. Spotkaliśmy się z nimi, z całą rodziną, na pogrzebie Danuty. Potem oni odwiedzili nas w domu. Mieszkają w Stoczku Łukowskim. Marek obecnie jest już chyba szefem restauracji w jakimś angielskim miasteczku. Zadzwoił raz do mnie z Anglii, bardzo rozżalony, bo Tomek Sokolewicz podał go na świadka w swojej sprawie – ubiega się o odszkodowanie za to, co przeżył w stanie wojennym jako więzień polityczny, represjonowany. Marek się

zdeenerwował, bo Tomka Sokolewicza osobiście nie znał, żadnych akcji z nim nie robił, wszystko, co miał do powiedzenia, jest w zeznaniach. Tyle tylko, że SB zrobiła im wspólną sprawę: „Sokolewicz i Marciniak”.

Marek jest dla mnie klasyczną anonimową ofiarą stanu wojennego, z przetrąconym życiorysem. I to, że go Artur wtedy wyciągnął z tej kolejki po lody, dla mnie było jakimś fatum. Zawsze powtarzałam: „Mareczku, po co ty się ruszałeś z tej kolejki? Po co w to wchodziłeś?”. A on się rwał do działania, do konspiracji. Dziś mało kto o nim wie, tylko najbliżsi. Marek Marciniak był chłopakiem równie bohaterским jak Emil. Po aresztowaniu, poniewierany i prowokowany, nikogo nie wydał. O Emilu, o Tomku – coś wiadomo. O Marku – cisza. Dlaczego? Zapytałam o to w prokuraturze w IPN. Usłyszałam, że on musi sam wystąpić z wnioskiem o odszkodowanie. Na pewno by otrzymał status pokrzywdzonego i rekompensatę. Ale Marek powiedział mi, że nie chce od państwa. Uważa, że go zawiodło. Chce wszystko sam sobie zawdzięczać, jest ambitny i liczy tylko na siebie. W sumie dał sobie radę w życiu, ale bardzo ciężko pracował, kosztem więzi rodzinnych i wielu wyrzeczeń. Przyjeżdża do Polski dwa, trzy razy w roku. Może jeszcze zmieni zdanie i będzie chciał wrócić do tych spraw sprzed 35 lat?

Jakie są dalsze losy Tomka Sokolewicza?

To też smutna historia. Był emigrantem politycznym. Rodzice Tomka Sokolewicza pracowali na Uniwersytecie Warszawskim. Profesor Zofia Sokolewicz kierowała Katedrą Etnografii, a ojciec był wykładowcą i podobno pełnił

jakąś ważną funkcję na Wydziale Prawa. Tomek po wyjściu z aresztu już nie kontynuował nauki, tylko wyjechał do RFN. Wiem to od jego mamy, która w kolejnych latach pamiętała o rocznicach śmierci Emila i zamawiała msze. Zawsze w czerwcu zapraszała nas albo do kościoła św. Antoniego albo do kościoła św. Stanisława Kostki. Zresztą pierwszą mszę, dziesięć dni po pogrzebie Emila, też ona zamówiła. Właśnie w kościele św. Stanisława Kostki, 27 czerwca 1982 roku, o 8.00. Jak mi powiedziała: „Z wdzięczności za pani zeznanie i przywołanie zeznania Emila z dnia 17 maja, bo dzięki temu syn został uwolniony”. To była pierwsza msza za Emila po jego pogrzebie, na którą byliśmy zaproszeni z Jerzym. Panował upał, do kościoła przyszło z pięć osób. Wielki kościół i tak strasznie pusto. Bardzo to było przykre. Mszę odprawiał ksiądz Bogucki, ojciec duchowy księdza Jerzego Popiełuszki. Pani profesor Sokolewicz po mszy podeszła do nas i jeszcze raz ze łzami w oczach dziękowała mi, że zdobyłam się na to, by przyjść do sądu dzień po pogrzebie syna i zeznawać. Zresztą wtedy, po tej rozprawie w dniu 17 czerwca 1982 roku, gdy już wychodziliśmy z Jerzym, podszedł do mnie ojciec Tomka i też mi podziękował. Tomek Sokolewicz po wyjściu z aresztu, zanim wyjechał z Polski, kilka razy nas odwiedził. Najczęściej rozmawiał z Jerzym, bo ja psychicznie źle znosiłam temat tych rozmów. Po latach wrócił do kraju. Odezwał się kilka razy, dzwonił, dość regularnie przychodził na msze rocznicowe odprawiane w intencji Emila, ale ostatnio zamilkł. Nie wiem, co się z nim teraz dzieje. Wiem tylko, że wystąpił do sądu o odszkodowanie za uwięzienie w stanie wojennym, a wiem to, bo powołał

mnie na świadka. Już dwa razy zeznawałam w jego sprawie, ostatnio w czerwcu tego roku. Za każdym razem bardzo to przeżywam, te wspomnienia ciągle boją. Dlatego czasami sama się sobie dziwię, że tak bez oporu zgodziłam się na ten wywiad...

Chcę jeszcze zapytać o Krystynę Pochwalską, w naszych rozmowach często pojawiało się to nazwisko.

Przykra sprawa. Dwa lata po śmierci Emila, w 1984 roku, ktoś przyniósł mi pisemko wydawane w podziemiu, prawdopodobnie fałszywkę. Pojawiła się w nim informacja, że Krystyna Pochwalska to też kapuś. Dla mnie to był cios, najmocniejszy z ciosów. Ja i Jerzy strasznie to przeżyliśmy. Jerzy chyba nawet bardziej, bo polubił Krystynę, zaprzyjaźnił się z nią, z jej synem Szymonem i z jego przyjacielem Krzysztofem Kownasem. To byli nasi bliscy przyjaciele w latach osiemdziesiątych. Mieliśmy stały kontakt. Wtedy nic nie podejrzewałam, chociaż różni ludzie pytali mnie, czy ja ufam Krystynie. Dlaczego pełnoletni Szymon został zwolniony z aresztu, a Emil nie? Dlaczego ją wpuszczono do prosektorium w ten straszny czerwcowy weekend, a mnie nie...? Jakim cudem Szymon w ciągu miesiąca dostał paszport i trzy tygodnie po pogrzebie Emila wyjechał do Francji? W stanie wojennym? To była niezwykła sytuacja. Krystyna Pochwalska tłumaczyła, że ten wyjazd był możliwy dzięki ojcu Szymona, który od dawna mieszkał we Francji. Po tej wstrząsającej wiadomości o Krystynie od razu pojawiło się dużo wątpliwości i sporo pytań. Krystyna stanowczo zaprzeczała, że była współpracownikiem SB. Przysięgała, że to nieprawda. Chcieliśmy jej

wierzyć i postanowiliśmy oboje z mężem, tak po chrześcijańsku, po prostu jej przebaczyć, nawet jeśli nas okłamywała. Szczególnie po śmierci jej syna Szymona. Zginął w wypadku 4 lipca 1989 roku. Rozbił się samochodem we Francji. Było to akurat wtedy, gdy Jerzy przyjechał tam z naszą przyjaciółką, rzeźbiarką Antoniną Wysocką-Jończak, bo mieli we Francji wspólną wystawę. Jerzy pierwszy raz od czasu śmierci Emila spotkał się z Szymonem – na swoim wernisażu we Francji. Długo i serdecznie rozmawiali, Szymon zaprosił go do swojego domu w Alpach, a tego dnia, kiedy mieli się znowu zobaczyć, Szymon zginął. We Francji mieszkał też Krzysztof Kownas, Szymon go ściągnął do Paryża. To właśnie Krzysztof załatwił wszystkie formalności pogrzebowe i sprowadził trumnę z ciałem Szymona do Polski. Oboje z Jerzym byliśmy na pogrzebie Szymona, który odbył się w lipcu 1989 roku. Siedem lat po pogrzebie Emila...

Kilka lat temu dotarła do mnie dziwna wiadomość: Szymon żyje, jego pogrzeb to być może była mistyfikacja. Może Szymon współpracował z kontrwywiadem wojskowym? Sprawdzano informację o rzekomej mistyfikacji. Pracownikom IPN udało się ustalić, że osoba o tym samym imieniu i nazwisku była współwłaścicielem powstałej w 1995 roku francuskiej firmy produkującej programy telewizyjne. Drugim współwłaścicielem był... Krzysztof Kownas. Ktoś zadzwonił tam, chcąc rozmawiać z Szymonem. Usłyszał odpowiedź: „Szymona nie ma, będzie jutro, proszę zadzwonić jutro”. A następnego dnia nie było już śladu po tej firmie w Internecie. Z dnia na dzień zniknęła. Ale o tym nie rozmawiałam ani z Krystyną, ani z Krzysztofem. Krzysztof Kownas

oczywiście żyje. Gdy wrócił z Francji, zrobił film dokumentalny o mojej przyjaciółce rzeźbiarce, Antoninie Wysockiej-Jończak. Wiem też od niego, że gdy została opublikowana w Polsce informacja o współpracy Krystyny Pochwalskiej z SB, jej synem Szymonem zainteresowała się policja we Francji. Został aresztowany, przesłuchiwany, miał problemy. Krzysztof Kownas oskarżył wtedy mnie i Jerzego, że to my rozpowszechniliśmy tę plotkę o Krystynie, co było nieprawdą. Miał do nas wielki żal. Mimo to zrobił w 1997 roku film o Antoninie, w którym ja też występuję – opowiadam o mojej przyjaciółce artystce. Podobno nadal kręci filmy dokumentalne, reportaże, dużo podróżuje. Z nami definitywnie zerwał kontakt. Ostatni raz spotkałam go w maju 2011 roku na pogrzebie Antoniny, na który przyszedł razem z Krystyną Pochwalską. Przywitaliśmy się z daleka. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Było to bardzo przykre.

Mam jedno ciepłe wspomnienie z dawnych lat, związane z Krzysztofem. Po śmierci Emila bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Gdy zamierzał wyjechać do Francji, do Szymona, przeprowadził do nas swojego starszego brata Wojtkę, żeby nas poznał i się nami zaopiekował. Pamiętam, że bardzo mnie tym wzruszył. A Wojtek Kownas rzeczywiście się nami serdecznie zajął. Pomagał nam przez wiele, wiele lat. Ostatnio widziałam się z Wojtkiem na pogrzebie Jerzego. On przyszedł, a Krzysztof i Krystyna Pochwalska – nie.

Pytałaś Krystynę Pochwalską o tę rzekomą współpracę z SB? Oczywiście. Według niej to wierutne kłamstwo. Esbecka zemsta. Nigdy nie donosiła. Podobno w świetle dokumen-

tów IPN tak rzeczywiście jest¹. Została zdyskwalifikowana przez SB z powodów charakterologicznych. Nie nadawała się na TW, bo według esbeków była niewiarygodnym źródłem informacji. Rzekomo mieli na nią jakieś haki, mogli ją szantażować, nie musiała podpisywać żadnych zobowiązań. W każdym razie fakty są takie: nie ma żadnych donosów jej

¹ AIPN, 00277/755, Zabezpieczenie „Kryśka”. Zaczęto: 2.05.1980 r. Zakończono: 06.01.1981 r. Krystyna Pochwała była czterokrotnie karana w latach 1969–1972 za „wyłudzenie i przywłaszczenie pieniędzy od szeregu osób”, k. 28. Z notatek służbowych: „Nastąpiła kumulacja orzeczonych kar za przestępstwa z art. 205 § 1 kk w związku z art. 265 kk popełnione na terenie Warszawy i Cieszyna i orzeczono wyrok czterech lat pozbawienia wolności i 14 000 zł grzywny”, k. 29. [Art. 205 § 1 kk: Kto w celu osiągnięcia korzyści majątkowej doprowadza inną osobę do niekorzystnego rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem za pomocą wprowadzenia w błąd albo wyzyskania błędu lub niezdolności do należytego pojmowania przedsiębranego działania, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5. Art. 265 § 1 kk: Kto w celu użycia za autentyczny podrabia lub przerabia dokument albo takiego dokumentu jako autentycznego używa, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5. § 2 W wypadku mniejszej wagi sprawa podlega karze pozbawienia wolności do roku, ograniczenia wolności albo grzywny. § 3 Kto czyni przygotowania do przestępstwa określonego w § 1 w ten sposób, że podrabia, przerabia lub nabywa druk urzędowy, pieczęć, stempel lub inne narzędzie, podlega karze pozbawienia wolności do lat 2, ograniczenia wolności lub grzywny]. W 1969 r. w toku śledztwa Pochwała została poddana sześciotygodniowej obserwacji psychologicznej w Pruszkowie. Wynik badania: „[...] osobowość niedojrzała emocjonalnie z cechami histerycznymi i psychopatycznymi”, k. 33. Wnioski z obserwacji: „[...] cechowała ją energia, pewność siebie, despotyzm, lekkomyślność, kłamlliwość, próżność, działania obliczone na efekt zewnętrzny. Ta istotna cecha rozwinęła się z upływem lat. Jej działalność była wielokierunkowa – była środkiem na zwrócenie na siebie uwagi, przedstawienie siebie jako osoby sprawnej, zdolnej do załatwienia każdej sprawy, która mogłaby podnieść prestiż. Działalność rozwijała wśród młodzieży podatnej na jej wpływ i żywo reagującej”, k. 33. Wniosek inspektora Wydziału III A-1 ppor. Gerarda Łozko o złożenie teczki w archiwum z 06.01.1981 r.: „Wymieniona została zabezpieczona jako kontakt figuranta sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. »Odbitka« nr ew. 22766 – Anatola Lawiny. [...] Z uwagi na przeszłość kryminalną K. Pochwałskiej oraz jej zaburzenia w sferze psychicznej nie wskazane jest wiązanie się z nią jako osobowym źródłem informacji”, k. 53.

autorstwa, a my od lat i tak nie mamy już ze sobą kontaktu. Czasem ją widywałam na moim podwórku – siedziała na ławce, bo w tym samym bloku wynajmowała mieszkanie jej córka Ania z małym dzieckiem. Krystyna często ich wtedy odwiedzała, ale chyba już rok temu Ania wróciła na Wałową i Krystyna całkiem zniknęła z mojego życia².

Antonina Wysocka-Jończak była długoletnią przyjaciółką i świadkiem tych tragicznych wydarzeń w 1982 roku.

Tonię poznałam, kiedy byłam studentką UW, a ona studiowała na Wydziale Rzeźby w warszawskiej ASP. Mój pierwszy mąż i jej mąż, Maciej Jończak, byli dobrymi kolegami. Nasza przyjaźń datuje się od 1966 roku. To była moja najbliższa i najlepsza przyjaciółka. Uczestniczyła we wszystkich wydarzeniach w naszym życiu. Towarzyszyła nam podczas najtrudniejszych dni. Całkowicie oddała nam do dyspozycji swój czas. Wtedy, w 1982 roku, została w Warszawie sama z dziesięcioletnim synem Albertem. Jej mąż wyjechał do Anglii w 1981 roku, tuż przed stanem wojennym. Antonina jest obecnie uznaną artystką rzeźbiarką i to właśnie ona jest autorką dużego pomnika na grobie Emila na cmentarzu Bródnowskim. To jej projekt i wykonawstwo. Pozwoliła sobie pomóc jedynie Jerzemu przy ostatnim szlifie powierzchni kamienia – białego piaskowca. Nie muszę chyba dodawać, że postawiła ten pomnik w prezencie dla Emila. Nie chciała przyjąć żadnego wynagrodzenia, choć sama była wtedy w trudnej sytuacji finansowej.

² Krystyna Pochwalska zmarła 27 stycznia 2018 r. Miała 87 lat.

W Warszawie znajduje się kilka jej dużych rzeźb plenerowych, m.in. na Trasie Łazienkowskiej i na Powiślu. Bardzo dobrze zapisała się w historii polskiej sztuki współczesnej. Ma imponujący dorobek artystyczny, wygrała wiele konkursów i zdobyła dużo nagród i medali. Zawsze byłam z niej bardzo dumna, podziwiałam ją i jej rzeźby. Potrafiła wykuć w kamieniu kilkumetrową monumentalną rzeźbę, jak i wyrzeźbić miniaturowy portret na pamiątkowym medalu. A kiedy ze względu na stan zdrowia już nie mogła rzeźbić, to zaczęła rysować. Pod koniec jej życia powstał cykl pasteli o jednorodnej tematyce – rysowała tęczowe anioły. W 2011 roku moją dzielną przyjaciółkę pokonał nowotwór płuc. Zmarła przedwcześnie. Co prawda była już po sześćdziesiątce, ale wyglądała na czterdzieści parę. Ciężko przeżyłam jej śmierć. Bardzo mi jej brakuje. Odeszła jedyna osoba – obok Jerzego – z którą mogłam wspominać całe siedemnaścieletnie życie Emila. Przez te wszystkie lata była z nami prawie co dzień, towarzyszyła nam w ciężkich chwilach i była świadkiem chwil szczęśliwych. Nie miałam przed nią żadnych tajemnic, ze wszystkiego się jej zwierzałam, słuchałam jej rozsądnych rad. Dlatego nic dziwnego, że poznałam Tonię z Krystyną Pochwalską zaledwie dwa dni po tym, jak sama ją spotkałam w marcu 1982 roku. Od razu bardzo się zaprzyjaźniły. Zaczęły się często widywać. Antonina miała wolny zawód, Krystyna nie pracowała, więc miały dużo czasu na kontakty. Bywałam nawet trochę zazdrosna, że spotykają się beze mnie. Złapałam się na tym nieładnym uczuciu, że co prawda cieszę się, że moje przyjaciółki się lubią, ale nie chcę, żeby mnie wykluczały. No ale miałam

tyle obowiązków zawodowych, że nie byłam w stanie często się z nimi spotykać.

Muszę opowiedzieć o wręcz metafizycznym podobieństwie losów tych trzech zaprzyjaźnionych ze sobą kobiet. Dwie Krystyny i Antonina. To naprawdę niesamowita historia. Mój syn, siedemnastoletni Emil, zginął w czerwcu 1982 roku. Siedem lat później, w lipcu 1989 roku, syn Krystyny, dwudziestopięcioletni Szymon, ginie w wypadku drogowym, a w sierpniu 2000 roku syn Antoniny, dwudziestoosmioletni Albert, umiera na białaczkę. Wszystkie trzy straciłyśmy synów. Odeszli bardzo młodo. Przecież żaden z nich nie dożył trzydziestki. Takich rzeczy nie da się racjonalnie wyjaśnić. Dlaczego tak się stało? Czysty przypadek? Okrutna seria? Czy taki mógł być plan Boży? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Nigdy tego nie pojmem, to za trudne na mój ludzki rozum...

Kiedy urwały się nasze kontakty z Krystyną po tym artykule w podziemnej prasie, być może ją oczerniającym, szkalującym, a więc krzywdzącym ją i mnie, Antonina ani przez moment nie uwierzyła i przyjaźniła się z nią nadal. Tak naprawdę, to ja też nigdy do końca nie uwierzyłam w te oskarżenia, nie mieściło mi się to w głowie, miałam wątpliwości. Jednak raz do niej poszłam i powiedziałam: „Uważam, że to jest straszne, że ukrywałaś to, że współpracujesz z SB”. Była na mnie oburzona: jak ja mogę w coś takiego wierzyć! Potem zawsze miała o to do mnie wielki żal. Postawa Antoniny była inna: od początku nie dawała temu wiary i nigdy nie zerwała z nią stosunków. Cały czas miały bliskie relacje. Jednak Antonina, nie chcąc mnie

ranić, nigdy mi o tym nie opowiadała. Omijałyśmy ten temat w naszych rozmowach. Dopiero tuż przed śmiercią Tonia powiedziała mi, że się spotykały, że miała też bliski kontakt z Krzysztofem Kownasem. Zresztą miałam dowód: zobaczyłam Krystynę i Krzysztofa na pogrzebie Antoniny w Kotuniu koło Siedlec. Widziałam ich wtedy pierwszy raz po wielu, wielu latach. Niektóre przyjaźnie są trwałe, inne nie. Tak już jest w życiu. Tylko że ciągle nęka mnie jedno pytanie: A jeśli to Tonia miała rację i Krystyna rzeczywiście padła ofiarą esbeckiej zemsty? Komu ja uwierzyłam – ludziom z podziemia czy tajnym agentom udającym ludzi z podziemia? Szkoda mi tej przyjaźni. Tym bardziej że Emil uwielbiał ciotkę Kryskę i bezgranicznie jej ufał...

Jedni przyjaciele odchodzą, ale pojawiają się też nowi. Tak. Bóg dał, że w 2009 roku poznaliśmy z Jerzym Marka Blocha, ale bliżej zaprzyjaźniliśmy się dopiero w 2014. Marek jest trochę starszy od Emila, też działał w podziemiu, zajmował się nielegalnym drukiem, ale potem wyjechał do Ameryki, gdzie pracował sześć lat z przerwami na krótki powrót do Polski. Marek do niedawna był rzutkim biznesmenem, ale trafił na nieuczciwą współpracowniczkę i stracił dużo pieniędzy. Teraz pracuje zarobkowo w Warszawie i całkiem bezinteresownie w swojej wiejskiej posiadłości, gdzie ma pod opieką zwierzęta, którym uratował życie: dwa koty, dwa psy, konia i osiołka. Marek po prostu ma duszę wolontariusza, społecznika. Zawsze gotowy do pomocy. Zainteresował się historią Emila i zaprzyjaźnił z nami, jego rodzicami. Głęboko wierzący, światopoglądowo bardzo nam bliski.

Niesłuchanie mi pomógł po śmierci Jerzego. Gdyby nie on, nie dałabym sobie rady z organizacją pogrzebu, ze wszystkimi formalnościami. Każdego dnia mogę liczyć na jego pomoc. A niestety ciągle potrzebuję tej pomocy, bo jestem chronicznie chora na rozedmnę płuc i muszę być osiemnaście godzin dziennie pod tlenem. Mam w domu koncentrator tlenowy i chyba tylko dzięki tej domowej terapii tlenem jeszcze jakoś funkcjonuję, choć jest mi coraz trudniej być osobą samodzielną. Korzystam nie tylko z pomocy Marka.

Jest też druga osoba – Kasia Skrzydlewska, równolatka Emila, matka pięciorga dzieci, która samotnie je wychowywała, pracując i ucząc się jednocześnie. Niesłuchanie dzielna kobieta o złotym sercu. Jest z nami zaprzyjaźniona od siedmiu lat. W trudnych pierwszych dniach po śmierci Jerzego to właśnie Kasia zadbała o ubranie dla niego i o wszystkie moje potrzeby, jako osoby będącej w ciągłym szoku po nagłej, niespodziewanej śmierci męża. Od tamtej pory cały czas mi pomaga i wiem, że mogę na niej polegać jak na Zawiszy. Jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Jeśli ona akurat nie może mi pomóc, to przychodzą mi z pomocą jej dorosłe dzieci – Emilia, Oskar, Zuzanna i Wojtek. Najmłodszy syn, Bartek, ma szesnaście lat i jeszcze się uczy.

Marek i Kasia to niby obcy ludzie, a jednak są mi bardzo bliscy. Artur ma nad nimi tę przewagę, że był przyjacielem Emila i że w jakimś stopniu zajął miejsce Emila w naszym życiu i jest w nim obecny już od 35 lat, a to prawie połowa mojego życia.

Ja to wszystko traktuję jako darowane przez Boga łaski. I zawsze sobie mówiłam: „Krystyna, masz szczęście w nie-

szczęściu. Spotka cię nieszczęście, nie bój się, zaraz będziesz miała wokół siebie dobrych, życzliwych, pomocnych ludzi”. To się sprawdza. Absolutnie nie mogę narzekać, choć przecież zawsze przychodzi czas choroby, złego samopoczucia, łez. Tak być musi. Jak mówi św. Ojciec Pio: „Bóg jest tak dobry, że zawsze zmiesza słodycz z piołunem. Sama słodycz by nas zemdliła”. Wszystko przemija, ale zanim przeminie, to może być dobro lub zło. Wiele przeżyłam, ale też dostałam dużo dobrego i tęsknię za tym dobrem. A złego staram się nie pamiętać, po prostu totalna skleroza na wszystko złe, co się zdarzyło (uśmiech). Tylko niestety jest to zło, które się przydarzyło Emilowi. Ono nie chce dać się zapomnieć. To mnie ciągle boli, doskwiera. Oczywiście nie przeżywam tego już tak dramatycznie jak kilka lat po jego śmierci, gdy co drugi dzień jeździłam na cmentarz. Nie wyobrażałam sobie, że mogę nie być tydzień przy jego grobie. Teraz wystarczy, gdy pojedę raz w miesiącu, a jeśli choruję, to jeszcze rzadziej. Jednak lata swoje robią, pył opada i pamięć nie jest już tak żywa. Chociaż co roku te marcowe i czerwcowe dni nadal mocno przeżywam. Jakby ten koszmar trwał. Zawsze o tym rozmawialiśmy z Jerzym. Wspominaliśmy. „Pamiętasz, jak było?”, „Pamiętasz, jak kłamali?”, „Jak nas oszukali?” Były to bardzo ciężkie, trudne dni. Ale też w tamtym czasie otaczali nas dobrzy i odważni ludzie, którzy nie bali się z nami kontaktować, chociaż znaleźliśmy się na celowniku esbecji. Esbecy przychodzili do domu, kiedy chcieli. Wzywali Emila na przesłuchania. Nie było mowy o żadnych prawach człowieka, jakichś prawnych ograniczeniach. Nie! Obowiązywały dekrety stanu wojennego. Emil był oskarżony

o straszne przestępstwa wobec państwa, systemu, ustroju. Zrobił straszne rzeczy i my, rodzice, byliśmy za to odpowiedzialni.

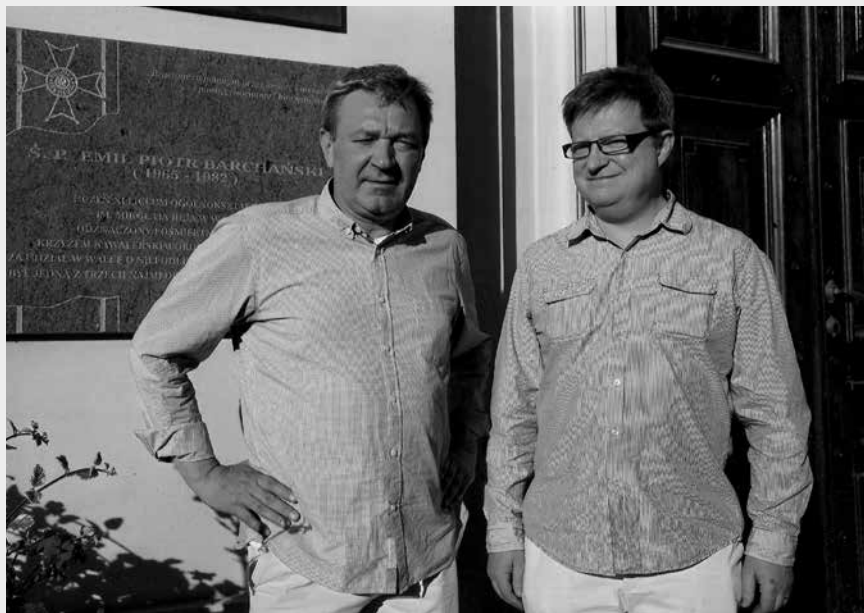
Opowiadałaś o wielu osobach, padało w naszych rozmowach sporo nazwisk. Wydaje mi się, że tragedia Emila nikogo nie pozostawiała obojętnym. Ludzie chcieli wam pomagać. Przypomniała mi się jeszcze jedna historia pewnej znajomości. Miałam sprawę w sądzie o alimenty dla Emila. Moim adwokatem była Magda Gajdeczka. Wtedy ją poznałam. Sprawa alimentacyjna odbyła się w połowie kwietnia 1982 roku, sześć tygodni przed śmiercią Emila. Ta tragedia wstrząsnęła Magdą. I w takich dramatycznych okolicznościach narodziła się nasza przyjaźń. W trudnych dniach mojego bezrobocia w latach 1990–1992 Magda bardzo nam pomagała materialnie. Zresztą do dziś zawsze gotowa jest mi pomóc. Raz na jakiś czas dzwoni i pyta: „Wszystko w porządku? Potrzebujesz czegoś? W czym mogę ci pomóc? Masz pieniądze na lekarstwa?”. Często sobie myślę: Jak dobrze mieć takiego przyjaciela i codziennie wieczorem Bogu dziękuję za Magdę, Artura, Kasię, Marka i za wszystkich dobrych ludzi, których Bóg stawia na mojej drodze.

Gdy myślisz o życiu, zadajesz sobie pytanie, co jest w nim najważniejsze? Miłość? Przyjaźń?

Życie w prawdzie, wiara w Boga, czyli wiara w miłość, i nadzieja na życie wieczne, na spotkanie naszych kochanych Zmarłych „na zielonych łąkach Raju”. To jest teraz dla mnie najważniejsze – pół roku po śmierci męża, 35 lat po śmierci

syna, 57 lat po śmierci mamy i babci, 25 lat po śmierci cioci, 6 lat po śmierci Toni. Strasznie za nimi wszystkimi tęsknię – za mamą, synem, mężem, za przyjaciółką Antoniną, za ciocią Stasią. Oni wszyscy tam na mnie czekają. Wierzę w życie wieczne, wierzę w Niebo, Czyściec i Piekło. Bez tej wiary nie wiedziałabym, jak żyć... I po co...

Rozmowy prowadziłyśmy w mieszkaniu Krystyny Barchańskiej-Wardęckiej w Warszawie, od marca do czerwca 2017 roku.



Przyjaciele Emila obok tablicy jemu poświęconej na fasadzie kościoła przy ul. Bonifraterskiej. Od lewej: Artur Nieszczerzewicz i Stefan Antosiewicz, czerwiec 2015 r. Fot. J. Dąbrowski



Krystyna Barchańska-Wardecka na uroczystości w IPN w czerwcu 2017 r. po otrzymaniu Krzyża Wolności i Solidarności przyznanego pośmiętnie Emilowi w 2016 r. Fot. M. Winkler-Pogoda

PODZIĘKOWANIA

Pragnę z całego serca podziękować kilku osobom starającym się podtrzymać pamięć o moim synu.

Izabeli Górnickiej-Zdziech, która zainspirowana przez Kingę Materską, przyjaciółkę Artura Nieszczerzewicza, dotarła do mnie jako pierwsza w 2003 r. i przeprowadziła ze mną obszerny wywiad na temat wydarzeń z 1982 r. Relacja *Emil* ukazała się w kwartalniku historycznym „Karta” (2007, nr 51).

Małgorzacie Imielskiej, która przysłała do mnie z pomysłem na przedstawienie historii Emila w Scenie Faktu. Jest scenarzystką i reżyserką spektaklu telewizyjnego *Sprawa Emila B.*, którego premiera odbyła się w listopadzie 2007 r. w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Patrycji Gruszyńskiej-Ruman, dziennikarce Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia, autorce reportażu radiowego *Wróć, kiedy słońce już nie będzie mi potrzebne* z 2011 r.

Kindze Hałacińskiej, dziennikarce i działaczce społecznej, która na prośbę Patrycji Gruszyńskiej-Ruman zainteresowała się sprawą Emila i przez rok tak radykalnie

i nieustępliwie działała, że uzyskała dla Emila status więźnia politycznego, a dla jego rodziców zadośćuczynienie za śmierć syna, mimo że tego nie oczekiwali i nigdy się o to nie starali.

Mariuszowi Rębaczowi, prokuratorowi z Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, za zaangażowanie i skrupulatność w wieloletnim prowadzeniu dochodzenia w sprawie śmierci Emila, za nieustającą chęć zbadania tego, co jeszcze jest możliwe do wyjaśnienia, a także za wielką delikatność w rozmowach ze mną i okazywane mi zrozumienie.

Małgorzacie Winkler-Pogodzie za pomysł napisania książki o Emilu i namówienie mnie na tę opowieść o synu w formie wywiadu. Gdyby nie jej wielka wiara w misyjny sens tej pracy i wprost anielska do mnie cierpliwość, a także życzliwy upór, który zmuszał mnie do wysiłku i współpracy, ta książka nigdy by nie powstała, a historia Emila odeszłaby w niepamięć, jak wiele innych historii o życiu młodziutkich, cichych bohaterów... Dziękuję Ci, Małgosiu, także w imieniu Emilka i Jerzego.

Krystyna Barchańska-Wardęcka



Pięciu młodych ludzi, a wśród nich Emil Barchański, siedemnastoletni uczeń liceum, w biały dzień w centrum Warszawy oblało czerwoną farbą, obrzuciło butelkami z benzyną i podpałiło pomnik Dzierżyńskiego, tak zwanego krwawego Feliksa – symbol terroru bolszewickiego. Ich akcja z 10 lutego 1982 r. zapoczątkowała serię zdarzeń, które doprowadziły do aresztowania Emila, esbeckich przesłuchań, tortur, represji i – 3 czerwca 1982 r. – do jego tragicznej śmierci. Był jedynym dzieckiem Krystyny Barchańskiej-Wardęckiej. Jej wspomnienia to cenne świadectwo matki, uczestniczki tamtych wydarzeń i świadka, a zarazem przejmująca opowieść o synu, odważnym, utalentowanym młodym człowieku, zaangażowanym w walkę po stronie „Solidarności”, i o dramatycznych przeżyciach w stanie wojennym. Nie sposób opowiedzieć całego życia, ani własnego, ani cudzego. Można ocalić od zapomnienia jedynie fragmenty, obrazy, anegdoty, wypowiedziane słowa i długo skrywane myśli. Temu służy ta rozmowa.

Małgorzata Winkler-Pogoda

Zapraszamy:
www.ipn.gov.pl
www.ipn.poczytaj.pl